



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.
Nr 876

leg. 1699

KSIĘGA ZBIOROWA

KU CZCI

PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

W DNIU JEGO IMIENIN



KOMITET PROPAGANDY CZYNU POLSKIEGO
WARSZAWA 19 MARCA 1935

876

leg. 2699

KSIĘGA ZBIOROWA

K U C Z C I

PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI

JÓZEFA

PIŁSUDSKIEGO

W D N I U J E G O I M I E N I N



W A R S Z A W A 1 9 M A R C A 1 9 3 5 R O K U

WYDANA STARANIEM I NAKŁADEM KOMITETU
PROPAGANDY CZYNU POLSKIEGO W WARSZAWIE
POD REDAKCJĄ STANISŁAWA JASIŃSKIEGO

(PRZEDRUK BEZ POROZUMIENIA SIĘ
Z KOMITETEM PROPAGANDY CZYNU
POLSKIEGO — WZBRONIONY)

KOMITET PROPAGANDY CZYNU POLSKIEGO
SKŁADA NINIEJSZE DZIEŁO MARSZAŁKOWI

JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU

W NAJWYŻSZYM HOŁDZIE I CZCI

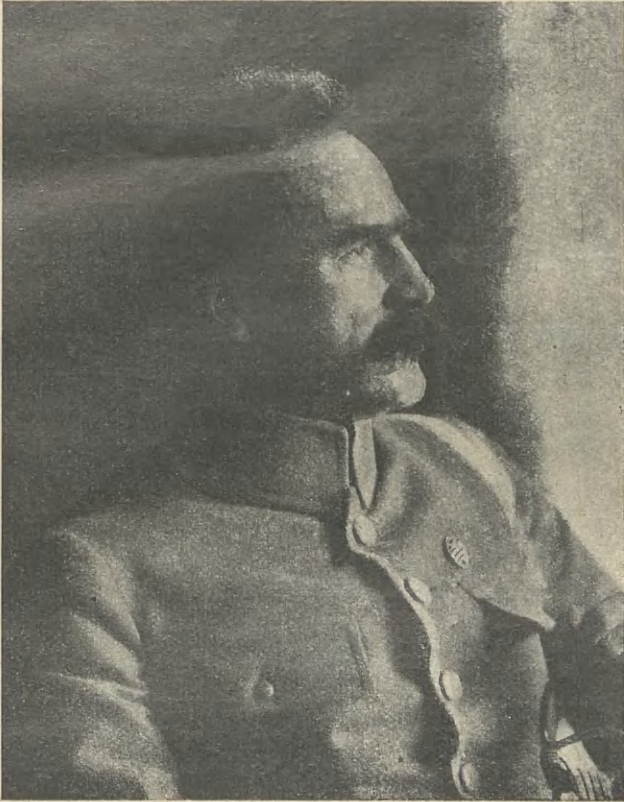


*ROZSZERZYŁ sławę ludowi swemu, i wziął na się pancerz
jako olbrzym, i przepasał się orężem wojennym swoim ku bitwie,
i bronił narodu mieczem swoim. (1 Mark. 3,3).*

*PRZETO odziedziczył cześć w narodzie, a imię JEGO żyć
będzie na wieki. (Eccl. 24,46).*

*+ Józef Garbina,
Biskup polowy Wojsk Polskich.*

JÓZEF PIŁSUDSKI



Nie piszemy o życiu, czynach i talentach Marszałka, bo znamy je i są nam niezmiernie bliskie, utkwily mocno w pamięci naszej i zostały zachowane głęboko w skarbcu naszego dorobku narodowego.

Genjusz narodu — to Człowiek.

Genjusz Polski — to Józef Piłsudski. Polska jest w Nim...

A kto prawd tych nie zrozumiał ten *polskość* swoją przespał, przeproźniaczył, przepieniżył, przepił, lub przegrał w karty!

Piłsudski — to umiłowanie żołnierzy i ich *legenda*, wijąca się nieraz wśród gwiazdnych noccy, lub tęcz na krwawych polach, unosząca się w tej zadumie zziębniętej placówki. Wódz, którego wysnuła żołnierska tęsknota, a może nawet i ta piosenka swawolna, bijąca rozgłośnie przez bory i drogi, przez ścieżyny i puste pola...

Piłsudski — to podpora ducha żołnierzy i radość ich jedyna.

Tam, gdzie był „nasz Dziadek“, byliśmy pewni swego, wiedzieliśmy, że bitwa musi być wygraną, że nam nie grozi żadna małoduszność, ani lęk. Żołnierz stawał się skałą, murem nie do

pokonania. Za nic były mu trudy wojenne i znoje, za nic mu ta jego męka serdeczna, za nic mu ryk armat i złowieszczy klekot karabinów maszynowych, czemże mu była śmierć choćby, gdy czuwał nad wszystkim Dziadek... Czuwał On nad walką i nad tą naszą wielką sprawą, miał ją w rękach, w przebogatej naturze swej, w duszy!...

I legionista o tem wiedział, odgadywał, Imię Dziadka było i jest mu coraz droższe, świętsze — i niechaj nie waży się nikt Imienia tego naruszyć!...

Żołnierz Piłsudskiego kocha...

A gdyby go kto zapytał zniecka — za co?

Nie odpowiedziałby zaraz, bo on Go kocha najserdeczniejszą tęsknotą i tem trudem nad siły i tą męką swoją w całym tym procesie serca; a nieraz ojczyzny szczęściem, o jakim śnią mu się najrzewniejsze sny. Z politowaniem spojrzalby on na pytającego, bo *legionista* wie, że Piłsudski to nic inne, jak znowuż *Krzewiciel* tego, co Mu przekazała Polska w swych niedawnych godłach państwowych, które tak wyraźnie nam mówią, że pracą, że zadaniem naszym jest:

Jak orzeł — ku słońcu wzlatać,
Jak rycerz — wolności bronić,
Jak anioł — narody bratać,
Skrzydłami szczęścia osłonić!...

Bliskim mu jest Piłsudski — ta dusza przedziwnie piękna, zrywająca pęta niewoli i rzucająca nowe podwaliny pod ojczyzny przyszłość...

Żołnierz legionowy, gdy rozmyśla o swym Wodzu, to pamięta wszystkie chwile przeżyć wojennych z Nim; idą mu one kolejno po siebie, jasne, proste, jak: *Słowo i Czyn*. On wie, że kryją

cy się ongiś pod skromnem mianem komendanta I Brygady Legjonów Polskich, jego ukochany Wódz był właściwym twórcą Legjonów, że On pierwszy pobudził najwięcej społeczeństwo polskie do nowej pracy nad odrodzeniem Polski i wskrzeszeniem państwa — On był tym, który rzucił zarzewie najlepsze i hasło patriotyczne — *czyn; czyn zbrojny*, który wydał rzeczy wielkie, pierwszorzędnej wagi dla Rzeczypospolitej i musiał zainteresować *sprawą Polski*, wydzwignąć ją na pierwszy plan przed światem — a potem... szedł On, Budziciel, choćby życie oddać za tę *genjalną pobudkę*.

Z Nim szła szara gromada strzelców, nieraz głodna, obdarta, prawie bosa — ogarniał ją ziąb do szpiku kości, dolegało jej znużenie i bezsenne, twarde, ciężkie noce, z nóg płynęła krew często, ale szara brać strzelecka szła wytrwale, szła na *wielkie święto*, na które wiódł ją On, Piłsudski, *Wyobraziciel sprawy, najlepszy syn ojczyzny*, szedł z tą gromadą Ten, który jeszcze do niedawna krył się z słońcem idei, jak lew po obcej gdzieś jaskini — wychodzi teraz na pustynię lez i mógł... Wszystko to legionista pamięta, oj, jak pamięta!...

A ktoby zapytał z was, gdzie tkwi urok Piłsudskiego, czy w jego genjalnym talencie strategicznym, czy w dążeniu do rozrostu i wielkości Polski, czy w licznych zwycięstwach — odpowiedziałbym mu, że w jego *wielkiem sercu, w poczuciu narodowości*.

A może kto z was nie czuje *Zmartwychwstania*, może nie poznał jeszcze Wodza, może wciąż śni mu się nowy, inny ktoś w narodzie?

O, wy wszyscy wierzcie... myśmy to już przebyli. Przeżywaliśmy Cecorę, przeszliśmy piekło drugiej Samosierry, pieściła nas zawierucha styczniowa i kołysała do snu noc listopadowa — aż jak wyśniona zjawa stanął przed nami Józef Piłsudski, a wraz z Nim zaczęły się nowe i dawne drogie Polsce imiona. Zaśnił blaskiem chwały i potęgi Wódz istotny, *Człowiek Opatrznościowy*, za którym w szarej żołnierskiej gromadzie, leciała piosnka, jaką zrodził wiatr, czy ten ból polski — fantazja, czy głód dotkliwy — ale z piosnką legendy, z przedzą nadziei łączyły się pierwsze podwaliny niepodległej ojczyzny i z piosnką na ustach żołnierskich jaśniał Korczyn, Laski, Krzywopłoty, Łowczówek i inne. Coraz większe i trwalsze siły, rzucone pod dzisiejszy fundament Rzeczypospolitej — i tam, nad Nidą i w Konarach, i pod Ożarowem, a później... Tarłów, przy czółek mostowy Józefowa, Dzierzkowice, Urzędów, aż pod Lublin, o każdą piędź ziemi — i dalej, do twierdz, przez Bug, Styr i Stochód, bez tam, bez folgi. Aż na Ruś, na poleskie bagna...

— — — — —
— — — — —

Tak było za dni, poprzedzających nową dobę i nowych ludzi, u przełomu dwóch niejako epok...

Kazimierz Kosiński w swej książce o Marszałku Piłsudskim pisze, że: „Żyjemy w dobie zmagania się nowych wartości ze starymi, co niektórzy utożsamiają z chaosem. Żyjemy na przełomie dwóch epok, przyczem epoka nadchodząca jawi się w pomruku burzy, jakiej świat nie widział. Stąd skłonność wielu do pesymistycznego spoglądania w przyszłość i do strachu o dorobek kulturalny ludzki.

Dlatego troska o wychowanie obywatelskie dziś staje się nakazem chwili w poszukiwaniu idei własnej.

Coraz wyraźniej staje nam przed oczyma duszy prawda, że Polska nie ma przed sobą innych dróg, jak drogę do wielkości.

Dysproporcje życia polskiego muszą się scalić w jedną potężną harmonję czynu. W ten sposób przechodzimy do ideologii wychowawczej Piłsudskiego, którego Imię, jako sztandar przyświeca naszym odrodzonym dziejom politycznym.

Ale tu spotykamy się z wielkiem niebezpieczeństwem, kiedy na drodze ścisłych wymagań państwowych domagamy się dlań kultu, zapominając o tem, że nie mieści się On w żadnej doktrynie, ani też w chwili bieżącej...

W tem miejscu dopiero zacząć się musi rzetelny wysiłek państwa, aby ta ideologia zdecydowała o istotnem życiu polskiem, które dziś stoi na rozdrożu, pomiędzy Wschodem i Zachodem, pomiędzy faszyzmem i bolszewizmem.

Dziś nadszedł najwyższy czas realizacji wskazań Norwida, że naród musi posiadać własną swoją treść duchową, którą wnosi do ogólnego dobra ludzkości“. Do tych wartości w życiu i czynach Piłsudskiego, które tę nową treść nowemu pokoleniu pozwoliłyby budować, do głębszych źródeł z których one wypłynęły, winniśmy dotrzeć i je wskazać.

Ideologia Piłsudskiego ma w sobie najsmielsze możliwości i nie trzyma się form utartych życia.

Dlatego też piłsudczykiem jest tylko ten, kto nie boi się konsekwencji w dążeniu do rozrostu i wielkości Polski.

Tu nie wystarczy głosić Jego Imienia chwałbą, bo imię każde może być pustym dźwiękiem.

Najbliższym Piłsudskiego zostanie ten, kto w uczciwości duchowej spali się cały w trudzie żywota z wiarą w ideę, którą jest Polska.

Piłsudczykiem może być każdy na małym skrawku życia, przy najskromniejszym warsztacie pracy, jeżeli jest uczciwy w umiłowaniu prawdy i konsekwentny w działaniu, którego treścią jest Polska.

Piłsudski stworzył typ człowieka mocnego, atoli jego rola wychowawcza jest nieskończona. Dziś uwielbiają go jedni, nienawidzą inni, podczas gdy jeszcze inni kupczą Jego Imieniem. Ale Piłsudski odegra jeszcze rolę *Pojednawcy narodu*. Wielkie imiona, wielkie postacie dziejowe, wielcy wodzowie, wielcy ludzie narazie klócą sobą masy, atoli później stają się samą ideą, która jednoczy szeregi pokoleń.

Wspomnieliśmy, że urok Piłsudskiego tkwi przedewszystkiem w Jego *poczuciu narodowości*.

Poczucie narodowości, to poczucie siły bezwzględnej w narodzie. Poczucie to głosiło:

Zrzucę ciało — woła Mickiewicz — tylko jak duch wezmę pióra...

Potrzeba mi lotu!

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę, gdzie graniczy Stwórca i natura.

I mam je, mam tych skrzydeł dwoje;

Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,

Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę,

I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!

I zajrzę w uczucia Twoje.

O Ty, o którym mówią, że czujesz na niebie!

Jam tu, jam przybył, widzisz, jaka ma potęga;

Aż tu moje skrzydło sięga!

Lecz jestem człowiek, i tam, na ziemi me ciało;

Kochałem sam, w ojczyźnie serce me zostało...

Ale ta miłość moja na świecie,

Ta miłość, nie na jednym spoczęła człowieku,

Jak owad na róży kwiecie,

Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:

Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona

Wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia,

Przycisnąłem tu do łona,

Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec!

Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,

Chcę nim cały świat zadziwić...

— — Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa — —

A więc wszystko powinno być obrócone, przekształcone, przemienione na chwałę i potęgę narodu.

Otóż chcąc być w zgodzie z tem realnem poczuciem narodowości, Marszałek Piłsudski obrał jedno jedyne wyjście, rozświetlone przez słońca swej ziemi — Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego — utożsamił naród z pięknem najwyższym. Bo piękno mimo zachwyków nad epoką romantyczną nie było zrozumiane w tem znaczeniu duchowem. Albowiem nie w „Dziadach“, nie

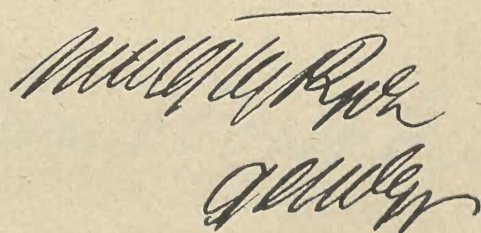
TRUDNO jest pisać o Wielkim Człowieku.

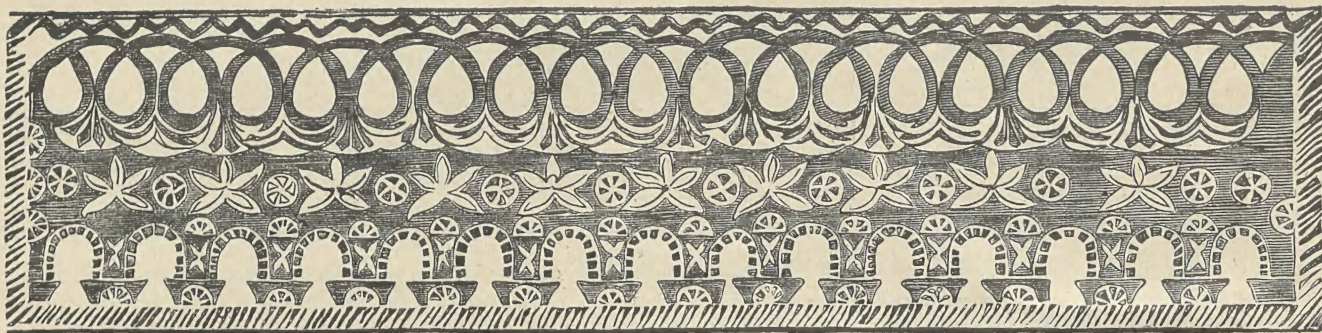
Jakżeż napisać o Nim w kilku zdaniach? W kilku zdaniach powiedzieć, jak Wielki Człowiek zmienia los Narodu, jak kończy, a równocześnie rozpoczyna sprawy, które rozgrywają się na przestrzeni stuleci, a wielkość ich dreszczem przejmuje?...

Te procesy dziejowe w których stygła krew i butwiały kości mnogich pokoleń? Określić te groźne, pełne błyskawic i nawałnic chmury przeszłości, dla których piorunochron z Ducha swego zrobił, zgubne elementy rozbroił, inne zaprzął w rydwan wielkości Narodu... Jakżeż sformułować i wyjaśnić ten nieprawdopodobny, a realny fakt podniesienia w górę przez jednego człowieka trzydziestu kilku milionów ludzi?

O wyrok, jaki o Nim kiedyś będzie dekretowała historia, Marszałek jest spokojny.

Niespokojnem może być tylko dzisiejsze pokolenie polskie, gdy zastanowi się nad tem, czy dobrze używa i wyzyskuje ten przyrost i naddatek każdej wartości i każdego poczynania płynące od samego faktu istnienia w Polsce Piłsudskiego.





ST. XYSPIANSKI

NAJDUMNIEJSZĄ legitymacją naszego ducha narodowego jest, że za sprawą Marszałka Piłsudskiego dajemy światu dowód naszej odrębnej indywidualności w metodzie organizowania naszego życia zbiorowego, że borykamy się i ze skutkami psychicznymi niewoli i z obciążeniami psychicznymi kryzysu i z trudnościami epoki przewrotów w samej treści zasad ustrojowych życia państwowego— w pełnym świetle dnia, z zachowaniem podstawowych swobód obywatelskich, ustroju parlamentarnego i legalności walki politycznej, że, co więcej, borykamy się z temi trudnościami z powodzeniem i że proces konsolidacji kraju postępuje wyraźnie naprzód.

M. Pociatko

Z M O I C H W S P O M N I E Ń



W lipcu 1922 r. był warszawski teren polityczny zaogniony walką, jaka się na nim toczyła i gdy na wezwanie zgłosiłem się do Belwederu, stało się to nie bez pewnej obawy i troski, że nieświadomy warszawskiego terenu mam oto dostać się w to, dla mnie zaczarowane koło.

Pan Marszałek Piłsudski, wówczas naczelnik państwa, przyjął mnie w dużej sali Belwederu na I-ym piętrze. Dzielili nas szerokość stołu, przyczem Marszałek miał poza sobą okna sali, a mnie wprost przed sobą. Ponieważ światło dnia było słabe, bo zapadał zmrok, zaś pokój, w którym miało miejsce posłuchanie, miał okna tylko w jednej ścianie, poza plecami Marszałka, przeto Marszałek widział mnie doskonale i mógł obserwować każde drgnienie mej twarzy, podczas gdy dla mnie twarz Marszałka tonęła w cieniu i w mroku.

Zrozumiałem, że jest to egzamin, egzamin polityczny, że wrażenia odbijające się w grze rysów mej twarzy obserwuje ktoś mądry, ktoś doświadczony w kolejach życia politycznego. Ale egzamin nie był ciężki i porozumienie, a raczej zrozumienie się wzajemne łatwo przyszło do skutku. Marszałka interesowała poza siłą zbrojną państwa, która była jego wyłączną domeną, głównie polityka zewnętrzna i skarbowość w rozmiarach i w sposobie mogącym być dla odpowiedzialnego prezesa gabinetu jak najbardziej pożądaną formą współpracy z głową państwa.

Po skończonym posłuchaniu opuściłem Belweder próżen obaw i niepokoju, wiedziałem bowiem, że na mojem nowem stanowisku będę sterował nawą państwa w owych politycznie burzliwych czasach przy boku wielkiej siły moralnej, jaką był i jest Marszałek Piłsudski, w oparciu o jego umysł jasny i głęboki, o charakter silny jak stal i jest wielkiem szczęściem dla Polski, że właśnie Marszałek kieruje jej losami ku pełnej chwały przyszłości.

Julian Nowak

APOTEOZA DUCHA PRACY

NA DZIEŃ IMIENIN
MARSZAŁKA
PIŁSUDSKIEGO



EDWARD KOKOSZKO

Portret Marszałka

O, jam jest większy, większy cud,
Niż z szlachtą polską, polski lud
I strącam z ziemi większy głaz,
Niż walka ras, niż walka klas,
A bije ze mnie taki żar
Ze wszystkich ciał, ze wszystkich mar,
Bom złączył w sobie cały świat,
Tysiące lat, miliony lat!

Przekształcam w Jasność bryłę ziemi,
W bajeczny, roziskrzony gród,
Blaskami płoną jutrzniowemi,
Jam jest najpierwszy świata cud!

I pierwszą jestem ja ofiarą,
Ze wszystkich ofiar z ciał i z krwi,
Kosmosu jestem prawdą, wiarą,
Kosmosu słońce we mnie lśnił!

Jam jest prawieczną świata władzą
I duszą jego świętych praw,
Ci potępieni, co mnie zdradzą
I innych zażądają sław!

I to jest Piękem, co m ną budzi
I ma mój jasny, mocny ton,
Ja w bohaterów zmieniam ludzi
I w życie wieczne zmieniam zgon!

I w życie wieczne zmieniam drganie
Miliardów rozigranych ciał,
Tysięcznych pieśni świata granie
I barw tysięcznych świata szal!

Na moich szczytach każdy – święty
I jeden dla drugiego – brał!
W płomieniach Bytu jam poczęty,
Ja trwam, prześwietlam wieki lat!

Przekształcam ziemię w Jasność ziemi,
W skrzydlaty, roziskrzony gród,
I kolumnami ognistemi
Miłości czystej tworzę cud.

Jan Belski

WSZYSCY naszych dawnych walk o niepodległość wodzowie, w momencie obejmowania przewodu, legitymowali się żołnierskim doświadczeniem, znanstwem rycerskiego rzemiosła, często tęgim chrztem bojowym.

Kazimierz Pułaski i Józef Zajączek mieli za sobą homeryczne rozprawy konfederackiej partyzantki, — Kościuszko pracowite szkoły wojskowe, Dąbrowski saską służbę, kampanję roku 1792-go i Szekulego, zbitego pod Łabiszynem naprzekór Maciejowicom, — Poniatowski w austriackiej potrzebie zdobyte na Turkach wawrzyny, — Chłopicki wywodził się z Saragossy, — Skrzynecki z napoleońskiego czworoboku, — Krukowiecki z wyprawy na Moskwę, — Dembiński z tego, że za Bug na odsiecz litewską chadzał, — Bem z Ostrołęki, — Mierosławski z kadetów kaliskich, — Langiewicz z Garibaldiego, — Traugutt ze sztabowego trudu.

Gdy przeto jeden z tych tak świetnego rodowodu mężów stawał pod rozwiniętym sztandarem, zrywającej się do potargania oków, Ziemi, — ufność kłoniła mu się do

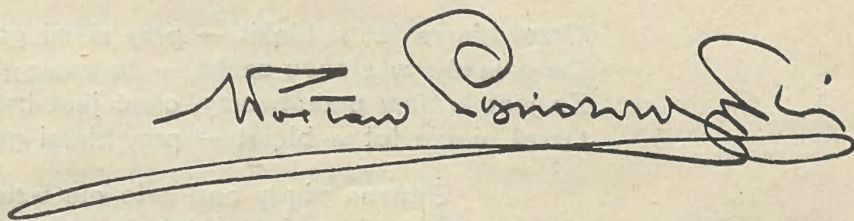
stóp, szeregi gorzały, oficerskie przeżyły mundury, naród poił się minioną sławą wybrańca, powaga szewronów nawet krnąbrnych do posłuchu niewoliła.

I stąd dość się zastanowić nad dziejami ostatnich naszych walk, aby się zdumieć wielkim talentom zwycięskiego Wodza, — tego Wodza-Budziela — Wodza-Samouka — aby wielbić w Nim tę moc, która umiała sprostać wiedzy i doświadczeniu, opanować skomplikowane arkana dzisiejszej sztuki wojennej, — wielbić w Nim potęgę woli, która z męki własnego ducha wykrzesiała odrodzenie polskiego żołnierza, a która zjeźczała w obcych mundurach rutynę sprzęgła z porywem młodzieńczym a narodowi wróciła wiarę we własnego oręża stal.

O Piłsudskim-Żołnierzu ksiąg ciągle za mało.

Przyszłość niewątpliwie każde pasemko Jego życia rozsnuje na nici pajęczce opowieści i legend.

Współczesny człek miewa bielmem przesłonięte źrenice. Widzi cień u podnóża, ku szczytowi nie pogląda.



STROFY O WODZU NARODU

I.

H A S Ł O W O D Z A

Marszałku! Tobie Wolność Narodu na imię!
A żeś przez życie całe szedł ku niej uparcie
Z szablą w dłoni, w granatów pękających dymie,
Marszałku! Tobie Wolność Narodu na imię!

Że, kiedy inni spali, Ty stałeś na warcie,
Żeś na barki Swe trudy nałożył olbrzymie,
Że hasłem Twojem były: upór i natarcie,
Marszałku! Tobie Wolność Narodu na imię!

II.

W O L A W O D Z A

Serce i mózg narodu — to wodza jest wola!
Ginie naród, co przeciw wodzowi warcholi!
Ten, co słuchać nie umie, zejść powinien z pola,
Serce i mózg narodu — to wodza jest wola!

Naród, który ku lepszej zdążać pragnie doli,
A raz zaznał tej hańby, jaką jest niewola,
Winien słuchać i wrogiem być każdej swawoli,
Serce i mózg narodu — to wodza jest wola!

III.

C E N A W O L N O Ś C I

Wolność krwią się zdobywa i krwią za nią płaci,
Przełoż naród czić winien tych, co mu ją dali:
Pamięć wodza i ległych ojców swych i braci! —
Wolność krwią się zdobywa i krwią za nią płaci!

Kto żywot swój za naród położył na szali
I czyn jego zwycięski w swej streścił postaci,
Temu niech znicz wdzięczności na wieki się pali!
Wolność krwią się zdobywa i krwią za nią płaci!

IV.

O R Z E Ł I G A W R O N Y

Orzeł bierze lot w błękit — przy ziemi gawrony,
On szlaków w słońcu szuka — te zasię padliny,
Że jest królem przestworzy, choć jest bez korony,
Orzeł bierze lot w błękit — przy ziemi gawrony!

Gawron nigdy nad orle nie wzleci wyżyny,
Szczęśliwy jeśli tylko ścierwem nasycony,
Miarą orłów są wieki, gawronów — godziny,
Orzeł bierze lot w błękit — przy ziemi gawrony....

NIEŚMIERTELNOŚĆ

Nieśmiertelność się duchem mocarnym zdobywa
I tylko duch mocarny twarz w twarz patrzy w słońce,
Które przed nim tajemne światy swe odkrywa,
Nieśmiertelność mocarnym duchem się zdobywa!

Iść naprzód, ciągle naprzód, w burze szalejące
Mimo, że broczy z serca ofiarna krew żywa —
Oto szlak nieśmiertelnych ku wieczności łące!
Nieśmiertelność się duchem mocarnym zdobywa!

D U M A W O D Z A

Dumą wodza jest żołnierz, co w zwycięstwo wierzy
I żywot swój dać za nie zawsze jest gotowy,
Że wódz czerpie moc swoją z wiary swych żołnierzy,
Dumą wodza jest żołnierz, co w zwycięstwo wierzy!

Żołnierz, który radośnie w wir idzie bojowy,
A wie, że mu w zwycięstwo wątpić nie należy,
To siła, która nie da określić się słowy,
Dumą wodza jest żołnierz, co w zwycięstwo wierzy!

BEZPIECZEŃSTWO GRANIC

Jedynie mocna armja państwo zabezpiecza
I napaść powstrzymuje chciwego sąsiada,
Że najbardziej wymowną jest wymowa miecza,
Jedynie mocna armja państwo zabezpiecza!

Gdy państwo ma żołnierza i gdy broń posiada,
Nie boi się sztyletów z za swego zaplecza,
Żołnierz bronią przemawia, dyplomata gada,
Jedynie mocna armja państwo zabezpiecza!

SERCA NARODU WODZOWI

Serca dajcie Wodzowi, w dzień Jego Imienia,
Niech wie, że dziś się naród cały z Nim jednoczy
I że jak On, pracować pragnie bez wytchnienia!
Serca dajcie Wodzowi w dzień Jego Imienia!

Niech Go dzisiaj oddanych serc rzesza otoczy,
Niech wszystkie polskie dzieci złożą Mu życzenia
I niech widok tych dzieci rozzłoci Mu oczy —
Serca dajcie Wodzowi w dzień Jego Imienia!

Edmund Pieter



ZENON KONONOWICZ

Droga do młyna w Żuławie, miejscu rodzinnym Marszałka Piłsudskiego

WSZYSCY POLACY, oraz obserwujący nas cudzoziemcy, stwierdzają oddawna, że największą naszą wadą narodową jest brak potężnych i twórczych czynników zgody i solidarności w charakterze obywateli Rzeczypospolitej.

Życie i historia dały nam z tego powodu wstrząsającą nauczkę w postaci utraty bytu państwowego.

Długo pracować będziemy musieli, aby zniszczyć doszczętnie, ciężące na nas potworne niejednokrotnie rezultaty haniebnego niewoli.

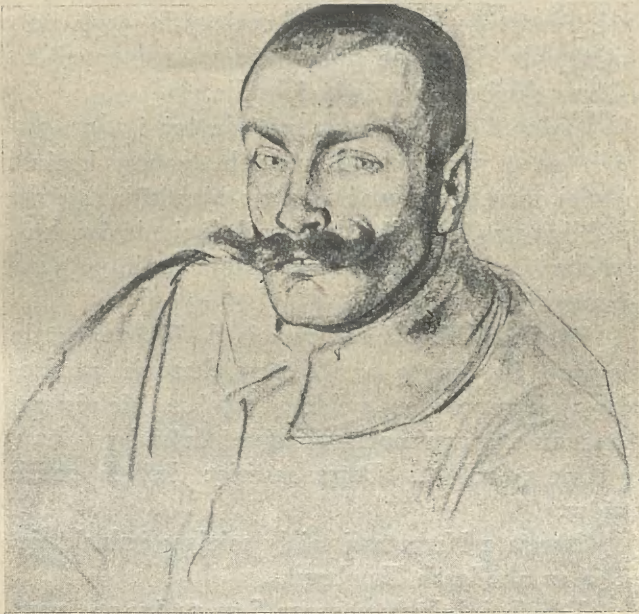
Dzisiaj stoimy wobec niezaprzeczanej konieczności tak olbrzymiej i solidarnej pracy dla Państwa i Narodu, że doprawdy niema nawet krótkich chwil, aby pozwolić sobie na luksus kłótni i swarów.

Gdy w tych trudnych warunkach budować musimy gmach własnej państwowości od fundamentów, szczęśliwe losy dały nam Niezlomnego Człowieka, który ocalił naszą niezależność, wygrywając świetnie i sławnie w najtrudniejszych warunkach prowadzoną wojnę, a teraz od szeregu lat w niezmordowanym trudzie organizuje życie polskie mocną i zdecydowaną ręką, ucząc nas zgody i solidarności, bez których przyszłość Rzeczypospolitej stałaby się znowuż beznadziejną.

Myszę, że Marszałek Józef Piłsudski, Wielki Wódz Narodu i Państwa w czasie wojny i pokoju, zasłużył na historyczny tytuł Wielkiego Nauczyciela największych cnót narodowych, oraz stał się wychowawcą i twórcą nowej, mocnej Polski.

G. W. Dresser

PRZED ZAMKNIĘCIEM W BENJAMINOWIE



J. GUMOWSKI

Portret kpt. Sławoj-Składkowskiego

Okwitły już bzy, ale jaśminy białym śniegiem sypały kwiaty z ogrodów, miasteczek i wsi, gdyśmy maszerowali z Różan do Zegrza. Było wczesne lato Roku Pańskiego Tysiąc Dziewięćset Siedemnastego, a Trzeciego od wyjścia naszego na Wojnę. Śmiało się to lato do nas i pachniało i grzało, jak miłująca kobieta, ale — wesołości prawdziwej w nas już nie było.

Dawna, bujna beztroska życia frontowego nie wytrzymała próby zetknięcia się z okupantami — Niemcami, panującymi wszechwładnie w kraju. Nienawidziliśmy ich teraz bardziej, niż Moskali, i starcia między nami wzmagaly się z każdym dniem naszego pobytu „na tyłach“.

Do Moskali już strzelaliśmy, a do Niemców — nie.

Dlatego — nie było w naszej kolumnie marszowej dawnej wesołości i radości życia. Gniołła nas zmora panoszenia się niemieckich „dekowników“ w Polsce.

Szliśmy z piasków, otaczających koszary w Różanach, zapyloną szosą na Póltusk, Serock, Zegrze Północne, po moście wojennym na rzece Narwi do Zegrza Południowego całe dwa dni, marszem lekkim i wygodnym, ale — nie było wesoło, jak dawniej. Był to ostatni marsz Piątego Puł-

ku Legionów, ostatni przemarsz walecznego Regimentu Zuchowatych przed jego rozwiązaniem i rozproszeniem.

Nie usposabiali do wesołości również napatykane po drodze widoki. Im bliżej byliśmy Zegrza, tem więcej Niemców spotykaliśmy w pobliżu szosy. Zrazu, po wsiach widzieliśmy tylko pojedynczych landszturmistów, polujących na jaja i kury, potem — patrole rekwizycyjne „kupujące“ świnie i krowy od ludności za bezcen i więcej bocznymi drogami za naszym zbliżeniem się do wsi.

Wiedzieli bo już dobrze Niemcy, że nie lubimy, gdy „kupują“ coś na naszych oczach od ludności.

Ci Niemcy tyłowi zupełnie są odmienni od spotykanych przez nas na froncie. Zamiast odwagi, mają jedynie butę i brutalność, zamiast ofiarności osobistej — namiętność wyszarpywania, wyrwania, zabrania wszystkiego, co ma jakąkolwiek wartość dla nich lub Vaterlandu. Zamiast szacunku żołnierskiego, którym darzyli nas Niemcy na polach bitew, ci tyłowi bohaterzy usiłują patrzeć na nas, jak na swych pomocników. Parzą się na tem i uczą rozumu dopiero po gorzkich doświadczeniach, które mówią, że nie będą mieli z nas pomocników. Już im dobrze dopieklismy wszędzie, gdzie tylko zjawiły się nasze oddziały, a choćby i pojedynczy żołnierze. W okolicach Zegrza jednak jeszcze nie było legionistów.

Skądże Niemcy, kwaterujący w Zegrzu, mogli wiedzieć, że tępimy ich „zakupy“ i rekwizycje, gdy w tych okolicach nie pokazywaliśmy się jeszcze wcale?

A wiedzieli już od swoich kolegów i z rozkazów przełożonych, którzy ostrzegali, że niebezpiecznie jest wysłać małe patrole rekwizycyjne do miejscowości, w sąsiedztwie których kwaterują legionie. Patrole te bowiem, jeżeli nie są dość silne, wracają wypędzone ze wsi przez polskich żołnierzy.

Smutne doświadczenie dla niemieckich prowiantowców zaczęło się w okolicach Zambrowa, po przyjsciu tam Pierwszego Pułku Legionów. Przyzwyczajeni do bezwzględного posłuchu zaszraszonej ludności podoficerowie niemieccy jeździli samowolnie najmowanymi podwodami od wsi do wsi nawet bez karabinów, „kupowali“ zboże, krowy i świnie, wystawiali kwity, kazali rze-

czy zakupione odstawić bez żadnej dopłaty do Zambrowa, a sami jechali dalej. Było przyjemnie, praktycznie i tanio w Okkupationsgebiet!

Wszystko to zmieniło się radykalnie od przybycia legionistów do Królestwa.

Mimo zimowej pory, nasi chłopcy, wieczne „łaziki“, rozeszli się po wsiach okolicznych, jeżdżąc tam, pijąc, tańcząc na weselach i chrzcinach, a potem kpiąc z Niemców i podżegając ludność przeciwko butnym okupantom. Napisy niemieckie na skrzyżowaniach dróg, szyldy w języku niemieckim przy sklepach i urzędach poczęły nagle zniknąć z miejsc wyznaczonych. „Ordnung“, z którego tak dumni byli Niemcy, został zachwiany i topniał razem ze śniegiem surowej zimy, dzięki agitacji żołnierzy legionowych. „Łaziki“ po dwóch, po trzech szli „za przepustkami“ na całą sobotę i niedzielę w okolice, nawet daleko, robiąc po 20—30 kilometrów, przyjmowani chętnie w domach chłopów i zagonowej szlachty, gdyż głosili „dobrą nowinę“, że za parę miesięcy Niemców djabli wezmą, że szkoda już ich słuchać i oddawać za bezcen zboże i bydło.

„To bezplanowe włóczenie się polskich legionistów po wsiach, — zdaniem meldunku niemieckiego, — nietylko przynosi szkodę mieszkańcom, lecz również dzięki wrogiemu nastawieniu legjo-

nistów wobec Niemców, z biegiem czasu grzebie szacunek i autorytet władz okupacyjnych i wojska“.

Ludność, do niedawna potulna, bez zastrzeżeń, zacięła się w biernym oporze wobec zaborców i unikała, jak mogła, wszelkich „świadczeń wojennych“. Biednym Niemiaszkom zaczęło robić się ciasno w Polsce. Kilku odważniejszych ziemczonych Mazurów i Niemców, znających język polski, zostało dotkliwie pobitych i wypędzonych ze wsi za rekwirowanie świń i bydła.

Ludność zrazu ze zgrozą, ale też i ulgą, patrzyła na to pohańbienie nowych „panów kraju“, później zaczęła wzywać w razie zjawienia się we wsi Niemców, najbliższych będących legionistów, którzy nie dopuszczali do wykonania „zakupu“ lub rekwizycji.

Poszły meldunki i wezwania do Warszawy do srogiego Beselera o posiłki i zwiększenie garnizonów w Zambrowie i poblizu, gdyż... „Należy zastanowić się, czy można wysłać dzisiaj w okolicę małe patrole“... Potrzeba więc dużych garnizonów.

Starcia z Niemcami miały miejsce jednak nie tylko w okolicach Zambrowa.

Trzech żołnierzy naszego 5-go pułku na „przepustce“ niedzielnej napotkało w chacie wiejskiej nie potulnego landszturmistę, ale żandarma niemieckiego, ściągającego jakieś zaległe kary z ludności. Siedział bestja butnie w pikelhaubie za stołem, mając karabinek z nałożonym bagnetem, oparty obok o ścianę. Przed domem, płaczący ludzie stali w kolejce z pieniędzmi odliczonymi w garści, by nie spóźnić się broń Boże, w zapłaceniu.

Naszych trzech żołnierzy weszło do izby...

Nie mieli, niestety, nawet bagnetów przy sobie. Zabronione też było przez Komendę Legionów noszenie własnej broni palnej, widocznie, by Niemców nie... drażnić na naszej ziemi.

Ci chłopcy jednak choć bezbronni, czuli się u siebie na polskiej wsi i widzieli gwałt najeźdźcy! Postąpili jak żołnierze.

Z krzykiem rzucił się jeden, by złapać karabinek szwaba. Nim jednak obiegł dookoła stołu, już sprawny Niemiec bagnetem zmacał mu kiszki; drugiemu strzelił w piersi, a trzeciego, który złapał już za lufę karabinu, ogłuszył ciosem kolby w głowę. Ludność w przestraszu rozbiegła się po domach, zostawiając triumfującego Niemca nad trzema ofiarami, naszymi biednymi chłopcami, broczącymi krwią. Jeden z żołnierzy zmarł w szpitalu, dwaj inni wyszli z niego dopiero po paru miesiącach.

Przez tydzień w nieszczęśliwej wsi szalały komisje śledcze niemieckie. Po tygodniu wszystko



WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI

Legionista (1916) 1

ucichło, gdyż trzech Niemcy z najbliższego posterunku żandarmerji, wśród nich także „zwycięski“ żandarm — zniknęli bez śladu. Szukali w Narwi, szukali na łąkach, pokrytych rozlaną wodą — nigdzie ani Niemców, ani broni, ani ryszpunku... Polska ziemia ani woda nie wydała.

W pułku cała broń i ryszunek były od Niemców... „Idź złoto do złota!“.

— Nasi biedni chłopcy zostali pomszczeni.

Spostrzegli się Niemcy, że tak dalej nie pójdzie, i postanowili Pierwszy i Piąty Pułki dać pod dobrą opiekę swych najsilniejszych garnizonów. Więc — Pułk Pierwszy przemaszerował do Modlińska, a nasz skierowano do Zegrza. I tu, i tam były obok miejsca naszego pobytu mocne garnizony niemieckie, a w sąsiedniej Jabłonie ćwiczyło stałe kilka tysięcy młodych żołnierzy niemieckich.

To też rozumieliśmy, że idziemy, jak do pułapki, w najgęstszej cizbie Niemców, gdyśmy maszerowali z Różan do Zegrza.

Jeszcze pozory jakie takie istniały, mające oznaczać wzajemny „szacunek“ i „koleżeństwo“. Jeszcze Niemcy, napotykanii około Zegrza Północnego, salutowali nasze bataljony, choć już kiepsko bardzo było z tem wzajemnem salutowaniem.

Im bliżej Zegrza, tem więcej spotykaliśmy Niemców, a już w Zegrzu Północnem wyległa przy naszym przemarszu taka chmara Niemiaszków, jakiej i na froncie nie widzieliśmy. Stali wzdłuż drogi, kurzyli faję i patrzyli z ciekawością na nasz przemarsz.

Wreszcie mijamy most na Bugu — Narwi i wchodzimy do koszar w Zegrzu Południowem. Tu już Niemców mniej, choć ich posterunki stoją obok stacji i na przejeździe kolejowym, będącym tuż przy wejściu do koszar. Niema co, jesteśmy dobrze otoczeni przez przeważające siły „sprzymierzeńca“.

Już nawet ruszyć się stąd nie można bez kontroli Niemców, patrolujących całą okolicę koszar.

O ileż swobodniejsi byliśmy na piaszczystych wzgórzach obozu w Różanie nad Narwią, gdzie w pobliżu koszar było zaledwie paru Niemców, pilnujących sprzętu kwaterunkowego. Wtedy mogliśmy myśleć i gadać o sposobach zemsty na Niemcach. Marzyliśmy, np. o nagłym marszu nocnym, celem opanowania węzła kolejowego Malkinia przez pułki legionowe i odcięcia połączeń komunikacyjnych całej połaci frontu północno-wschodniego wojsk niemieckich. Były to jednak tylko takie „samotne rodaków rozmowy“, a nawet można powiedzieć „marzenia ściętej głowy“, bo nie wiedzieliśmy, co będzie z nami, co każe robić Komendant.



LEOPOLD GOTTLIB

Z teki legjonnej: Dobosz

Brak Komendanta wśród nas był ciągle niezastąpioną krzywdą uczuciową i stratą realną polityki życia codziennego, której odrobić nie potrafiliśmy bez Jego wpływu i pomocy.

Komendant Piłsudski pracował jeszcze w Radzie Stanu i bezpośrednio nami nie dowodził.

„Wodzem“ naszym, poza „wierną i niezawodną“, ale dla okupantów, Komendą Legionów, był oficjalnie („Obywatele ratujcie, bo zdechnę ze śmiechu“) —

„Zdobycyca wielu fortec

Generał piechoty

Kawaler Najwyższych Odznaczeń“ —
von Beseler.

Ale przecież napewno, w chwilach najczarniejszych przewidywań, nigdy nie myślał, że Pan Bóg pokarze go takimi podkomendnymi, jak my! Nie ufał nam też, zupełnie słusznie, — i zapakował nas do Zegrza pod opiekę wojsk niemieckich.

W Zegrzu przez parę tygodni życie szło jeszcze pozornie normalnym trybem.

Zaraz na początku odebrali nam Niemcy większą część amunicji ostrej pod pozorem ewidencji

i zamiany na lepszą. Wiedząc, że tej lepszej nie dostaniemy, ukryliśmy z tej posiadanej „gorszej“ amunicji ile tylko się dało.

Potem, znów zapanowała cisza i „przyjazna“ współpraca w pułkach i obozach ćwiczeń, przerywana jednak często walkami o prawa nasze, jako związku Wojska Polskiego. Protest więc wywołało usunięcie przez Niemców, oczywista za radą Komendy Legionów, od ćwiczenia rekruta oficerów 1-go i 5-go kursów wyszkolenia, pochodzących z dawnej 1-szej Brygady. Dalej, szła walka o prawa dowodzenia dla oficerów legionowych, o język urzędowy polski i t. d. Było o co klócić się codzień z Niemcami.

Nieliczni tylko z pośród nas cieszyli się jeszcze pięknym wyglądem kompanji przy „nowem“: „Na ramię broń!“, lub pomysłowością wysuwania na: „Spocznij“ — lewej stopy zamiast prawej, jak uczyła dawna musztra austriacka.

Cóż z tego, że karabiny groźnie błyszcząły wzniesione wysoko na lewe ramię, lub przy: „Prezentuj broń!“, co z tego, że łatwo było poderwać kompanję na: „Bacność“, gdy wogóle karabin zaczynał palić ręce, by starym lub nowym sposobem użyć go przeciw Niemcom-instruktorom.

W powietrzu wisiała burza, która co chwila groziła wylądowaniem się naszych żołnierzy przeciw Niemcom.



Beseler i Niemcy też byli wściekli, bo, dzięki naszej agitacji — werbunek wojska w Kongresowcach nie dał żadnych rezultatów...

Kogo w tym czasie ciągnęła wojaczka, wstępował do półjawnej Polskiej Organizacji Wojskowej, czyli w skrócie P. O. W.

Wściekły Beseler wydał, na skutek ciągłych zatargów między naszymi żołnierzami i oficerami — a Niemcami, swój rozkaz tajny, w którym ogłasza, że oficer polski jest wobec żołnierza niemieckiego —

„machtlos und rechtlos“!

Bez praw i bez siły reagowania na jakiegokolwiek postępowania Niemców, mamy stać z bronią we własnym kraju!

Po tym rozkazie zatargi i konflikty przybrały tylko na sile. Chodziło tu wcale nie o salutowanie lub tym podobne formalne sztuczki, ale o stosunek Niemców do ludności cywilnej, która coraz częściej wzywała nas do bronienia jej przeciw Niemcom, mówiąc:

„Macie przecież karabiny!“

Stawało się niemożliwością przejść spokojnie obok Niemców, mając broń w ręku.

Obywatel Komendant, widząc w tych warunkach naszego istnienia niemożność prawidłowego rozwoju Państwa Polskiego, wystąpił z Rady Stanu, po wygłoszeniu mowy protestacyjnej przeciwko postępowaniu okupantów w Polsce, jak w Kamerunie.

Teraz całe siły swe poświęcił Komendant tworzeniu podziemnej organizacji P. O. W., mającej na celu wyrzucenie okupantów z Polski.

Tak, Obywatel Komendant dobrowolnie zeszedł jeszcze raz, w podziemia pracy konspiracyjnej, by organizować przeciw Niemcom Naród.

My zostaliśmy na powierzchni życia, jako szczątki Legionów, jako papierowi żołnierze bez Państwa, bez Rządu, bez samodzielności choćby tej, którą mieliśmy na froncie, bez możliwości nawet walki z wrogiem Polski.

Komendant surowo zakazał wszelkich gromadnych odruchów zbrojnych, które, stłumione krwawo, dałyby Niemcom nowy pretekst do terroryzowania i grabienia ludności Polski.

Tak trwaliśmy biernie, w odrętwieniu, z dnia na dzień, użerając się z Niemcami, gdy wyłoniła się t. zw.

Sprawa Przysięgi Beselerowskiej.

W tej formalnej sprawie o „przysięgę“ było bardzo mało z przysięgi. Nie o przysięgę bowiem w istocie tu chodziło. Gorsze przysięgi się składało i powtarzało je nawet po parę razy w życiu, gdy potrzebne to było dla Sprawy. Ta przysięga je-

dnak, w przeciwieństwie do wszystkich poprzedzających, nie ograniczała się do ogólnikowych zapewnień wierności aż do śmierci i walki na „ładzie i wodzie“. Sprytnie, perfidnie i cynicznie wprowadzała ona obowiązek „braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier oraz Państw z nimi sprzymierzonych“ oraz podporządkowaniu się ich Naczelnemu Dowództwu bez względu na sytuację polityczną i zamiary przyszłego Rządu Polskiego. Jednym słowem, w myśl tej przysięgi mieliśmy stać się częścią składową armii niemieckiej, zaopatrzoną w odrębne mundury i sztandary, ale bez cienia samodzielności i bez podporządkowania własnemu Rządowi. Jak na trzy lata wojny i walk naszych, to takie prawa mogły wystarczyć chyba tylko Komendzie Legjonów.

Tej przysięgi więc nie tylko wykonać, ale wy mówić nie mogliśmy, wobec napięcia naszych stosunków z Niemcami, wobec Idei, z którą wyszliśmy na wojnę: zostać, mimo wszystkie przeszkody, jezdynie

wolnymi żołnierzami Polski.

Tymczasem przysięga mówi, by słuchać Niemców i być ich braćmi!

Pozatem podział na Galicjan i Królewaków miał być uroczyście potwierdzony, gdyż pierwsi nie mieli składać przysięgi.

Więc nic z tej przysięgi!

Owszem, uważaliśmy „za całkowicie destruktcyjne wychowywanie żołnierzy bez narodowej przysięgi“, ale przysięga Beselerowska „narodową“ nie była...

Wyszedł dlatego rozkaz Komendanta, a właściwie tajne polecenie, ażeby nie przysięgać i przysięgę zohydzić i ośmieszyć w oczach żołnierzy i społeczeństwa.

Już nie była tu, przeciw przysiędze, jak zwykle, osamotniona Pierwsza Brygada, ale ogromna większość frontowych żołnierzy legjonowych, co nowego zaborcy zcierpieć nie mogli tak samo, jak starego — ogromna większość tych, co się o wolność bili — miała „gdzieś“ przysięgę na wierność Beselerowi.

„Tyłowi rycerze“, co na wojnie niezgorzej po biurach werbunkowych żyli i do okupantów się przyzwyczaili, postanowili „wytrwać“, czyli przysięgać.

Dołączyła się do nich garstka znikoma żołnierzy prawdziwych — Bóg już Jedyne wie dla czego!!!

Boć przecież na froncie z Niemcami żyliśmy jeżeli nie w przyjaźni, to w szacunku wzajemnym. Dopiero w kraju, patrząc na gospodarkę Niemców-tyłowców, na ich pastwienie się nad lud-



K. DĄBROWA-MŁODZIANOWSKI

Szkic ołówkowy Komendanta (1916)

nością, zrozumieliśmy, że karabina w garści spokojnie nie utrzymamy. Albo rzucimy się z nim na okrutnego okupanta, albo rzucimy nim o ziemię!

Komendant zakazał odruchów zbrojnych, by Niemcom nie dawać pretekstu do skrwawienia Polski gorzej jeszcze, niż to w Belgii zrobili.

Zostało więc nam, żołnierzom bez Rządu i przysięgi — dać się rozbroić przeważającej sile okupantów.

Na widowni politycznej i wojskowej zostali ci, o których Komendant powiedział, jako o „tej zarazie hańbiącej żołnierstwo, jako o „bohaterach tyłów“, stanowiących przekleństwo losu polskiego żołnierza Wielkiej Wojny światowej XX stulecia“.

Tyłowcy polscy porozumieli się z tyłowcami niemieckimi.

Przyjemnego towarzystwa.

Teraz wypadki potoczyły się jak lawina! Lawina ta zniosła nas aż do obozu jeńców w Beniaminowie. Już też inaczej być nie mogło.

Weźmy tylko sam bieg i tempo zdarzeń, bez wyjaśnień i omawiań, gdyż naprawdę są one w tym wypadku zbyteczne! Więc:

6 lipca 1917 r. — Rozkaz Komendy Legjonów, ogłaszający „Odezwę Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego do Wojska Polskiego“ w sprawie Przysięgi.

6 lipca — „Polski tekst Przysięgi“.

6 lipca — Rozkaz Komendy Legjonów o zwolnieniu z Legjonów i odesłaniu do *miejsca zamieszkania* tych żołnierzy, którzy nie złożyli przysięgi.

7 lipca — Zebranie w Zegrzu oficerów 5 p. p. Wojsk Polskich oświadcza:

„5 p. p. odmawia złożenia przysięgi według przedłożonego brzmienia. Powyższa bowiem rota nie oddaje nas w zależność od jakiegokolwiek istniejącej władzy polskiej, wyzuta jest z zasady politycznej własnej państwowości i zaprzecza naszym dążeniom do niepodległości.

Nie obejmując nas wszystkich jako jednolitą kadrę, wprowadza rozdział, potrzebny chwilowym założeniom, wrogim budowie armji.

Na straży honoru żołnierza polskiego, świadomi następstw tego sprzeciwu, wytrwamy w obrobie naszej godności“.

9 lipca — Przysięga znikomej mniejszości legionistów w koszarach 3 p. p. w Warszawie.

10 lipca — Pierwsze zwolnienia z Legjonów Polskich za niezłożenie przysięgi.

10 lipca — Przyjazd oficerów do naszego pułku z kursów i zwolnionych z 2 i 3 p. p. Aresztowanie Komendanta 5 pułku, obywatela majora Trojanowskiego.

11 lipca — Zwolnienie z Legjonów, bez prawa noszenia munduru, pułkowników Beliny i Norwida.

13 lipca — Odmówienie złożenia przysięgi przez cały 5 pułk piechoty, zmasowany na placu obok koszar w Zegrzu Południowym, a dowodzony znów przez majora Trojanowskiego, wobec delegata Tymczasowej Rady Stanu inż. Kaczorowskiego i Komendanta Brygady pułkownika Roji.

13 lipca — Ostatnia defilada walecznego Pułku Piątego przed pułkownikiem Roją. Defilada — nad defilady!!!

14 lipca — Królewiaci naszego pułku — Nationalpolen, zwolnieni przez Komendę Legjonów spowodu niezłożenia przysięgi oddają broń pozostającym w pułku galicjanom.

Oddaliśmy broń nie Niemcom, ale swoim kolegom.

Rozbrojonym Królewiakom zostają tylko torby chlebaki.

Tak żołnierz polski, jak dziad, opuszcza swój pułk po trzech latach wojowania! Galicjanie prezentują broń i defilują przed „dziadami“, odchodzącymi do Szczypiorni.

15 lipca — Rozkaz Komendanta, by się dać internować w Szczypiornie i Benjaminowie.

16 lipca — Aresztowanie obywatela Sławka i kilku oficerów z P. O. W. oraz rewizja u obywatela pułkownika Sosnkowskiego.

17 lipca — Załadowanie do pociągu bezbranych naszych chłopców Królewiaków na stacji Zegrze. Kompanja honorowa nasza i ani jednego Niemca! Kochane chłopaki przypomniały sobie o mojem istnieniu i wiwatując na cześć oficerów pułku, krzyknęli mi: „Niech żyje Pitulinka!“

Z żołnierzami jadą przebrani za szeregowców: ppor. Leon Koc, ppor. Artur Maruszewski, ppor. Paweł Stefański i chor. Czachowski.

Odjazd pociągu pod dowództwem majora Olszyny przy śpiewie i krzykach pożegnania.

Czy będzie Polska, czy Polski nie będzie, takiego żołnierza już więcej nie zobaczę!

Zostajemy na peronie dworca kolejowego Zegrze — my Piąty Pułk! Rozbity tylko fizycznie, gdyż serca nasze gonią za pociągiem „Szczypiorniaków“, a ich serca zostały tu na wąskim peronie małej końcowej stacyjki z nami, którzy na parę dni mamy jeszcze broń przy boku.

18 lipca — Nasi koledzy, jadący do Szczypiorna, wydali następującą odezwę w czasie podróży:

Obywatele!

Za stałą wierność idei — jedziemy do obozu jeńców. Jesteśmy dumni ze spełnionego obowiązku i jesteśmy pewni, że tak nas zrozumiecie.

Wiemy, że poza bandą pruskich pacholków i sprzedawczyków stoi jeden wielki Naród — Naród, który łącznie z nami, wkrótce znów podejmie walkę z bronią w ręku o wolność i niepodległość Ojczyzny.

Wiemy, że postępowanie nasze jest wynikiem zbiorowej woli całego Narodu i że tej woli jak dotychczas, tak również i w przyszłości, zawsze się podporządkujemy i dlatego też jedziemy wesele i ufni w potęgę czystej sprawy.

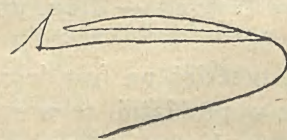
Śmierć i hańba pruskim pacholkom i sprzedawczykom!

Precz z nowoczesną Targowicą—Radą Stanu!

Niech żyje Komendant Józef Piłsudski!

Niech żyje Armja Narodowa!

Niech żyje Niepodległa Republika Polska ludowa i demokratyczna!



DO TOWARZYSZY BRONI!

*Kiedyś... gdy w dom mój przyjdziecie ludny, wesoły —
za wzór was postawię obywateli,
w najlepsze winy przystroję stoły
i w izbie święto uczynię niedzieli —*

*sproszę sąsiadów z sąsiednich wsi i chat,
ziela pachnące w dniu tym poświęcę w kościele —
zapowiem w rodzinie radość — i w domu ład —
umiotę izby, jak na wesele...*

*Ogród przed domem w nowe kwiaty ustroję —
poznoszę co najpiękniejsze ziela —
i wśród święta tego przypomnę wam boje
i życie żołnierza-obywatela!...*

*Tak w starej, żołnierskiej naszej wierze,
powstaną widma — hetmany kochane —
pieśni dawne o Brygadjerze,
Twórcy Legjonów — niewyśpiewane...*

*I duma bitew... pochodów... pożogi
pieśń przeraszona zmartwychwstania i tęsknoty,
Józefa Piłsudskiego nowe drogi
słońca rycerskie — bohaterów cnoty —*

*wszystko to razem w Polski błękitcie,
wieńcem wspomnień serca nam opasze
na jakieś inne, nowe życie,
pod to samo hasło nasze:*

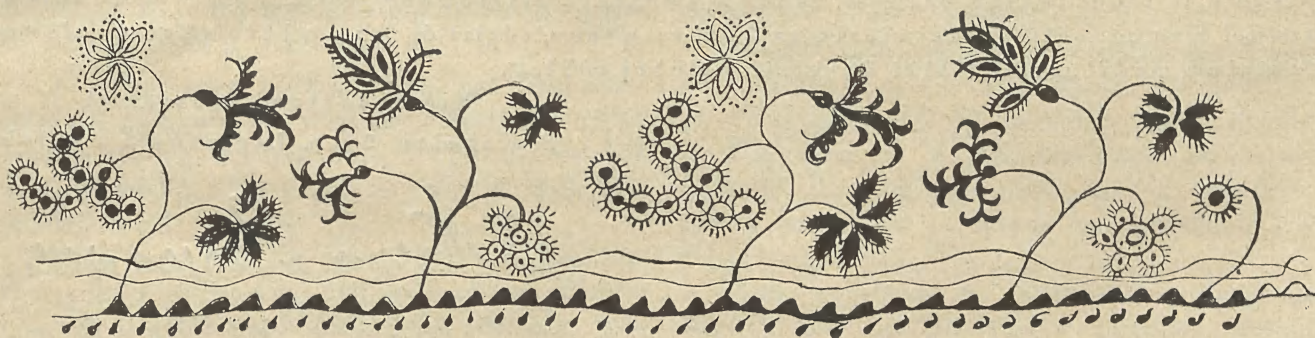
*Ojczyzna!... Komendant niech żyje!...
Niechaj śnią się bitwy z promienną wiosną...
— Czy to Moskali pułk piąty bije?!
Nie — to żołnierz sprawia ucztę radosną;*

*bo w dom jego ludny zeszli się towarzysze pancerni,
więc zdrowie wodzów i wspomnień uczują ochoczo...
Imiona ich Polska unieśmiertelni;
duchy ich przez Karpaty, Wisłę, Bug i Styr kroczą!*

*Przeto gdy w dom mój przyjdziecie ludny, wesoły —
za wzór was postawię obywateli,
w najlepsze wina przystroję stoły
i w izbie święto uczynię niedzieli!...*

Stanisław Jankowski

NA POZYCJI, W MARCU 1916





ZENON KONONOWICZ

Domek w Żulowie, w którym mieszkał Marszałek Piłsudski po pożarze pałacu

KOMENDANTOWI W HOŁDZIE

Gdy po dwudziestu latach wspominam twarą, lecz jakże radosną i zaszczytną służbę pod dowództwem Komendanta w I Brygadzie, którą miałem szczęście pełnić wśród roześmianej braci legionowej, idącej za Nim na śmierć i życie, staje mi przed oczyma niezapomniana postać umęczonego Kaszubskiego. W świetle heroizmu jednostki zrozumieć mogę, że garstka legionistów na skinienie Wodza spełniła to, co spełnić zdoła tylko cały naród. Snać ofiarom i poświęceniom błogosławiła Najświętsza Królowa Polska w Ostrobramskim obrazie, skoro w Konarach ofiarowany medal z Jej wizerunkiem sprawił Komendantowi tak wielką radość, że wypowiedział do mnie wobec oficerów słowa: „Dostałem medal mojej Matki Boskiej Ostrobramskiej”.

Komendantowi w hołdzie!

B. Kapelan 5 p.p. Legionów Polskich

Ko Kosma Lencso wels

WYGNANIE C KRÓLEM

*Józefowi Piłsudskiemu w holdzie
wspomnienie o Jego starszym Bracie*

Istnieje na Dalekim Wschodzie, na wyspie Sachalinie, plemię białe, które człowieka nazywa „Ainu“, i wskutek tego przez etnografów zostało nazwane: Ainosi, lub Ainowie. Blisko pięćdziesiąt lat temu dostał się między nich dwudziestoletni pan Bronisław, oderwany od rozpoczętych studjów prawnych nad Nową. Stało się to przypadkiem.

Młody prawnik nie zajmował się wcale polityką, jak jego młodszy brat, Józef, który później miał zasłynąć, jako redaktor „Robotnika“, a następnie jako twórca Legjonów, wskrzesiciel i naczelnik państwa.

Pan Bronisław znał w Petersburgu kogoś, co w tych ciężkich latach, w 1887 r., zajmował się fabrykacją bomb — i za usługę temu znajomemu oddaną zapłacił piętnastoletnim pobytom na Sachalinie. Nie miał tam książek, nie spotykał ludzi sobie równych, więc zajął się tuziemcami, stając się ich opiekunem i doradcą w stosunkach z władzami, rozjemcą w sporach i zaufanym przyjacielem. On w pierwotnym tem plemienu widział ludzi, godnych szacunku i miłości, a przez to stał się im bliski.

Inni etnografowie patrzą na ludy pierwotne tylko jako na przedmiot ciekawych badań. Pan Bronisław przedewszystkiem chciał im służyć, a przez to poznawał ich lepiej niż ci, co chcą ich tylko badać. A przytem był dla nich jedynym wśród obcych przykładem prawdziwego człowieka, więc go uważali za swego.

Gdy ktoś niezyczliwy ostrzegał, że pan Bronisław jest niebezpieczny, bo Ajnów chce na swój ład przerobić, a potem wszystkich gdzieś daleko w świat wyprowadzić i zatracić, inny Ajn odpowiedział z głębokim przekonaniem: „Jakto, ty nie wiesz, że to my jego przerobiliśmy, i on u nas na zawsze zostanie, jako nasz“.

Gdy nareszcie w 1905 roku pan Bronisław otrzymał paszport na wyjazd z Sachalinu przez Japonję i Stany Zjednoczone, wśród Ajnów zapanował wielki żal, i prosili go, żeby do nich najrychlej wrócił.

Jemu pilno było do ziemi rodzinnej. Przywoził rzadką i gruntowną znajomość kilku wymierających nad Oceanem Spokojnym plemion, któ-

rych badanie budziło wielkie zainteresowanie wśród amerykańskich etnografów, bo plemiona te stanowią ostatnie szczątki pradawnych mieszkańców Azji Wschodniej.

Ich język, obyczaje, tradycje, nie zmieniły się prawdopodobnie w czasach historycznych i odpowiadają epoce przedhistorycznej — przez co pozwalają nam sądzić o stanie ludzkości z przed wielu tysięcy lat. Więc amerykańskie instytucje naukowe ubiegały się o pana Bronisława. Proponowano mu znaczne środki na nową amerykańską ekspedycję, w celu zebrania kolekcji przedmiotów codziennego użytku u tego dawnego ludu. Pan Bronisław wołał z bogatym materiałem, zebrany w czasie wygnania, osiąść w Krakowie i oddać wyniki swych badań Akademji Krakowskiej, pod warunkiem, aby zostały ogłoszone w języku angielskim, a nie żadnym środkowo-europejskim.

Warunek ten wywołał wielką opozycję, gdyż było niesłychane, żeby Akademia wydawała dzieło angielskie. Ajnami w Polsce nikt się dotąd nie zajmował, więc nie było celu pisać o nich po polsku. Pan Bronisław osiągnął swój cel po wielu dyskusjach, i trzy lata przed wojną wydał nakładem Akademji Krakowskiej pierwszy z dziesięciu tomów swych materiałów pod tytułem: „Materials for the study of the Ainu language and folklore“. Dalszą publikację przerwała wojna.

Wojna zaskoczyła pana Bronisława w Zakopanem, w otoczeniu, w którym mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że Niemcy będą pobici, mało kto rozumiał, że Legjony będą narażone na przesładowanie, a ogół widział w nich nadzieję niepodległości. Pan Bronisław miał rodzonego, bardzo kochanego brata, na czele tych Legjonów, i wszystko go popychało do udziału, bądź w samych legjonach, bądź w ich organizacji.

Jednak inne względy go ciągnęły ku Francji i w 1915 r. po wielu trudnościach wy dostał się do Szwajcarii. Tu go poznałem nad Lemaniem i zapragnąłem, by ta szlachetna postać polska wyraziła się dla szerszego ogółu tak, jak się wyraziła w pogawędce o swych przygodach w kole swych znajomych.

Jest to niełatwe, bo ludzie, którzy mają dar opowiadania, rzadko znoszą przymus pisania.



Trzebaby poety, coby słuchając takich prostych opowiadań, odtworzył je artystycznie, jak Mickiewicz spożytkował opowiadania niektórych emigrantów w „Panu Tadeuszu“.

Pan Bronisław opowiadał swe przygody w sposób prosty, bez pretensji do żadnego bohaterstwa. Jednak, gdyśmy go słuchali, wyrastała w naszej wyobraźni postać prawdziwego bohatera. Bohaterem być musiał wygnaniec, żeby, sam cierpiąc niedostatek, pozbawiony wszystkiego, co mu drogie, poświęcał się dla tuziemców, zawsze przede wszystkim dbając o ich dobro i cierpliwie przenosił się całym duchem w sferę ich życia tak dalece, że oni go uznawali za swego.

Jaki wpływ miał na nich widać nietylko z ich zaufania, które mu pozwoliło zebrać kilkaset ich legend i przypowieści, ale także stąd, że ci Ajnowie w panu Bronisławie pokochali Polskę, jako coś wielce odrębnego od dwóch sąsiednich państw,

z którymi stale mieli do czynienia. Polska weszła do ich legend, jako kraj mędrców i bohaterów, choć poznali tylko jednego Polaka, co się im w pełni ukazał, jako mędrzec i bohater.

Nie śmiem nawet powtarzać cokolwiek z zapamiętanych opowiadań pana Bronisława, z których nietylko ja, lecz i inni słuchacze te same wnioski o jego wyjątkowym wpływie wysnuli. Nie jestem poetą i w mojem streszczeniu opowiadania wielceby straciły na uroku. W braku poety mógłby może zastąpić go stenograf, ale obecność stenografa zamknęłaby usta panu Bronisławowi, który unikał rozgłosu tak dalece, że nie pozwalał wymienić jego nazwiska tym, co pisali wówczas o nim.

Pan Bronisław opowiadał o Ajnach, nie o sobie i rzadko używał wyrazu *ja*.

Lecz mówiąc z zapałem o ludzie pierwotnym mimowoli sam siebie malował i wyrastał na po-



ZENON KONONOWICZ

Brzoza, pod którą siadywał Marszałek

stać legendarną, jako istny król badanego plemienia, mający władzę i mędrca i kapłana i sędziego rozstrzygającego najzawilsze spory.

Człowiek spokojny a stanowczy, serdecznie życzliwy i umiejący dobrze radzić, zupełnie bezinteresowny, a nawet bezgranicznie ofiarny — umiał zdobyć cześć nawet Ajnów, którzy tak mało mogli mieć z nim wspólnego. Mają oni swą ustaloną hierarchję społeczną z rodami uprzywilejowanymi — więc niełatwo cudzoziemiec, i to prawnie

upośledzony, mógł w tej hierarchji zająć naczelne miejsce.

Musieli go wypróbować w wielu trudnościach, tembardziej, że są, jak zwykle ludy uciskane, nieufni.

To, że Polak umiał sobie w ten sposób zaszkarbić ich zaufanie przez to właśnie, że był i pozostał po latach wygnania prawdziwym Polakiem, jest chwałą nie tylko jednostki, ale polskiego ducha wogóle, tego samego ducha, co stworzył unję między dawnymi wrogami, budząc ich wzajemnie ku sobie zaufanie.

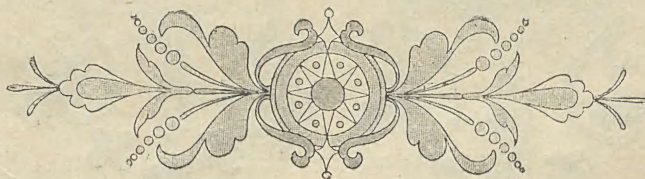
Serdeczność i ufność — to są cechy bardzo charakterystyczne tego polskiego ducha. Jego powołaniem jest zwaśnionych godzić, sąsiadów łączyć węzłami nierozzerwalnej przyjaźni. Tej samej sprawie wiekuistej służył pan Bronisław na Sachalinie, co Domejko w Chile.

Polski ton ducha istnieje u wielu nieznanym szerszemu ogółowi Polaków, cichych bohaterów, i gdziekolwiek ich Opatrzność poszła, zyskuje cześć i miłość, mimo tego, że Polacy rzekomo między sobą często się pogodzić nie mogą, i wszczynają gorące swary. Obcowałem przez tydzień z panem Bronisławem po kilka godzin dziennie, i rzadko w życiu tak jasny, tak czysto polski ton słyszałem, jak w opowiadaniach tego zesłańca.

Niestety, nikt tych opowiadań nie zdołał spisać, a Bronisław Piłsudski jeszcze przed końcem wojny umarł w Paryżu, osamotniony i rozgoryczony, a nawet w pewnej mierze upośledzony i niedoceniony, przez zbyt partyjne (endeckie) ówczesne swoje otoczenie. Niewątpliwie materiały przez niego zebrane zostały zachowane, i mogłyby jeszcze być wydane, gdyby się znalazł ktoś, kto by chciał i umiał się tem zająć.

Jego niepospolita osobistość żyje w pamięci wszystkich tych, co mieli szczęście go poznać, i budzi cześć dla znakomitego rodu, który tak świetnie zabłysnął.

W. Lutosławski



JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU

Cześć Ci za zapal i naszą dumę o Tobie,
za posiew krwi w Ojczyźnie... za czynów stal...
za sztandar zwycięski na wroga grobie,
za poszept wichru... i pogwar fal...

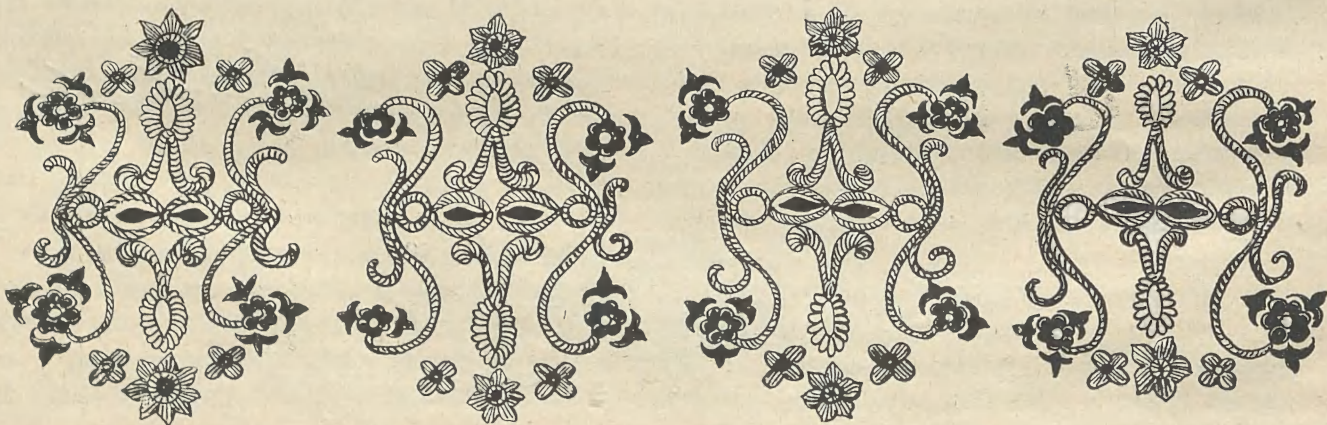
Cześć Ci, o Wodzu! za pieśń i tęsknotę,
za natchnień wielkich Orędzie,
za wolności słońce złote!
Cześć Ci w domu... w ojczyźnie... wszędzie,

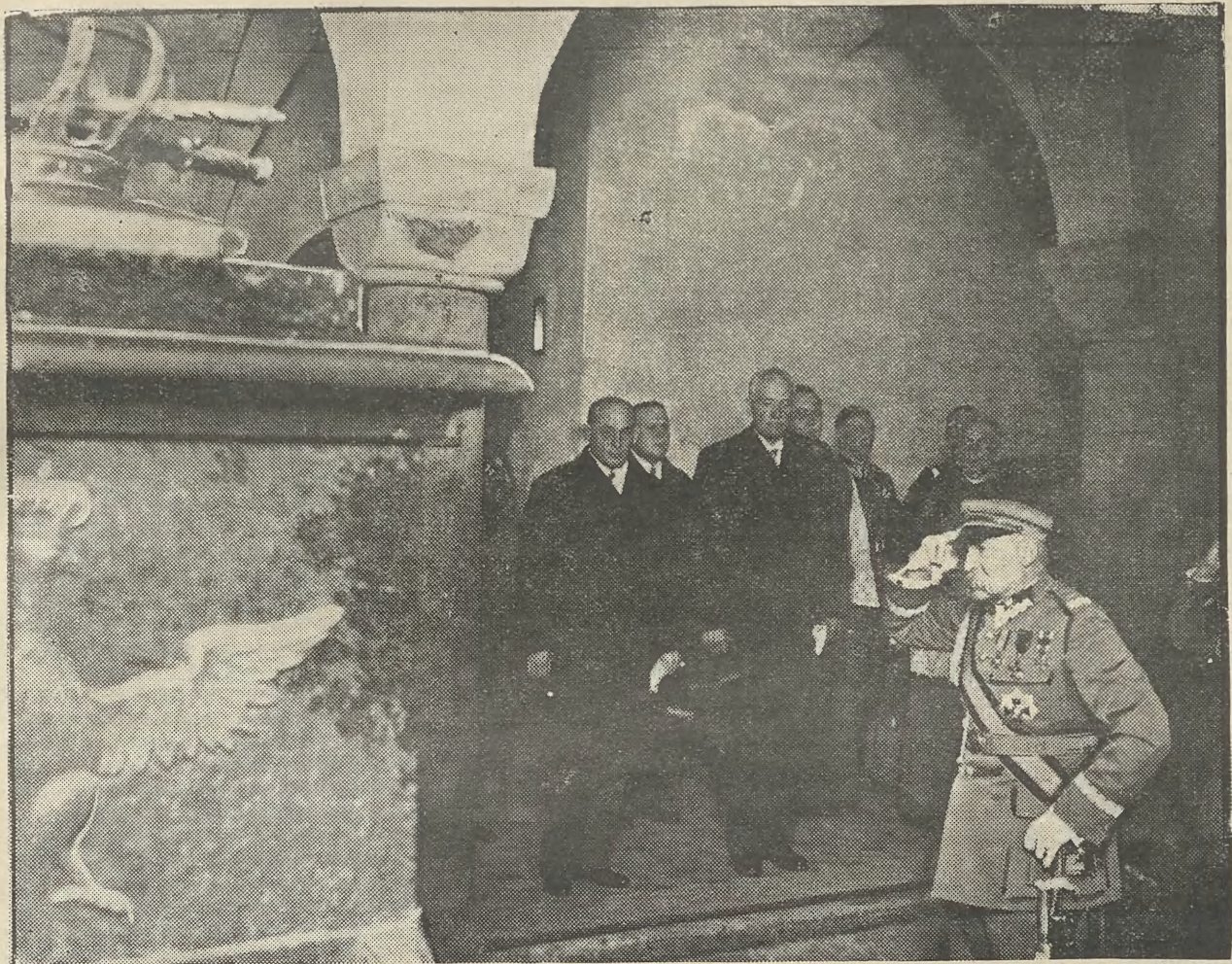
gdzie wstęgi swoje toczy Wisła, Bug i Warta,
gdzie Styru zatoki szemrzą głuche pacierze...
od Karpat, kędy dziejów odwrócona karta
podana była Tobie do napisu, Brygadjerze!

Cześć Ci — o cześć, Wodzu! O Tobie hetmańska
[duma w ludzie
za wielkie z narodem przymierze!...
Zmartwychwstanie Polski w Twoim trudzie,
Cześć Ci przeto, Brygadjerze!

Za odzew serc... pragnienie dusz... za słowa czar...
za szczęścia uśmiech w nowej wierze...
za orli lot... i za Polski dar...
Cześć Ci, Wodzu nasz Brygadjerze!...

Stanisław Jankowski





Hold Janowi III Sobieskiemu

SŁOŃCE NA PŁYTACH GROBOWYCH

Przez Polskę rozdartą i przez Polskę zmartwychwstałą, przeszły godzin szeregi, od których grozy, napięcia, zaleku, rozpacz i radości zamierały serca. Godziny te wstrząsały aż do głębi, przeorywały nasze wnętrza, pobielały nam twarze, lub rozelsniwały nasze oczy. Miały czasem posmak piolunu, czasem upojenie radosne, lub nieutulone zwątpienie.

Więc — obyśmy, twardziśmy na wzruszenie. Może zanadto nawet obyci, może zanadto twardzi, może zanadto sceptycznie patrzący na wszystko co trąci wiecznością. Mistycznego znaczenia znaków nie dostrzegamy — przed blaskiem wspomnień nie mrużymy oczu, ambrozię prorocत्व spełnionych pijemy jak wodę. A jednak...

Ktoś bardzo znaczny, ktoś, kto zbliżka patrzył na rzeczy w Ojczyźnie straszliwe, kto czynny brał udział w momentach desperackich i natchnionych,

kto wchłonął w siebie noce czarne od buntu i świąty różowe od nadziei — ktoś bardzo spokojny i zrównoważony, mówił mi o dniu 6 października 1933 w Krakowie.

Nie o buńczucznej, brawurowej, nawałniczej, jedynej jak świat długi i szeroki defiladzie polskiej kawalerji przed Wodzem — nie o łomocie kilkunastutysięcznych kopyt końskich, których gwałt piekielny aż po Wiedeń chyba słyhać było — nie o zjeździe prześwietnym, o huraganie wiwatów, o mowach, o chwale, o wspaniałości, lecz o jednym drobnym na pozór szczególe. A mówił ten ktoś znaczny, tak, że głos się łamał co chwilę i drżał.

Coś się musiało w tych murach Krakowa stać szczególnego, coś niezapomniane wielkiego, coś zakrojonego na fidjaszową, nieśmiertelną miarę.

*

Wawel gorzał jak pochodnia i drżał od wrzawy, aż do ostatniej szczeliny wypełniony tem, co w Rzeczypospolitej najświetniejsze. Zdawałoby się, że wszystko jest możliwe w takim zbiorowisku ludzkim, w tak nerwowem napięciu uczuć i ciekawości, w takiej zgłębliwości oręża wszelającego, szabel, krucyfiksów i kadzielnic. Wszystko, prócz ciszy. Lecz właśnie nagle stała się cisza.

W jednym momencie stała się taka cisza, że każdy poszczególny oddech, każdy szelest munduru czy komży, można było uchem złowić. Wszystko jakby wsiąkło, wsączyło się w purpurę i pleśń murów. A potem — ton za tonem, dźwięk za dźwiękiem, zaczęły się odrywać od ciszy, plastrami, stalowymi jakby paździerzami, kroki ludzkie, miarowe, ostro odcinane, żołnierskie w twardości, anheliczne w rytmie.

Na przedzie, opięty w szaroniebieski mundur, o odcieniach akwamaryny i polskiej jesiennej goździny — przepasany błękitną wstęgą, której brzegi obrębiał wążutki, surowy skrawek czerni — szedł Wódz. Józef Piłsudski. Straszliwie cicho, ciężko i zarazem zwiewnie, jakby niesiony, a za nim 24 generałów, 24 marsowych postaci, o twarzach, ujętych w rzemienie, o korpusach wyprężonych pod nawałą odznak i orderów. Zeszli jakby z jakiegoś fryzu, z jakiegoś posągu, przechowywanego w nieznanej dotąd wnęce komnat, czy kaplic zamkowych.

Z jakiegoż to fryzu schodzą rycerze niezlomni — przedwieczne i odwieczne, anielskie Rodzeństwo nasze (jak mówi poeta) i poco z jasności świętecznego dnia maszerujecie w ciemną i nieodgadnioną czeluść śmiertelnych spraw?!

Bo zaczęli schodzić za Wodzem, dwójkami, do krypty, jacyś wciąż zupełnie inni dla tych, którzy ich znali na codzień, jacyś smuklejsi, wyżsi, jacyś symboliczni w swoim nienaruszalnem milczeniu, jacyś nierealni w swojej widmowej powadze i skupieniu.

Tylko chyba poezję najczystsza można było podkładać ich krokom do taktu. Wybijali oni tymczasem żołnierskim krokiem swoim Wodzowi, Jego słowa niewypowiedziane:

— ...gdyś za dnia i po nocy rozplątywał supły i węzły namotane — gdyś rozwiązywał pętle stryków — widziało mi się, że ręce moje wspiera przezdziwne pocałowanie dziesiątków setek lat. Widziało mi się w omdleniach duszy, że na mą pracę bezsensną czyhają jęki więzień głębokich, że za nią wzdychają drogi jakowychś straszliwych pochodów i wszystkie mogiły rycerskie i królewskie, rozsiane po polach i kryptach Rzeczypospolitej...

Cóż dziwnego, że wiódł teraz ten pochód On, w wyniku faktu, iż nie zadrżała Jego dusza przed głuchym protestem tchórzy, ani nigdy się nie dała skusić uśmiechowi spoczynku, ani usnąć przez trójseten jedwabnej niewoli, przez całe lata mozolne, aż po godzinę chwały?

Wybijają kroki żołnierskie takt pod słowa natchnione:

*tajemniczy bór
ukolysał mnie —
i przytulił mnie —
usynowił mnie...*

i coraz niżej schodzą i schodzą w mroczną czeluść generałowie. Owiewa ich już chłodne tchnienie. Z prawa i lewa podnosi się ku nim klanogor umarłej wielkości, zaprzepaszczonej przez potomność dzieł — skamieniałe echo wypraw świetnych i niewykorzystanych, straconych — bilans planów olbrzymich, nieziszczonych, choć pisanych sceptrem i mieczem i podnosi się ku nim bliższy jęk, tych, którzy absolutnie marzeń nie osiągnęli, którzy zeszli w pół drogi, lub prorokowali mrokom i trzinom suchym, łamliwym.

Jakby ktoś żarliwie skandował we wnęce:

*Gdybym ja nie był druid skamieniały,
bóg bez wieczności i król bez korony —
gdybym ja nie był ptak morski szalony,
gdybym ja nie był od męki zczerniały,
gdybym ja nie był jak śpiew na mogile,
powiódłbym na Termopile...*

Nie powiódł, ani ten, ani ów. Idą więc za Tym, który nie był druidem skamieniałym, bożgiem bez wieczności, królem bez korony i śpiewem na mogile. Żaden z nich, z Jego ludzi, nie był śpiewem na mogile i dlatego schodzą teraz od Termopil ku mogiłom, tak pewnie, tak równo, tak spokojnie, ku świetnym, królewskim, rycerskim mogiłom, desperackim i dumnym, w których spoczywa nie garść popiołów, lecz szmat dziejów wielkiego ich Narodu.

Nie boją się mogił, ani ich milczącego sądu, ani ich zimnej jak lód, nieublaganej dalekości i bliskości zarazem aż upiornej. Zawisli na rozkazach Wodza, oddawszy mu w ręce, swoje wierne, zapalczywe dusze żołnierskie. On zda rachunek umarłym. Czy zresztą w tej godzinie się wie, kto żywa a kto umarły? Gdzie się kończy ludzkie istnienie przelotne, a zaczyna Nieśmiertelność—!?

Nic się nie wie.

Tajemniczy bór
ukolysał mnie — —
i przytulił mnie — —
usynowił mnie...

Teraz przyspieszyli jakby kroku, na stopniach ostatnich. Wódz stał już przed sarkofagiem Króla — Króla, którego zwycięstwo było ostatniem polskiem zwycięstwem, aż po dzień bitwy o Warszawę w roku 1920.

W ciszę, natężoną już do granic mistycznych, rozdieraną tylko miarowym łomotem kroków żołnierskich, nagle zamilkłych, padło odezwanie Wodza, krótkie, zwięzłe, jak sprezentowanie szpady:

— *Panie Prezydencie Rzeczypospolitej! W imieniu wojska składam hołd królowi polskiemu, Janowi Trzeciemu Sobieskiemu...*

A potem ten sam głos dorzucił generalicji rozkaz: *baczność!* — i Wódz sam stanął na baczność, jak ze spizu odlany, u stóp królewskiego sarkofagu, milczący i nieruchomy.

— *...tajemniczy bór
ukolysał mnie —
i przytulił mnie —
usynowił mnie...*

Teraz już nie kroki żołnierskie skandują rytm chwały — teraz wyrznęły wszystkie dzwony w takt i wszystkie paszce ciężkich dział. Mówiły one do ludzi swym nadludzkim głosem wyraźnie i potężnie, ale co mówił milczący Wódz tamtemu zmarłemu Wodzowi? Jaki raport zdawał wszystkim spo-

czywającym tu Poprzednikom swoim? Czy włożył w wyznanie chmurną tkliwość swoją i dumę, czy wspomniał śpiesznie o trudach krwawych, a może tylko powtarzał bezświadomie: *Ja, jak ty „znak zdrowia Ojczyzny, buławę wojenną, pokazywałem ku czci obcym plemionom i biłem się po nocy na polach, by spała pod wyciągniętem ramieniem Rzeczpospolita, jako dziecię w kołysce...”* Któż odegnał z grobowców twoich dwugłowe orły, jeśli nie ja, Bracie mój, Hetmanie i Królu?

Może tak mówił, może inaczej. Tym widział tylko szczupłe palce, dotykające siwej maciejówki i oczy stalowe, czytające napis na sarkofagu, czy przenikające treść jego ścian z marmuru, treść spopielałego, rycerskiego serca, treść tysiąca skupionych wokół serc — treść rozfalowanego wrzuceniem, poza murami, całego radosnego Narodu.

Rzekł poeta, że: *„co króle między sobą poczyna, tego się wywiadywać nie jest rzeczą naszą...”* Zisolowały zresztą Wodza od tłumu wszystkie ogłuszające dźwięki dzwonów i armat.

*

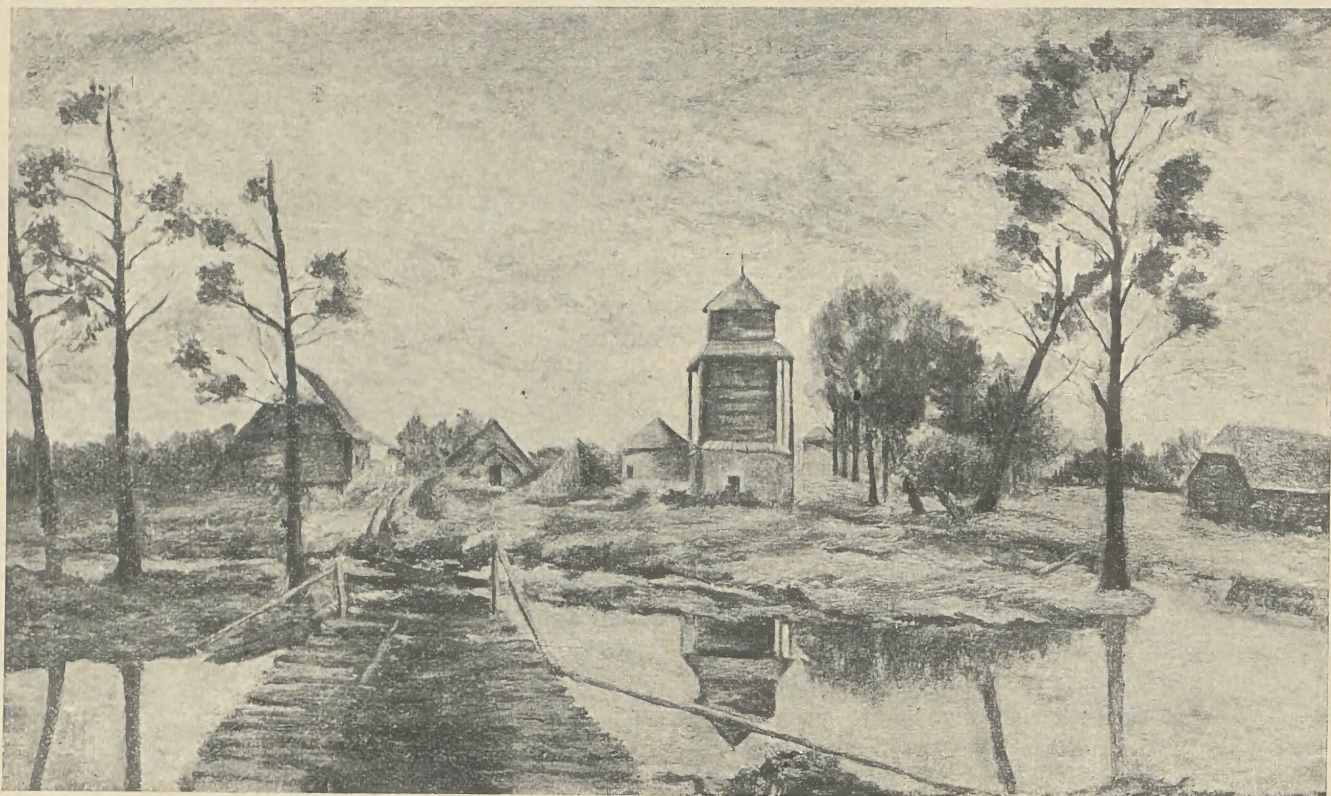
Przechodzień jakiś oparł się może o sarkofag czyjś złocisty, o czyjaś niematerjalną dłoń z alabastru, otworzył Dumę o Hetmanie i czytał słowa przedziwne w zamyśleniu głębokiem.

— *A jak człowiek nigdy tak mocno nie nienawidzi cudzoziemca, jak nienawidzi podłego rodaka — tak znowu cześć dla wielkich w Polsce dusz, za wszystko na szerokości ziemskiej starczy.*

W nich to bowiem mieszka Ojczyzna.

M. G. Bielopolski





ZENON KONONOWICZ

Ogólny widok Żułowa, miejsca rodzinnego Marszałka Piłsudskiego

ZWYCIĘSTWO MORALNE

W roku 1914 doszło do wybuchu kilkuletniej, niemal powszechnej wojny. Podstawy ustroju politycznego pokojowej Europy: parlamentaryzm, demokracja, liberalizm musiały ulec zwyciężeniu pod naciskiem konieczności wojennych. Trudności wieślorakie, zwłaszcza finansowe, udaremniły próby powrotu do przedwojennego ustroju, podjęte z chwilą ukończenia wojny. Okazało się, że dobro państwa wymaga nadal stosowania systemu silnych rządów. Mocarstwa zaborcze, Rosja sowiecka i Niemcy ograniczyły parlamentaryzm, demokrację, liberalizm niemal do zera. Polska weszła także na drogę oparcia rządu o autorytet pozaparlamentarny, atoli zachowała wolność sumienia, nauki i prasy, demokrację i parlamentaryzm w stopniu znaczą-

nie wyższym, niż nasi sąsiedzi. Rząd unicestwił społeczeństwo w Rosji sowieckiej i w Niemczech. Obecnie w Polsce faktycznie obowiązujący ustrój polityczny, nadany przez Marszałka, polega na szukaniu najodpowiedniejszych dróg współpracy rządu i społeczeństwa, dzięki czemu rząd polski ma większe oparcie w społeczeństwie. Stan rzeczy w Polsce czyni zadosyć w wyższej mierze postulatom sprawiedliwości, niż ustrój sowiecki i niemiecki. Zwycięstwa militarne, którym brak legitymacji moralnej, wzbudzają obawę o trwałość zwycięstwa. Nie żywimy ich, ponieważ zwyciężyliśmy pod wodzą Marszałka mocarstwa zaborcze militarnie i moralnie.

Adam Krzyżanowski

MOTYKA, SŁOŃCE, SEMAFORY...

Wczesną wiosną 1920 r. miasto Lublin uroczysto przyjmowało Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych. W godzinach południowych wypadła wizytacja miejscowego Uniwersytetu. W jakiejś dużej sali ustawiono pośrodku fotel dla Komendanta, dokoła którego stanęliśmy w zaciekawieniu, jak też wyglądać będzie przywitanie gospodarzy, a przede wszystkim — odpowiedź wysokiego gościa. Ciekawość nasza nie była zawiedziona. Ksiądz rektor, otoczony niezbyt liczną grupą profesorów, przeważnie w sutannach, i słuchaczy tej uczelni, rozpoczął przemowę wstępem, który byłby impertynencją, gdyby mówca zdawał sobie sprawę, do kogo mówi. Ale — być może, wielki uczony, tylko bardzo „ubogi duchem“ — wychowawca młodzieży zupełnie zdezorientował się i osądził, że mówi do podobnego sobie człowieka. Ów zabawny wstęp, wysoce pompastyczny, był następujący:

— Panie Naczelniku Państwa! Gdyby przed dziesięć laty ktoś nam powiedział, że w Lublinie, w polskiej wyższej uczelni będziemy mieli zaszczyt witać uroczysto Naczelnika Niepodległego Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza Wojsk Polskich, — ogłosilibyśmy go za warjata, nałożyli kaftan bezpieczeństwa i zamknęli w domu oblężonych...

Wszyscy spojrzeliśmy na Komendanta w tej chwili. Cóż to za wierutne głupstwo powiedziała Eminencja rektor! Wszak takim „warjatem“ był właśnie Komendant, ów „nieśmiertelny brygadjer nadziei“, rojący nie od dziesięciu, lecz od trzydziestu lat plany czynnej walki o Niepodległość i z całą pewnością przyszłego zwycięstwa, pracujący dla polskiej wojny wyzwolenczej, a był całą naszą wiarą i siłą ducha.

Komendant prawie niedostrzegalnie uśmiechnął się. Już wiedziałem, że odpowiedź będzie mocna. Po dłuższej tyradzie rektora, w której wspominał, raz jeszcze bez taktu, o specjalnem uprzywilejowaniu Uniwersytetu w Wilnie, a zapomnieniu o Lublinie, zabrał głos Komendant. Pamiętam prawie dosłownie tę prawdziwie wspaniałą odpowiedź:

— Wasza Eminencjo! Kiedy byłem małym chłopcem, a potem młodym człowiekiem, wpajano we mnie trzy następujące zasady: z motyką na słońce nie leż, przeciw wiatru nie dmuchaj, głową o mur nie bij!... Ja proszę, żeby Wasza Eminencja wpoila młodzieży, którą wychowuje, inne maksy-

my: z motyką na słońce leż, przeciw wiatru dmuchaj, głową o mur bij!...

Okropna rada dla biednego księżyny, którego zupełnie oszołomiły i tak wielkie zdarzenia dziejowe! Omal nie roześmieliśmy się głośno. Skonsternowana Eminencja spojrzała bezradnie dookoła. Jakże to? Z motyką na słońce? Zamiast „Fascina lente“? Zdaje się, że Eminencja pomyślała sobie to samo, co myślała niezawodnie przed kilku laty o organizacji bojowej PPS, o ile wogóle wiedziała, że ktoś gdzieś „dmucha przeciw wiatru“, maleńka, bezwładna i wcale nie sokoła Eminencja. Nie wiadomo, czy zrozumiała nawet niezrównany dowcip odpowiedzi owego „warjata“ z przed laty dzieściu.

Przeciw „wiatru“ dmuchaj! Słyszałem raz jeszcze, a raczej przedtem, w naszych najcięższych czasach wielkiej wojny, jesienią 1916 roku, inaczej wyrażone podobne zdanie Komendanta. Zbliżała się rozgrywka z Austriakami. Przeczuwaliśmy odejście naszego Dowódcy, jedyne, którego uznawaliśmy. W jednej z rozmów poobiednich nad Stochodem padło pytanie: co będzie, jeśli po wojnie wrócą znów czasy niewoli, a nasze krwawe i znojne wysiłki nie osiągną celu? Prosto i krótko wyjaśnił Komendant:

— Będziemy znów robili Związek Walki Czynnej, od początku...

Dziś zapewne nikt, oprócz nas, starych podkomendnych Komendanta, nie zdaje sobie sprawy, że najboleśniejszą i najtrudniejszą przeszkodą w naszej przygotowawczej pracy dla czynu zbrojnego — była nie obojętność społeczeństwa czy brak środków, lecz ów pobłażliwy i lekko drwiący uśmiech, z jakim spotykaliśmy się tak często, nawet wśród ludzi dobrej woli. Kto wie, czy nie zatrzymalibyśmy się przed tą bolesną, a w naszym pojęciu prawdziwą przeszkodą, gdyby nie Komendant, który traktował wszelkie takie i inne przeszkody, jak ów dziecięcy semafor, o którym opowiedział raz świetną przypowieść.

W pokoju bawiło się kilku chłopców lat 10—12, a między nimi jeden maleńki 5-letni Staś. Obok w gabinecie pracował ojciec. Dzieci hałasowały, co było naturalne, ale co pewien czas wybuchały żalnym lamentem. Zastanowiło to ojca. Wszedłszy do dzieciennego pokoju, zapytał:

— Chłopcy, dlaczego wy ciągle płaczecie?

— A bo my bawimy się w pociąg...

— Jakże to wygląda?

— Ano, jeden jest lokomotywą, gwizdże, sapie, za nim, trzymając go za kurteczkę, idzie tender, potem wagony, — no i tak dookoła pokoju.

— To bardzo ładna zabawa, — odrzekł ojciec, — ale po kiego licha potrzebny wam płacz?

— Bo Staś nie daje się nam bawić!

— Ten maleńki Staś? Cóż on robi takiego?

— Jak przejeżdżamy koło otomany — to on włązi na nią i podnosi rękę...

— No i co dalej?

— A my nie możemy jechać!

— Dlaczego?

— A bo on jest semafor!

Ileż semaforów takich uważaliśmy — jak owe dzieci — za prawdziwe przeszkody w pracy naszej! Ileż ich istnieje dzisiaj i będzie zawsze istnieć! Jeden tylko Komendant potrafił ocenić tak prostą pozornie sprawę: głupstwo, ubrane w togę wyroczeni i powagi. Mały Staś stał na otomanie z wątlą rączką, podniesioną do góry, a całe społeczeństwo polskie sądziło, że to semafor dla lokomotywy, wiozącej ekspozsłów i politycznych rzekomych wodzów mas do Brześcia. Przejechali polityczni następcy Lubomirskich, Zebrzydowskich i Branickich — i głupstwo okazało się w całej swojej bezsile, a zbrodnia nie została bezkarną. Od czasów Batorego karząca ręka samooobrony narodu przed zdradą i zbrodniczym warcholstwem cofała się przed bezczelnym głupstwem rzekomej siły lub hałaśliwym wrzaskiem historycznych głupców — pięknoduszków. Dla racji semaforów Stasia — zginęło Państwo. Wielki

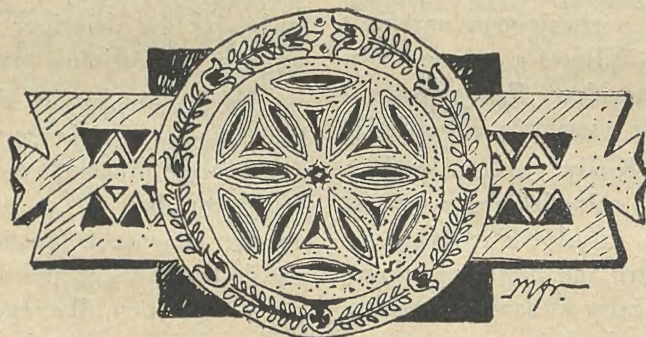


WILHELM WILK-WYRWIŃSKI

Legun

Zwycięzca prawdziwej siły nieprzyjaciół wojennych nauczył nas zwyciężać nie tylko na wojnie, lecz wskazał nam istotę wartości tysiąca wymaganych semaforów, usiłujących zatrzymać nas na drodze do potęgi i bezpieczeństwa Państwa Polskiego.

Wolfgang Forten-Gierman



KIEDY Legionistów Piłsudskiego okupant niemiecki wysyłał za druty kolczaste Benjaminowa i Szczypiorny, oficerowie niemieccy zaskoczeni byli faktem niesłychanego przywiązania i niezwykłej wiary żołnierzy w swego Wodza. Zapytany jeden z nich, czem to zjawisko wytłomaczyć, odpowiedział hardo: „Piłsudski jest naszym sztandarem!”.

A było to tak dawno w czasach niewoli.

I jeżeli dla szarych, bezdomnych legionistów i szeregowych pracy podziemnej P. O. W., Marszałek był wyrazem najlepszych ludzkich tęsknot, uczuć i poświęcenia, jeżeli z radością szli na śmierć, do więzień i za druty kolczaste, to jak wielką musiała być wiara w Polskę i w Niego.

Kiedy odrodzenie ojczyzny przestało być marzeniem, a jest rzeczywistością, wczujmy się w fakty i w tę wielką epopeję życia Marszałka: Legjony, Magdeburg i powrót, Naczelnik Państwa, wykonywanie bagnetem granic Rzeczypospolitej na wschodzie i zachodzie, Sejm Ustawodawczy, Lwów, Wilno, Kijów, zakończenie wojny, wstrząs śmiercią Narutowicza i zacisze Sulejówka — i wreszcie Czyn Majowy oraz ostatnie lata krzepnięcia pod Jego przewodnictwem sił narodu i państwa.

A we wszystkich tych strzępach tej wielkiej epopei wyrasta jasna postać Wodza, który brzemień odpowiedzialności dźwiga na swych barkach, który jest najbardziej samotny z samotnych i który jest niedościgłym wzorem cnót obywatelskich i nadludzkiej siły ducha, — Wodza, którego ongiś legionista nazywał swoim sztandarem, a przed którym dzisiaj schylamy czoła jako przed sztandarem narodu...

— — — — —
Żeromski z wnikliwością wielkiego artysty wczuł się w samotność hetmana Żółkiewskiego.

Kto i kiedy odda nam niepomiernie większą samotność, niepomiernie większy czyn i spiszową postać Marszałka Piłsudskiego?

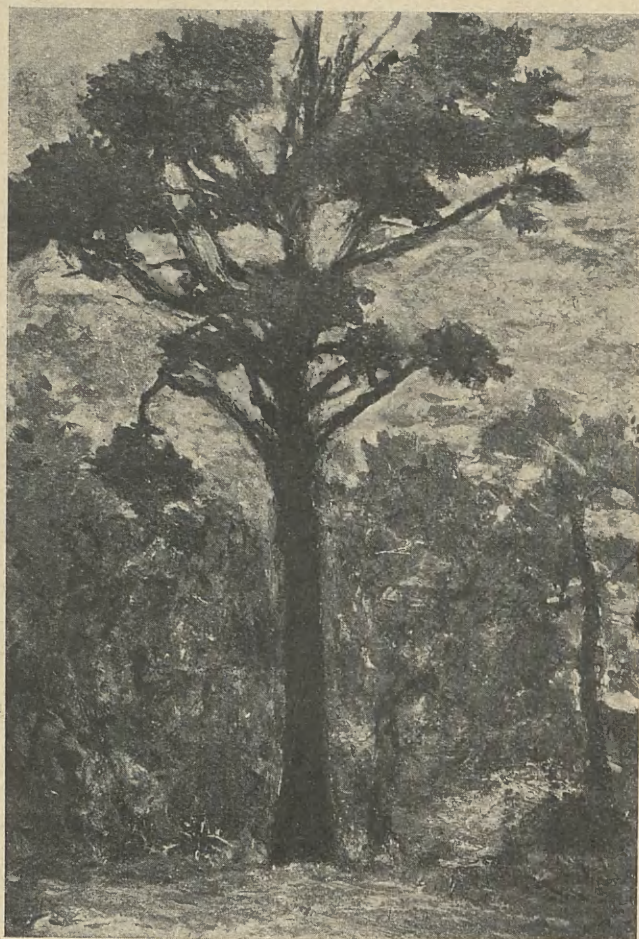
Żeromski

WODZOWI NARODU

*Z najwyższym holdcem
i najniższym pokrońcem
Entwiler folsty*

LITERACI, jako miłośnicy pięknych gestów, nie zapomną Piłsudskiemu nigdy tej wspaniałomyślności, z jaką powiedział o Słowackim: niech spocznie na Wawelu, ażeby królom był równy. Tak zmienił pogrzeb w akt koronacyjny.

Karol Trzykorski



ZENON KONONOWICZ

Sosna w Żułowiu, sadzona ręką Marszałka Piłsudskiego



PEŁALSKI

R E S U R R E X I T ! !

PIERWSZEMU MSZĄLKOWI POLSKI
JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEJ W DNIU JEGO IMIENIN
W NAJWYŻSZYM HOŁDZIE



Fresk na Wawelu

— — — — — Biją dzwony,
gryząca z duszy strząsają pleśń...
Biją i grają...

Ikają srebrzyste ich tony;
skowrończa roznosi je pieśń
na wskrzeszony bór,
na ptasząt chór,
na blask słońca, co rozkwita
i świeżą zielen wital!...

— — — — — Biją dzwony pośród burz i tumanów,
A dusza ludzka idzie z nocnych, zimnych mgieł
w świat Pański, co przenika głąb huraganów,
w szum szeleszczących ziarnem dźbel

szukać nowych wcieleń,
skronie umać w zieleni,
otoczy słońcem zmierzch
i pójść w zwierzech
wysoko,
na rozświetlone snów opale,
gdzie oko
nie sięgnie... Na dalekie dale,
na sny
i lzy,
chwasty i kąkole,
na dzikie pole!...

Biją dzwony, a głos ich wlewa radość,
szumi twórczym jakimś szałem...
Z ludzkich twarzy cimentarną zrzuca błądłość!...

Zmartwychwstania Pańskiego Święta Godzino,
Ty śpiewasz mi w duszy hymn radosny,
z Tobą czystym sercem natchnienia płyną,
idzie dzień słoneczny... rzeźwy wonią wiosny!...

A dusza idzie... wlecze się po ugorach, jak ta rzeka...
otrząsa się z gorzkich mętów życia,
szuka... czy nie dopatry gdzie człowieka,
spogląda w słońca blask... i odbicia
— jego szuka nad rzeką,
gdzie tańczące iskry strugą cieką...

— — — — — Biją dzwony ponad lądy i wody...
Chwałę Chrysta wieszczą!...
Gotuj się serce na wiosenne gody,
wiewy przeczuć szeleszczą...
w jeden hymniczny ton,
w rozkwitłe drzew pąki,
co przenika kwietne ląki...
— Bije i bije dzwon...

Idzie dusza ludzka w ten hymn zaświatów,
a wszystko złe przed nią pierzchnie!...

Idzie wśród pól... łąk i kwiatów
na zamroczę, na senną wód powierzchnię.

gdzie Chrystus dionie rozciągnięte trzyma,
idzie ku Niemu, wpatrzona oczyma
cudownych majaków
z nadgwiezdnych szlaków...
— I jej wizje i widziadła,
tęsknota, co spadła
nagle,
kładą się w niemej ciszy,
jak żagle
rozpięte w wichrze —
i słyszy
szmery coraz cichsze
dzwonu!...

Z bezbrzeżnej wędrowki dusza się wlecze,
ku Górze Zbawienia wyciąga ramiona,
za nią rozpaczę snują się człowiecze —
upada więc... podnosi się... i kona...

A dzwon świata trącony u szczytów,
wieści wiosnę... i przybywa mu placzu i zgrzytów...
a dźwięk jego rośnie,
tężeje w próżni... ponad obszary

rozgłośnie
uderza w strop szary
nieba — i huczy
nad krzywdy człowiecze —
i się włości,
na ugorach ściele...
— Tak dusza się wlecze
i płacze w kościele!...

— — — — — Biją dzwony...
Dusza się wlecze ze swoją tragedją istnienia!...
— Niechaj Będzie Chrystus pochwalony...
Resurrexit! Huczą dzwony...

I tęsknota i marzenia
w spiżowe tony
zawrotną płyną falą
pochłonięte siną dałą!...
Resurrexit!... Echo gra
i leci po nieboskłoniu...
A ktoś lka
z padolu!...

— — — — — Biją dzwony
w bezdnie... i złomy skał...
po drodze słonecznej lecą tony,
jak wicher szalony,

jak szaf
ludzi niezmierny...
Z nadchmurnych miast
w gradzie gwiazd
lecą tony!...

I dusza samotna pustem znów idzie polem...
żał jej siostry i żał jej brata...
idzie złamana ze swym bolem...
coś prze ją od ludzi... i świata...

Nie żał jej nikomu...
Pot ociera z czoła,
wlecze się z domu do domu,
nikt jej nie woła —
niepotrzebna nikomu!...

Idzie człowiecza dusza wyzwolona od ludzi...
nie widzi nigdzie ostoi, ani końca...
czuje, że nic i nikt jej żądź nie ostudzi,
że w jej bezdrożach stale gasną słońca!...

— — — — — Biją dzwony w wyzwolenia Cudzie,
w Ziemię Obiecana wiodą lud tułaczy...
— A kto opuścił ręce w bezpłodnym trudzie,
a kto w nędzy, żądzy i rozpacy,
niechaj chwyta tony pieściwem tchnieniem —
czujnym spojrzeniem,
śledzi Zmartwychwstanie,
a z zawieruchy powstanie!...

Bo dziś tęsknoty tak cicho kwitną,
że Bóg je błogosławi
Ręką swoją aksamitną
i ozłaca znój ludzki na czole
w całym polskim żywiole!...

Stanisław Jankowski



Z PAMIĘTNIKA LEGJONISTY

SPRAWA PRZYSIĘGI W 1917 ROKU

Rok 1917 stanowił tę przełomową chwilę w życiu legionistów, która tworzyła punkt zwrotny w działalności obozu niepodległościowego i wytyczała sposoby walki na dalszą przyszłość, by tylko naczelny cel: odzyskanie niepodległości, mógł być najrychlej i najlepiej osiągnięty.

Przy milionowych armjach państw obcych i wrogich gubiła się ta uzbrojona garść obywateli, która wyszła w pole pod wodzą Komendanta Piłsudskiego, ale skoro społeczeństwo nie umiało z tej gromadki uczynić odrazu wielkiej armji, godnej narodu Chrobrych i Batorych, to przynajmniej trzeba było tak sprawy kierować, by Legjony wypełniły do końca choćby tylko zadanie propagandowe, zadanie symbolu nieprzejednanej walki o niezależność i honor wielkiego narodu.

Mamy jeszcze w pamięci, że przed stu laty kompromisowość zabiła ducha w wojsku polskiem, które pomimo świetnej wieloletniej szkoły napoleońskiej zatraciło ducha pod obcym wodzem W.

OFICEROWIE 2 i 3 BRYGADY

(P O Z D J Ę C I U O D Z N A K)



Siedzą: por. Stefan Pomirski, mjr. Kaz. Fabrycy, kpt. Stan. Krzaczyński, chor. Borkowski. Stoją: ppor. Maciejowski, ppor. Aleks. Wojtecki, ppor. Jan Goliński, chor. Zdzisław Czubiński, chor. Łatomski, chor. Szydłowski, chor. Jerzy Suffczyński, ppor. dr. Bron. Stępowski, chor. Julian Kulski, ppor. Kiesler.

księciem Konstantym i w powstaniu listopadowym nie podołało zadaniom. Wojsko powinno mieć wodzów, umiejących natchnąć je zapalem, co jest niemożliwe przy zależności od obcych, a jeszcze do tego wrogich państw.

Wieszczowie nasi, oczekując wojny ludów, mającej przynieść nam wyzwolenie, nawoływali przez kilka pokoleń do czujności i gotowości, bo stracona sposobność może przynieść już całkowitą zagładę narodu. Tę czujność i gotowość okazał tylko obóz Józefa Piłsudskiego.

Dla Legjonów bodaj więcej przełomowym był rok 1917 niż 1914, albowiem wyruszenie w pole było naturalnym następstwem kilkoletniej przedwojennej pracy organizacyjnej, które mogło nastąpić wcześniej lub później, ale nastąpić kiedyś musiało. Tymczasem w 1917 r. obóz legionowy stanął wobec nowego zagadnienia: wyraźnie wrogie stanowisko okupantów do niezależnej polskiej armji zmuszało ratować choć symbol tej niezależności, wejść w podziemia konspiracji i przez najostrejsze podkreślanie różnicy interesów między polską racją stanu a państwami okupacyjnymi, podnosić w społeczeństwie poczucie niezależności i wzmacniać organizację wewnętrzną.

Żołnierz legionowy stanął teraz po aferze przysięgowej do służby obywatelskiej do budzenia świadomości własnej państwowości, solidarności społecznej i poczucia honoru narodowego. Spo-

leczeństwo zaczęło uważać go za budziela śpiących w niem sił, które z braku własnej organizacji były dotychczas tylko podścieliskiem dla organizacji obcych a wrogich.

Rok tej pracy organizacyjnej i propagandowej dał społeczeństwu ogromne korzyści, gdyż listopad 1918 r. nie zastał nas już tak zdezorjentowanymi i bezradnymi jak to było na początku, i dzięki temu rozbijanie okupantów mogło dać tak świetne wyniki.

Tym zwrotnym punktem w 1917 r. była sprawa przysięgi, której zażądał od reorganizowanych oddziałów legionowych „naczelnym wódz armji polskiej“, gen. Beseler. Po złożeniu takiej przysięgi trudno byłoby nawet przeszkodzić wysłaniu tych oddziałów, gdzieby się Niemcom podobało. Odmowa przysięgi osiągała ten skutek, że Niemcy obawiali się dowolnie rozporządzać temi oddziałami, które przysięgę złożyły, a następnie zaczęli wogóle nabierać szacunku dla Polaków, którzy mogli każdej chwili stać się niebezpieczni, gdy cały wysiłek działaczy niepodległościowych poszedł na tworzenie niezależnej tajnej organizacji.

Oprócz skierowania sił legionowych do tej organizacji, odmowa przysięgi była niezwykle ważnym posunięciem zewnątrzpolitycznym, które świadczy o nadzwyczajnej bystrości umysłu Komendanta, nie pozwalającego zaskoczyć się wypadkom, lecz przez szybką decyzję kierującego wy-



P O G A W Ę D K A P R Z Y P I E C Z E N I U Z I E M N I A K Ó W

Od lewej: Aleks. Wojtecki, Bron. Stępowski, Stan. Krzaczynski, Dorobczyński, Leon Protaszewicz, A. Tomaszewski, Mara.

padkami. Państwa okupacyjne oraz wszystkie inne państwa europejskie stanęły odtąd wobec faktu istnienia polskiego ruchu niepodległościowego o nieobliczalnych możliwościach, który należało uwzględnić w działaniach wojennych oraz w grze dyplomatycznej.

Jeżeli fakt powstania Legionów w 1914 r. będziemy uważali także za moment narodzenia się istotnej polskiej polityki zagranicznej, to sprawa przysięgi w 1917 r. jest już pełnym wyzwoleniem się tej polityki do swobodnego działania. Z tego stanowiska sprawa ta nabiera dopiero należytego znaczenia.

Wewnątrz kraju zaś sprawa przysięgi dała kierownikom ruchu niepodległościowego cenne zdobycze: została zdemaskowana nieszczerłość władz okupacyjnych oraz ujawniły się słabe punkty, na których można było potem zaatakować okupantów.

* * *

Kilka poniższych ustępów z pamiętnika legionisty uwydatni ową chwilę.

17 lipiec 1917 r. — Powróciłem dzisiaj rano z urlopu do Ostrowa-Komorowa i chciałem objąć napowrót dowództwo mojej 12-tej kompanji 3-go kursu wyszkolenia (pułk rekrucki, odpowiada-

jący 3 pułkowi linjowemu), lecz zastępujący mnie podporucznik niemiecki oświadczył mi, iż pierwiej muszę zameldować się u dowódcy kursu (podpułkownik niemiecki, Bawarczyk). Zanim zdążyłem udać się do dowódcy kursu, zgłosił się do mnie oficer sądowy kursu (ppor. L.) i powiadomił mnie, że w czasie mojej nieobecności odbyła się przysięga oddziałów legjonowych i dowództwo żąda odemnie złożenia takiej przysięgi, co mogę dokonać w jego kancelarji. Oświadczyłem sądownikowi, że później do niego zajdę, gdyż tymczasem muszę zameldować się u dowódcy kursu. Miałem już przedtem ułożony plan działania i nie chciałem odrazu kart odkrywać, nie wiedząc, co mnie może spotkać. Dowiedziałem się, że płatnik wypłaca dodatek funkcyjny, wstrzymany od początku utworzenia kursu, t. j. od trzech przeszło miesięcy, co czyniło 300.— mk. Podjąłem u płatnika tę sumę, potem udałem się do dowódcy kursu, który powiadomił mnie o zarządzeniu co do przysięgi i zdumiał się niesłychanie, gdy mu oświadczyłem, że mam wątpliwości co do złożenia tej przysięgi. Mówił do mnie łamaną polszczyzną, a gdy spostrzegłem, że sili się powiedzieć mi dużo szczerych a mało przyjemnych rzeczy, poprosiłem go, żeby się nie męczył i mówił po niemiecku, to się prędzej dogadamy. Wówczas podpułkownik począł mi gwałtownie przedstawiać, że popełniłem wielkie głupstwo, przerywając tak pięknie rozpoczętą pracę, z której on był zadowolony, czego najlepszym dowodem było, że pod moją komendą znajdowali się oficerowie niemieccy.

Dla tego starego landszturmisty moja odmowa złożenia przysięgi była tak wielką niespodzianką, że wprost nie wiedział, jak ze mną postępować; jużto się wściekał ze złości, jużto mnie chciał zjednać komplementami i mało nie brał w objęcia dla przejednania. Byłem jednak nieugięty i na jego pytanie, co mi się w przysiędze nie podoba, wyjaśniłem, że jako żołnierz uważam za niemożliwe przyjęcie roty przysięgi, która zmusza do zajmowania się polityką, bo wymienia sprzymierzeńców, jakim polski żołnierz musi być wierny, a ja jestem zdania, że żołnierz powinien być posłuszny tylko swemu rządowi i nie wolno mu zastanawiać się, z kim jego rząd zawiera takie czy inne przymierza. Podpułkownik oburzył się na to wyjaśnienie i zaczął chodzić po pokoju zamyślony. Wreszcie oświadczył, że mi pozostawi tyle dni do namysłu, ile sobie życzę. Gdy oświadczyłem, że już się namyśliłem, rozkazał mi zameldować się za trzy dni.

Skoro rozniosła się wśród legjonistów wiadomość, że odmówiłem złożenia przysięgi, zapanowała konsternacja, ale też dochodziły mnie pogłoski o gwałtownych atakach na mnie z powodu tego kroku. Okazało się, że oprócz chorążego Juljana Rulskiego wszyscy oficerowie przysięgę złożyli. Gdyby nie mój wyjazd, może udałoby się zaagitować tych legjonistów, którzy uważali mnie za łącznika z 1-szą brygadą jeszcze od kampanji karpackiej, kiedy nas, dawnych strzelców, było więcej (Czechna-Tarkowski poległ pod Polską Górą). Obecnie nastrój oficerów w stosunku do mnie był tak nieprzychylny, że przestałem chodzić do kasyna i jadałem w domu. Wiedziałem, że do mojej kompanji już mnie nie dopuszczają, więc podtrzymywałem łączność z podoficerami, którzy okazali mi wielką sympatję i byliby odmówili złożenia przysięgi, gdyby postępowanie oficerów nie zbiło ich z tropu. Sierżant-szef przyniósł mi na kwaterę pieczętkę kompanijną, bym ją zabrał, bo była zrobiona za moje pieniądze, a dowództwo dotychczas nie zwróciło tego wydatku pomimo jego starań. Kompanja została bez pieczętki, ale w ten sposób przejawił się stosunek podoficerów do mnie.

18 lipca. — Zgłosił się do mnie oficer sądowy niby zapytać, co słyhać i przypomniał mi godziny, w których on urzęduje. Potem płatnik przysłał podoficera z żądaniem, bym zwrócił dodatek funkcyjny, gdyż jakoby został mi pomyłkowo wypłacony. Polecilem, by wyjaśnił panu płatnikowi, że niema żadnej pomyłki, bo w rozkazie jest stwierdzone, iż sprawowałem dowództwo kompanji, a zatem dodatek się należy. Okazuje się, że wypłata tego dodatku była umyślnie wstrzymana aż do czasu załatwienia sprawy przysięgi. Następnego dnia jeszcze raz przyszedł ten podoficer, mówiąc, że płatnik koniecznie prosi o zwrot tych pieniędzy, gdyż dowódca kursu gniewa się na niego za tę wypłatę. Otrzymał jednak taką samą odpowiedź, jak poprzednio.

20 lipiec. — Wezwano mnie ponownie do dowódcy kursu, który tak, jak poprzednio, był sam, odprawiwszy adjutanta, i rozmawialiśmy w cztery oczy. Po mojej twarzy odrazu poznał, że się nic nie zmieniło, więc zaczął opowiadać długo o świetnych wynikach dotychczasowej pracy, o tem, że 3-ci kurs jest najlepszym ze wszystkich i ja, jako jeden z nielicznych wyróżnionych dowódców kompanji, mam widoki zrobienia dobrej kariery i t. p. Tym razem mało odzywałem się i dowódca kursu zauważył, że mnie niecierpliwiają te jego wywody. Przeszedł więc do gróźb, zaciskał pięści i krzyczał, że mnie może zniszczyć. Cofnąłem się nieco ku drzwiom, a wówczas on opamię

tał się i począł mnie przekonywać w łagodny sposób, bym nie czynił mu tego wstydu, gdyż miał nadzieję, że jego kurs pozostanie jedynym, który w całości przysięgał, a tymczasem mój krok niszczy tę dobrą sławę kursu. Przytaczał jako wzór lojalności innych kolegów — dowódców kompanij, jak por. Giżyckiego, Godziejewskiego, ale to mogło mieć tylko odwrotny skutek. Na twarzy podpułkownika odbijały się jużto gniew, jużto żal, a w pewnej chwili ujrzałem łzy w jego oczach widocznie z bezsilnej złości. Patrzyłem na tę twarz spokojnie, przygotowany na wszystko i raczej obojętny. Wreszcie widząc, że jego wysiłki są daremne, podniesionym głosem rozkazał mi udać się na kwaterę i tam czekać dalszych rozkazów.

Po południu przysłano pisemny rozkaz, że jestem internowany w swojej kwaterze, której nie wolno mi opuszczać aż do dalszego zarządzenia.

Po tygodniu internowania otrzymałem rozkaz udania się do Warszawy i zameldowania się w Komendzie Legjonów. Po przybyciu tam, przyjęli mnie sztabowcy obojętnie i ze zwykłą sobie cechą protekcyjności w stosunku do oficerów frontowych. Następnego dnia otrzymałem karteczkę do komendy w Zegrzu i udałem się zaraz na poszukiwanie obozu internowanych, o którym krążyły różne wieści, ale nikt dokładnie nie wiedział, gdzie on się znajduje. Będąc w domu, pozostałem rewolwer tak, iż miałem przy sobie tylko szablę i trochę książek.

29 lipiec. — Przybyłem koleją do Zegrza, a dalej końmi odwieźli mnie Niemcy do obozu w Benjaminowie. Internowani koledzy przyjęli mnie okrzykami radości, co Niemców wyprowadzało z równowagi. Posterunki chodziły z powagą wzdłuż świeżo zakończonego ogrodzenia z drutu kolczastego.

30 lipiec. — Zaledwie zapoznałem się z nowym moim położeniem jeńca wojennego, gdy dzisiaj przybył silny oddział Niemców z karabinami maszynowymi (około 150 bagnatów), otoczył obóz i odebrał nam wszelką posiadaną broń, t. j. przeważnie szable. Musiałem rozstać się z szablą, która przez trzy lata była moją wierną towarzyszką w doli i niedoli żołnierskiej.

Dowódca oddziału odczytał nam rozkaz, że od dnia dzisiejszego przestajemy być oficerami i wogóle osobami wojskowymi, mamy zdjąć odznaki wojskowe i jako cywile pozostaniemy uwięzieni w tym obozie. Poczem oficer ten wręczył nam zaświadczenie Komendy Legjonów, zwalniające nas z wojska.

Wszystko to przeprowadzali Niemcy w tak brutalnej formie i z takim bezwzględnym zaznaczeniem przemocy, iż chwila ta oświetliła nasze położenie, jak błyskawica. Pewne sprawy zaczęły się zarysowywać w świadomości, a więc zanoszą się widocznie na dłuższe uwięzienie, gdyż wobec ludzi chwilowo zatrzymanych dla przeprowadzenia formalności zwolnienia, jak to w Komendzie Legjonów mi mówiono, nie postępowaliby Niemcy tak brutalnie, bez żadnego powodu z naszej strony; po drugie fakt ten stanowić będzie ostateczne odcięcie się od dotychczasowych kolegów, którzy przysięgę złożyli i zostali w t. zw. „Wehrmachcie“; po trzecie obóz nasz zaczyna nabierać symbolu oporu przeciw okupantom, zaświadczać o istnieniu odrębnych interesów Polski od innych krajów i to jego doniosłe znaczenie powinno być wyzyskane do propagandy niepodległościowej.

W obozie oczywiście najbardziej mnie gnębił ten drugi punkt, t. j. stosunek do kolegów, którzy złamali solidarność przeciwprzysięgową, gdyż w wytworzonych obecnie warunkach nie widziałem możliwości jakiegokolwiek współpracy z nimi, chyba wówczas, gdyby dowództwo Legjonów względnie armji polskiej objął Komendant Piłsudski, którego los po przywiezieniu do Niemiec nie jest nam znany. Jestem zdania, że z tego obozu można wracać tylko do domu, zająć się pracą organizacyjną na swoim terenie i czekać rozkazów. Jako jedyny z 3-go kursu wyszkolenia starszy oficer, który nie przysięgał, miałem teraz zerwane wszelkie stosunki z pułkiem. Dlatego dziwnem wydawało mi się, że wielu tutaj współtowarzyszy niedoli okazywało chęć powrotu do „Wehrmachtu“, mimo tych wszystkich przejść, mimo uwięzienia Komendanta.

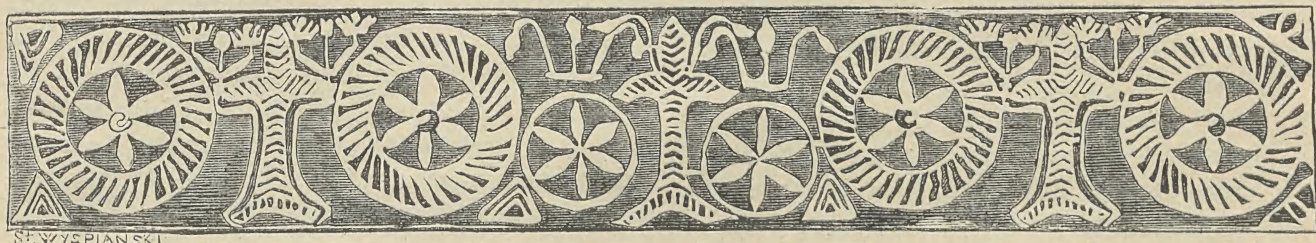
Akcja nasza wydała mi się słabo przygotowana, gdyż zaznaczało się dużo rozbieżności w poglądach na całokształt sprawy. Nawet na istnienie samego obozu panują tutaj i w całym kraju różne poglądy.

Jednak, gdy porównywałem zmysł organizacyjno-społeczny i poczucie karności u kolegów w chwili obecnej a przed trzema laty, kiedy wyruszyliśmy w pole, dostrzegałem tak wielki postęp, że napępniało mnie to otuchą na przyszłość. Bądź co bądź połowa kolegów obecnie poszła w teren

prorowadzić robotę organizacyjną i niewątpliwie spełnią oni swoje zadanie. Choć doceniałem znaczenie istnienia obozu dla propagandy niepodległościowej i wiem, że innego wyjścia nie było, to trzeba jednak zaznaczyć, że wiele bezcennej energii tutaj będzie się marnowało, gdy okupanci zechcą ten obóz długo utrzymać. Na tym małym skrawku ziemi został przecież skupiony i ściśniony korpus oficerski pełnej obsady jednej dywizji łącznie z oddziałami pomocniczymi, posiadający wspaniałe doświadczenie bojowe.

Taki to już tragiczny los żołnierza polskiego nie od dziś, ale od lat dwustu, że dezorganizacja wewnętrzna społeczeństwa, umiejętnie podsycana przez okupantów od kilku pokoleń, stoi ciągle jeszcze na przeszkodzie do własnego, większego i w pełni samodzielnego wysiłku organizacyjnego. Nie mogę opędzić się podobnym myślom, patrząc na ten obóz, którego powstanie tuż pod bramami stolicy na obcy rozkaz dołączyło jeszcze jedno piętno hańby dla narodu, niegdyś wielkiego i rycerskiego.

Al. Wajpacy.



BYŁEM świadkiem momentu, w którym Pan Marszałek Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, uczestniczył dnia 11 czerwca 1920 roku, w uroczystej procesji na Starem Mieście w Warszawie i w akcie poświęcenia narodu polskiego Najświętszemu Sercu Pana Jezusa.

Byłem także świadkiem momentu, w którym Marszałek Piłsudski, dnia 2 lipca, 1927 roku, na czele Rządu i licznych oddziałów armji, w obecności Episkopatu Polski i tłumów ludu uczestniczył w uroczystości koronacji Obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie. Uroczystość wielogodzinna odbywała się na placu przed katedrą. Po niej pro-

cesjonalnie odniesiono Obraz do Ostrej Bramy. W ciągu całego trwania kościelnych ceremonij padał ulewny deszcz, panował wichur zimny, błyskawice rozdzierały chmury. Mimo to Dostojny Pan Marszałek Piłsudski bez przerwy brał udział w powszechnej czci dla Najświętszej Marji Panny.

Rozmowy moje z Panem Marszałkiem Piłsudskim o sprawach, dotyczących wykonania konkordatu, dały mi głębokie przekonanie, że Pan Marszałek Piłsudski obok innych przymiotów duchowych jest uosobieniem miłości Ojczyzny. Wielką cześć chowa dla Ojca Św., Piusa XI, Papieża.

+ J. G. G. G.

Wspomnienia moje z „Czynem Polskim“, — a raczej Jego Ucieleśnieniem, muszę drogą wspomnień i assocjacji z r. 1935 — poprzez rok 1914 — przenieść na rok 1906.

Morze — Słońce — Błękit!

Po ciężkiej chorobie wysłana na francuską Rivierę, w rekonwalescencji, równającej się jeszcze chorobie, kroczę z moim 6-letnim Wojtkiem po promenadzie z Menton Garavan do Mentony. Mój mały prowadząc mnie pod rękę baczny, abym nie szła za prędko, abym nie stała za długo, abym się nie zatrzymywała na żadną pogawędkę. Wszystko to zakazane przez Dr. Maturier, który właśnie dał mi list polecający do pani Stefensohn, właścicielki willi Noël, tuż nad morzem, gdzie ponoć miałam pozbyć się kaszlu i gorączki, która zwłaszcza wieczorem okrutnie mnie nękała.

Idziemy — gwarzymy, t. j. On, mój Najdroższy Synuś, bezustannie gada, nie chcąc dopuścić do odpowiedzi opowiadaniem o wielkich nowinach dnia, jak oto krab wylazł na brzeg, a fale wyrzuciły mątwę, albo jak jego przyjaciel: Phön — „wiesz, taki malusieńki człowieczek co na dnie bieżącej wody rodzi się z jajeczka nie większego jak główka szpilki... — wiesz, mój przyjaciel — czeka jak Go zawołam“ — tu podało mi Drogie Dziecko zakłęcie... otóż opowiadając mi, czego ten przyjaciel nie spełnia na Jego żądanie... szliśmy. Aż tu zatrzymuje nas jakaś godna para. Ona, kobieta bardzo przystojna wykrzyknęła: „Aż to pani Wanda! Co z panią — dlaczego pani tak źle wygląda? Ziuk — patrzaj — otóż to pani Siemaszkowa!“ — „Jaż poznaję — pamiętam — pamiętam — u pp. G. w Krakowie i w Zakopanem — pięknie pani deklamowała — a ten kawaler — to synek pani?“ — Tak — to mój Wojtek. Chora jestem. Tu nastąpiło moje opowiadanie — jak to w zeszłym roku (1905 r.) w październiku (wtedy był luty 1906 r.) w objeździe ze swoją trupą, w Mińsku złapała nas rewolucja — a w parę miesięcy potem

po wytężającej pracy w Wilnie — a potem właśnie na Żmudzi, w Kownie, skąd mieliśmy jechać do Grodna, gdzie zawiązał się komitet na czele z ś. p. E. Orzeszkową — nie dojechałam, bo w Kownie, w hotelu Lewinsona złapało mnie zapalenie płuc i opłucnej i teraz tu jestem w Mentonie, gdzie siedzę już miesiąc i nic mi nie lepiej — a w willi, gdzie mi mieszkać polecił doktor, — wszystko zajęte. Państwo Dąbrowscy, bo jako takich poznałam Ich w Krakowie, popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Pan Dąbrowski wciąż z pod krzaczastych brwi przypatrywał mi się. — Jak ja pamiętam to spojrzenie, tę twarz okoloną zarostem, ten głos litewsko, śpiewnie wpadający w ucho. Po chwili pani Marja: „Tak pani najdroższa, w tej willi właśnie my mieszkamy, toż nam jedno dziś, czy za dwa tygodnie... a zresztą ten tydzień, czy dwa, my zdrowi możemy w innym „pensjonie“ — a pani chora — Ziuk — prawda?“ „Naturalnie — niech pani zaraz jutro zajmie nasz pokój — a my dziś gospodyni wymówimy. No pa — kawalerze — pilnuj Mamusi — życzymy zdrowia!“ Był to On — Piłsudski — ze swą pierwszą Żoną Marją. Naza jutrz zajęłam Ich pokój, gdzie zastałam fijołki. „Gwiazdy czy wy słyszycie?. Patrzyć blade — i ja patrzę blada, — wicher się zrywa — śnieg zawiewa drogę — o gwiazdy — jeśli która odpowiadają — ja Was dosłyszeć nie mogę!“ — A jednak spotkały się wtedy... gwiazdy! Raczej Słońce i Jego Satelita. On — wielki twórca — i ten, co dał życie Idei Polski, mój maleńki — ten rycerzyk-giermek późniejszy Wielkiego. Gwiazdeczka jedyna z wielu, co życie oddał do ostatniej kropelki krwi pod Wodzą tego Wielkiego — Wielkiej Rzeczypospolitej.

„Mamusiu, co mam zrobić, żeby nie być sławnym?“ — „Najlepiej nic nie robić“ — „Aha! a jak mi się niechcący uda zrobić coś wielkiego!“ — Zrobił chcący ten Mój Woj to, co zrobiło pod Wodzą tego Wielkiego Człowieka tysiące. — Oddał Życie.

Wanda Siemaszkowa



ZENON KONONOWICZ

Stary sługa w Żulowie — Pilnin

JAK TRAFIŁY LEGJONY DO DUSZY DZIECKA

Starsi orjentowali się we wszystkim. Byli albo za, albo też przeciw. Żyli wprawdzie wówczas i tacy, co to i Panu Bogu chcieli świeczkę zapalić, no i djabłu jakoś przymilić się, tacy neutralni, ostrożni, powściągliwi, taka letnia woda, ściślej mówiąc, ciepła bajorka, ale ich niezdecydowanie nie wynikało tyle z samej nieznajomości sprawy, ile właśnie, poprostu, z braku cywilnej odwagi.

Młodzi wiedzieli może mniej, o co właściwie chodzi, ale w każdym razie, w olbrzymiej swej większości, byli po tej stronie barykady. Ciałem i duszą, a jeśli, skutkiem jakichś wyjątkowych okoliczności, nie dało się ciałem, to przynajmniej duszą, to bodaj sercem, myślą, marzeniem, tęsknotą, bodaj każdym swoim życzeniem i każdą rozmową.

Albo my? My, niby to już nie dzieci, ale niby to jeszcze i nie młodzieńcy, my 8-9-10-letnie starsze dzieci, mądrala z lwowskiej szkoły i zawadzaki lwowskiej ulicy.

Bądź to nie wiedzieliśmy zupełnie, bądź też nie rozumieliśmy tego wszystkiego, co wkoło nas szumiało, kotłowało się, przewalało, wrzało, kipiało, by wreszcie wybuchnąć,

odwalić przygniatającą pokrywę i wzbic się w górę jasnym, strzelistym i potężnym płomieniem.

„Domek mały, chata skąpa,
Polska, swoi, własne łyzy,
Własne brudy, podłóż, kłam...
Znam, zanadto dobrze znam!”

Znali znaczenie tych słów starsi, znali poniekąd i młodsi, wyprzegając Wyspiańskiemu konie we Lwowie, nie znaliśmy jednak my. Bo i nie słyszeliśmy ich nawet.

W domu i w szkole mówiono nam, że jesteśmy w niewoli. Że dawniej i tu i w Warszawie i w Wilnie i w Poznaniu i na Śląsku i aż hen, nad sinem morzem — była Polska, a teraz są trzy zabory. Uczono nas, żeśmy Polakami, że żyjemy na swojej, własnej ziemi, ale nie możemy tą ziemią rządzić! Babka moja np. uplastyczniała mi to mniejwięcej w taki sposób:

— Wyobraź sobie dom, duży, ładny, bogaty dom, przypuśćmy 2-piętrowy. I wyobraź sobie dalej, że pewnego dnia wpada do tego domu banda złodziei i zabiera sobie cały parter. Jak się tam oni podzielili między sobą, kto i ile zajął pokoi, mniejsza z tem, dość, że jedną część domu zrabowali i usadowili się w niej. Za kilka dni robią to samo z 1-szem piętrem, a jeszcze za kilkanaście z 2-gim, tak, że wkońcu cały dom, od piwnicy, aż do strychu, jest w rękach złodziei. Gospodarzy niby to nie wyrzucają na ulicę, ale pozbawiają ich wszelkich praw, gnębnią i przesładują; rzeczywistym właścicielem domu nie wolno nietylko rządzić swoją własnością, ale nie wolno im nawet mówić swoim językiem, modlić się w swoim języku i t. d. i t. d. A teraz przedstaw sobie, że ten dom — to Polska, ci gospodarze nieszczęśliwi — to my wszyscy, a ta zgraja opryszków — to Moskale, Prusacy i Austrjacy...

— Babciu — pytałem nieraz — a czemu to ci gospodarze tego domu tak jakoś łatwo pozwalali zabierać sobie jedno piętro za drugim? Dlaczego się nie bronili, nie walczyli, ani wówczas, ani potem. Przecież gdyby zebrali się tak razem, w kupę, toby chyba dali radę złodziejom...

Wówczas oczy starej babki zasnuwały się smutkiem i jakimś niewysłowionym żalem, a z ust spadał szep, pełen gorczy:

— Bo zgody między nimi nie było. Byli tacy i wówczas, i potem, co chcieli walczyć, chcieli pomścić krzywdę i odebrać swoje, ale, niestety, ponajczęściej nie znajdowali ni pomocy, ni zrozumienia u reszty...



ZENON KONONOWICZ

Kapliczka w Żulowie

Hm? Jesteśmy w niewoli! Nieraz zastanawialiśmy się nad tem. Czuliśmy, że coś nie jest w porządku, że, skoro starsi nas tak uczą, to tak już widocznie jest naprawdę — ale jednak...

Niewola — a tu przecież w domu wszystko po polsku, w szkole po polsku, na ulicy po polsku, wszyscy dookoła piszą i mówią i śpiewają po polsku. Przecież nawet oddziały wojska, przechodząc ulicami, śpiewają po polsku. Na Trzeci Maja i Boże Ciało całe miasto pełne biało-czerwonych chorągwi. W Gwieździe, na boisku Sokoła, czy pod pomnikiem Kilińskiego muzyka rżnie „Jeszcze Polska“. Rada Miejska chodzi w kontuszach. Policjantowi dokuczają się nie dlatego, że nosi na czapce — znenawidzonego dopiero później—dwugłowego orła, ale z tej prostej racji, że to przecież... policjant... Jańciu, glina, utrapienie naszych wyścigów saneczkowych po Stryjskiej... Więc jak to jest właściwie z tą niewolą? Przecież wszystko nam wolno, przecież robimy co chcemy. W niedzielę, na chórze, starsi koledzy uwijają się między nami i zakazują śpiewać „Boże wspieraj“. Dobrze, nie śpiewamy. Profesor śpiewu czerwienieje, dyrektor wpada z ziajany i wymachuje rękami — ale my nic, ani pary z gęby. Nie śpiewamy — bo tak nam kazali ci z siódmej i ósmej. A oni przecież wszystko wiedzą, ho, ho, należą przecież do Pogoni, do Czarnych, do jakiegoś Strzelca, jakżeż więc nie słuchać ich. Spróbuj zresztą zaśpiewać! Nie zjeździesz jeszcze z chóru, jak cię zamalują w baniak, aż cała famuła będzie musiała ci go ściągać z nosa. Więc nie śpiewamy. Chociaż właściwie cóż takiego złego kryje się w tym hymnie?...

Niemądre, niedorosłe, naiwne dzieciaki!

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. To znaczy, że Moskale będą się bić z Austrjakami. Nie, właściwie nie z Austrjakami. Z nami! Z Polakami!

Dzień w dzień staliśmy na rogatce Łyczakowskiej lub koło dworca i patrzyliśmy na odchodzące pułki. Jasno-niebieskie mundury, tornistry z końskiej skóry, manlichery, armaty, furgony...

Ale co to? Już nie śpiewają po polsku! Z szeregów pada tu i ówdzie komenda w języku — niemieckim. Sztandarów polskich niema! Łopocą się tylko czarno-żółte chorągwie. Orkiestry grają nie „Jeszcze Polska“, ale „Boże wspieraj“, to właśnie, co nam na chórze, ci starsi, ci mądrzejsi, nie pozwalali śpiewać...

Dlaczego tak jest? Dlaczego wokół zrobiło się nagle tak obco i wrogo... Dlaczego nikt z żołnierzy nie podchwyci „Warszawianki“ lub „Bartoszu“... Dlaczego nigdzie nie widać biało-czerwonych chorągwi... I dlaczego matka w domu, kiedy ojciec wkładał oficerski mundur, tak strasznie płakała... Dlaczego babka spoglądała z taką nienawiścią na jego F. J. I. na czaku!...

Aha! Teraz dopiero zrozumieliśmy. To wojsko — to przecież nie nasze, nie polskie. My jesteśmy w niewoli, my nie mamy żadnych praw, my jesteśmy tylko sługami rabusiów naszego własnego kraju.

Teraz dopiero niewola przemówiła do nas całą swoją grozą. Zrozumieliśmy, jak tylko zrozumieć może dziecko, któremu się coś nagle jasno i wyraźnie objawi, że umyślnie pozwalano nam na to i owo, że przymykano wprowadzić oczy na Trzeci Maja, na skautów, na kontusze, że zwabiano nas tu i ówdzie — ale właściwie to trzymano nas za łeb, i duszono i gnębiono i, co najgorsze, deprawowano.

I nagle, jakby ni stąd ni zowąd, w przeciągu kilku dni, nieledwie tego samego dnia — owładnęła nami głęboka, po-

ważna przemiana, przeobraziły się dziecięce dusze i dziecięce serca, bo

„zawołały do nas zdala
Starych hasel złote dzwony!
Zaszumiła kłósów fala —
Wiatr z dalekiej powiał strony
I na złotym grał nam rogu
Pieśń o sławie i o wrogu!”

Rozgorączkowani, wściekli, że tak późno zrozumieliśmy prawdę, że tak długo byliśmy głupimi smarkaczami — czekaliśmy na jakieś objawienie, na jakieś przebudzenie, na udzielenie obuchem, bo mimo wszystko, ciągle jeszcze nie orjentowaliśmy się dobrze, co snem, a co jawą, oczekiwaliśmy jakiegoś bodźca, jakiegoś znaku, cudu jakiegoś!...

O, bo już tak, jak dotąd, dłużej być nie może. Albo Polska wszędzie i we wszystkim, i w sercu i na ulicy, i w kościele i na ratuszu, i w wojsku i w szkole — albo śmierć!

Tylko — gdzie jest ta Polska, gdzie znaleźć ją?!

Znaleźliśmy!

W kilka dni później, stałem ze Zbyskiem G. koło remizy na Kopernika, gdy wtem z Wuleckiej wpadło na plac przed remizę dwóch jeźdźców.

— O Jezu! — krzyknął Zbyszek i zatoczył się. Ja zaś oparłem się o parkan i patrzyłem — oczom nie wierząc.

Jeźdźcami byli — polscy ułani. Siwe mundury, amaranutowe rabaty, duże, srebrne orły na wysokich czapkach, szabliska straszne, a u lanc białoczerwone proporczyki. Twarze jak z Kossakowskich obrazków: niby to groźne, a przecież dobre, płowe włosy i wąsy, wąskie usta i takie duże, niebieskie oczy. Zsiedli i przywiązali konie do latarni. Wokół był już ścisk. Kobiety ocierały oczy chusteczkami, mężczyźni pozdejmowali kapelusze, a żydzi cmokali wargami na cały głos. Ułani zapalili papierosy i spojrzeli wprost na nas.

— A cóżto kawalerowie tak zdębieli?

My nic. Ani słowa. Bo i jak tu się odezwać, kiedy oczy wylażą na wierzch, w gardle coś nas zatyka, serce wali jak zwarjowane, a w piersiach rwie się coś i rwie...

— No, może kawalerowie powiedzą nam, którędy tu na plac Bernardyński?

Rany Boskie! Na plac Bernardyński? W jednej chwili, Zbyszek i ja, odrazu, razem, na wyścigi, jeden przez drugiego — zaczęliśmy wskazywać drogę.

Pojechali...

Nie pamiętam już, jak długo mieliśmy ich na oczach i jak długo jeszcze staliśmy obok siebie, nieruchomi, zapatrzeni, zasluchani, nie mówiąc ani słowa; to tylko wiem, że w tym właśnie momencie Legjony trafiły do naszych maślutkich serc i do naszych bezgrzesznych dusz, to tylko pa-



W. ROGUSKI

Odpoczynek

miętam, że w tej złotej, promiennej, dobrej chwili — odnaleźliśmy Polskę.

W klasie, oczywiście, urosiliśmy na bohaterów. Podczas każdej przerwy musieliśmy opowiadać, kiedy, gdzie i jak, co mówili i jak wyglądali, jakie mieli mundury, jakie konie i t. d. Podpowiadanie nam — stało się dla każdego z kolegów już nie tylko obowiązkiem, ale zaszczytem, no bo tacy, co widzieli polskich ułanów, to niebyłe co...

A z biegiem długich dni wojny, z kolejnością bohaterzkich walk Legjonów, o szczegóły których dobijaliśmy się, gdzie popadło, zapalały się nam serca i umysły; rwaliśmy się do czynu, pieliśmy się na szczyty jakiegoś bezgranicznego heroizmu, walki, poświęcenia, pracy, miłości Ojczyzny i chęci służenia Jej — bo właśnie nie przez kogo innego, jak tylko dzięki tym dwóm szarym ułanom, zrozumieliśmy — że cały naród, i starsi i młodzi i my wszyscy

„starych Ojców naszych szlakiem
Przez krew idziem w jutra wschody,
Z dawną pieśnią, dawnym znakiem,
By z krwi naszej życie wzięła
Ta — co jeszcze nie zginęła”.

Jan Murek

WIZJA PRZESZŁOŚCI

O chwilach niezapomnianych pragnę napisać.

— Wiosna 1917 roku stała się prawdziwą wiosną budzącego się ducha pośród setek tysięcy żołnierzy, wygnanców, zesłańców i więźniów polskich, pozostałych w Rosji.

— W maju odbył się w Petersburgu pierwszy ogólnorosyjski zjazd delegatów wojskowych Polaków. W wielkiej sali carów zebrało się około czterystu delegatów — przedstawili siedmiuset tysięcy wojskowych Polaków. Na estradzie zasiadł komitet prezydjalny oraz przedstawiciele państw koalicji i neutralnych, przedstawiciele duchowieństwa, licznych uprupozań politycznych i społecznych.

— Sala wygląd miała imponujący, nastrój panował wyjątkowo uroczysty.

— Na estradę niespodziewanie wstępuje młody kapitan Ignacy Matuszewski. Wszyscy zwracają na niego uwagę. Po sekundach ciszy mówi głosem doniosłym: — „Proponuję powołać na prezesa honorowego zjazdu twórcę Legjonów, Komendanta Józefa Piłsudskiego!”.

— Delegaci powstają z miejsc. Wniosek przyjęto przez aklamację.

— Upłynęło prawie osiem miesięcy. Zmieniło się zasadnicze oblicze Rosji. Już ulice zalane krwią, już nastąpiła ogólna anarchja. Złe i nieumiejętnie wyzyskany okres wiosennego entuzjazmu mścił się srodze. Litylko silniejsze jednostki grupowały się przy oddziałach polskich. Chaos, graniczący z obłędem, zapanował wszędzie. Zły duch opętał ludzi, — królował...

— W tych strasznych, ponurych i zdawało się bez nadziejnych chwilach dziejowego przelomu odbył się w Moskwie, w dniu 28 stycznia 1918 r. zjazd, mający wytknąć drogi dla żołnierza polskiego.

— I znów w tych mrokach pojawił się duch Komendanta.

— I oto jest fragment z oryginalnego protokołu owego historycznego zjazdu:

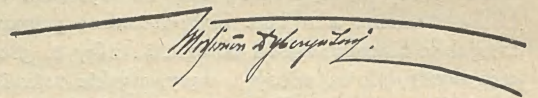
„W omawianiu stosunku zebrania do organizacji Piłsudskiego głos zabrał Dybczyński, wyjaśniając zebranyemu znaczenie i proponując następującą rezolucję, którą przyjęto przez aklamację.

„Uznając brygadiera Piłsudskiego za naszego wodza ideowego, zebranie pragnie utrzymać z Nim, jak również z Jego Organizacją, stosunek bratni”.

„Na wniosek Dybczyńskiego Zjazd uznaje za pożądane zaprosić do Rady Związków Wojskowych Polaków jednego z Piłsudczyków, znajdujących się w Moskwie, z głosem decydującym. Dalszym obradom przewodniczy W. Dybczyński”.

Działo się to w chwilach największego upadku ducha w kraju i na obczyźnie, kiedy Komendant J. Piłsudski był więźniem Magdeburgskim — w styczniu 1918 r.

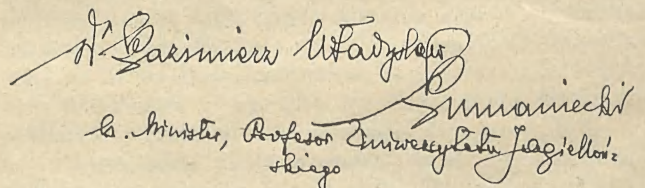
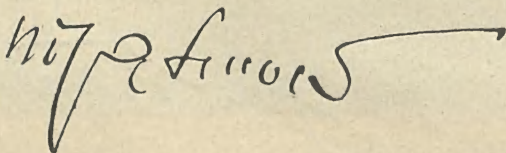
— Gdyby w tych chwilach osobliwych poznał nas był Komendant, — karty historii wojska polskiego w Rosji zmieniłyby się zasadniczo.



OD LAT dziecinnych wstuchiwał się Marszałek Józef Piłsudski w głęboką wymowę prastarych kamieni i murów wileńskich. W znoju swych ciężkich prac — w Wilnie szuka wytchnienia, i z ciszy, brzemiennej wspaniałą przeszłością historyczną, czerpie siły do wielkiego dzieła budowy Państwa Polskiego. Marząc o stworzeniu z Wilna potężnego bastjonu nauki i sztuki, kładzie ku temu najtrwalszy fundament, wskrzeszając Wszechnicę Batorową. Z Wilna wyrósł, a wola Jego wytknęła tory dalszego rozwoju ukochanego miasta.

MYŚLĘ często o dniach listopadowych 1918 roku. Państwo bez ustalonych jeszcze granic, tak dobrze prawie jak bez rządu, bez skarbu, bez wojska, a już zapalone na wszystkich swoich czterech rogach. Nie znam drugiego podobnego przykładu w historii.... Coby się było stało, gdyby się nie był w takiej chwili zjawił w stolicy Józef Piłsudski?

On jeden miał autorytet i silną wolę. I dlatego jest to, co jest: Państwo Polskie. Toteż na Jego przyszłe dzieje będzie zawsze padać potężny cień Pierwszego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.



*Kazimierz Władysław Śmiałowski
k. Minister, Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego*

NAJPIĘKNIEJSZA WIGILJA LEGJONISTY POTYRAŁY

(OSTATNIA PARTJA SZACHÓW)



KORDJAN_ZAMORSKI

Rysunek

Mróż chwycił siarczysty. Do wczoraj to jeszcze ciepło było — niczym w kwietniu. A dziś, że to niby na polskiej Wigilii niewypada, by ludziska mogli chodzić do figury, gruntownie się odmieniło w sferach decydującej atmosfery, zupełnie tak, jakby conajmniej nastął nowy dyrektor tego pogodnego interesu. Inwalida Potyrała siedział jak borsuk w jamie, w swej koncesjonowanej budce, i marnym wzrokiem śledził, jakby to były conajmniej sakramenckie ofermskie rekruty — szybko przebiegających zapatulonych przez chodniów.

Towaru do cholery i trochę — myślał — żaden taki lalusz nie kupi, boby sobie podszewkę odmroził, woli iść do sklepu za te same piniondze i jeszcze oko za darmo zrobi do lafiryndry za ladą, a ty człeku siedź tu kamieniem, jak na straconej placówce. W tym miejscu Potyrała stwierdził, że lepiej jednak jest w tejże koncesjonowanej, niż na tych z czasów wielkiej wojny i walk o niepodległość placówkach, z których dobrze, że głowę wyniósł cało, poświęciwszy wzamian jedną nogę i brak trzech palców u prawej ręki.

„Nie bluźnij Potyrało — skarcił siebie — cóż, nie każdy robił z tobą Dynaburg przy 30 stopniowym mrozie, siedzisz sobie wygodnie i ludziska do ciebie przychodzą, a że dziś dyrdają prędeżej, to nie tylko że mróz, ale to święty dzień Wigilii, każdy się spieszy do swoich, bliskich...

To był właśnie najłabszy punkt w twardym i prostym życiu Potyrały. Od najmłodszych lat nie wiedział, co to jest własny dom, rodzina, atmosfera nastrojów świątecznych, dni tak uroczych, jakim jest dzień Narodzenia Pańskiego.

Nie znał swoich rodziców, był znajdującym, którym do 15 roku życia tyrał kto chciał i nie chciał.

Nazwisko jego było odbiciem tego pierwszego etapu jego życia. Później przyszedł rok 1914... krwawa zawierucha wojny. Przewalały się masy żołdactwa, rozbestwionego mniej lub więcej. Cóż mogło to obchodzić 15-letniego wyrostka? Nie miał nic do stracenia. Do poniewierki przywykł. Aż raz... We wsi kwaterowali honwedzi. Awanturowali się coś niemiara. Wyżerali co było. Niespodziewanie przyszło jakieś wojsko. Z pieśnią na ustach, grzeczne nad podziw, a co najważniejsze, że własne. Orły polskie mieli na czapkach. Jeden z nich, co jechał na koniu, na czele oddziału, zawołał na Antka.

„Chłopcze — przynieś mleka, a nie bój się — za płacimy!”

I popatrzył swymi stalowymi oczami na Antka, tak dobrotliwie, że w nim aż coś w środku się zakręciło z radości.

Skoczył w trymiga ze skopkiem pełnym mleka. Zastąpił mu drogę honwed, by odebrać mleko. Zawsze potulny, zbieślił się tym razem, szarpnął, aż rozszluszczony żołdak rąbnął go pięścią przez łeb i leżącego na ziemi skopał ciężkim buciarem.

To co później nastąpiło było dziełem ułamków sekund, zobaczył spięte kopyta konia nad sobą, świst pejcza, którym człowiek o stalowych oczach, przeorał kwadratowy fizys honwenda. Grzeczni żołnierzykowie całkiem niepolitycznie tarmosili nieszczęśnika. Jak się później nauczył, „dawali bobu”.

Szara kurtka bez odznak pochylała się nad nim. Przestraszył się, że bić będzie za rozlane mleko. „Ja nic nie wiem”... zaskomlał.

Ręka pogładziła go miękko po skołtunionym łebku.

„Nic ci się nie stało?” zapytał śpiewny głos troskliwie. Antek zdumiał się. Nie wiedział, co to jest pieszczota dotychczas. Ludzie starali się dać mu odczuć, że bez rąków i kułaka, niema racji bytu, taka jak on ludzka sobaka.

Chłopak zerwał się i przypadł do ręki człowieka w szarej kurtce. Czuł, że go ktoś kupił sobie na całe życie.

„Dobry Panie — weźmiecie mnie do siebie na służbę?” zapytał z naiwnym chłopięcem onieśmiewionym.

Uśmiechnął się pod wąsem człowiek o stalowych oczach.

„Namyśl się dobrze chłopcze, bo u mnie jest twarda ta żołnierska służba, krew, rany i śmierć przynosząca...”

„Choćby i na śmierć, byle z Wami, Panie!” — wyszeptał Antek i w tym dniu pierwsza Kadrowa zafasowała nowego ochotnika.

Dla Potyrały zaczęło się nowe życie, w którym miał kogoś, kto zastąpił mu nieznanego ojca. Ten ktoś, który był alfą i omegą jego odtąd poczyniła i jego życia Komendantem.

To było lat temu dwadzieścia...



KORDJAN ZAMORSKI

Rysunek

2 paczki Egipskich — to na święta — pada żądanie. Tak jest panie majorze, mówi machinalnie.

Potyrała zna swoich klientów na pamięć. Tego pamięta jeszcze młodym podporucznikiem, gdy szlakiem Mohorta na Kijów szli. Ten się mrozu nie boi, u Potyrały zawsze kupuje. Trzask zamykanych żaluzji sklepowych uzmysławia inwalidzie, że dziś jest wyjątkowy dzień, który milionową, tętniącą życiem stolicę uspokoi wraz z błyskiem pierwszej gwiazdy.

Wyludnią się ulice, ustanie ruch, wszyscy ze swojemi najbliższymi dzielić się będą opłatkiem.

Potyrała powoli zamyka swój sklepik. Nie ma się śpieszyć gdzie, ani do kogo. Biegają leniwe wspomnienia. Wigilja 1914 roku. Ostry trzask karabinów maszynowych. Dwanaście ataków na bagnety. Ś. p. Kuba Bojarski przeszyty pięcioma kulami karabinu maszynowego zmieszał krew swoją z jego własną. Wyniósł go Potyrała z pod ostrzału, sam pierwszy chrzest krwi otrzymał. Jak się ta wieś nazywała? Ah, tak — Łowczówek.

Głucho stuka kula inwalidy po pustej ulicy. Tramwaje zjechały już do remiz. Mróz przybrał na sile, jakby chciał wszystkich przechodniów przedzej zapędzić do domów. Potyrała się jednak nie spieszy. Ma parę zaproszeń, ale nie lubi cywilów, nie czuje się wśród nich, on stary wyga legun. Cóż, w wojsku kulasa bez nogi, bez nogi i bez trzech palców u prawej ręki nie potrzebują. A to wojsko polskie, i ten jak i wówczas jego najwyższy Zwierzchnik — to dla Potyrały cały jego świat, w którym się wychował, nauczył rozumieć, co to jest Ojczyzna. Potyrała chciałby wrócić do tych czasów, tak zdaje się bliskich, a jednak tak niepowrotnie odległych, gdy to Komendant własną ręką przypinał mu odznakę brygady „Za wierną służbę“. Widząc wlepione

w siebie niebieskie oczy tego dużego dziecka z tajoną jakąś prośbą, zapytał się wówczas brygadjer:

„Masz jakieś życzenie?“

Antek nie namyślał się ani chwili. Od roku, z dziwną pasją, tak jak inni w karty, tak on w wolnych chwilach od służby — grał w szachy. Czasem podkradał się pod okno kwatery Wodza, i śledził przez szybki rozgrywkę Komendanta z Szefem Sztabu. Wypalił z miejsca:

„Proszę posłusznie o jedną partję szachów!“

Uśmiechnął się Komendant. „Zaczekaj do spokojniejszych czasów, to wtedy zagramy, a tymczasem ucz się pilnie, byś nie oberwał mata“.

Potyrała był uszczęśliwiony. Od tego dnia stało się jego idée fixe, że Komendant obiecał mu przecież partję szachów.

W bataljonie kpiono z niego na potęgę. „Te, Antek, jedziesz z rozkazu Komendy Legjonów do Budapesztu na kurs szachowy“, wołano za nim. Zamykał się w sobie, zbywał docinki, ale w duchu — wierzył. Było to w 1916 r.

Wigilję 1917 roku spędził w gronie kolegów na włoskim froncie, obeszło się bez krwi, tym razem, za to w rok później — 24 grudzień zastał go na odcinku Persenkówki w obronie Lwowa. Dostał kulą dum-dum z boku i z pięciu palców zostało tylko dwa.

W sam raz do gry w szachy — mówił, przecież całą łapą chapać figur nie będę. I grał dalej zapamiętałe. Tak jak mu kazano. Przygotował się do egzaminu sumiennie, choć nie znał jego terminu. Już z pana sierzanta nie kpięno, bo on sam teraz wstawiał pigułę, aż echo po bataljonie grzmiało. Koledzy rozprysnęli się po innych pułkach.

Gwiazdka 1919 roku zastała go pod Dynaburgiem. I tam przy 30^o mrozie na Nowy Rok 1920 pan Szef kompanji pożegnał się z nogą.

Bez żadnego dla kogoś pożytku — jak sam mawiał — bo nawet psy z tych resztek rozszarpanych granatem nie miały pociechy. Skończyła się wojskowa karjera Potyrały. Musiał wbrew swej woli narukować do znieawidzonej przez siebie cywilbandy. Gdy zdejmował mundur wojskowy ze siebie, płakał jak dziecko. Przez długie lata nie mógł się pogodzić ze swym losem. Wreszcie wytłumaczono mu, że na innych odcinkach swą pracę dla Państwa dać może, pokazano mu Komendanta za pługiem i to go przekonało. Wybrał budkę, bo to w sam raz pasowało dla takiego, jak on kulasa, no i miał styczność z oficerami, którzy u niego kupowali. O szachach myślał ciągle.

Na jednym ze zjazdów sitwy leguńskiej w Wilnie, gdzie to Komendant ze Starą Wiarą się zmieszał, wziął na odwagę, dopchał się i zameldował:

„Inwalida starszy sierżant Potyrała melduje się najposłuszniej o tę partję szachów“. — Zaśmiał się Marszałek.

„A no, słowo się dało, kobylka u płotu, zgłoś się w Belwederze, a tu masz na zadatek Egipskiego“ i poklepał go po ramieniu.

Potyrała zatkało zupełnie z radości. Jednak więc Komendant pamiętał. A on niedość się zapewno nauczył do tychczas. I zblamuje się nacałego.

Gdy wrócił do Warszawy, przekonał się, że on stary wiarus, dla którego trzask maszynek najcudowniejszą był muzyką, stchórzył jak najmniejsza „rekrucka szufeca“. Ile razy dosztykował pod Belweder, zawracał i wiał, jakby go furje ściagały. Nie miał odwagi.

Idzie sobie tak dziś w ten wigilijny wieczór i przeżywa w duszy tych dwadzieścia lat. Szmata czasu. Dużo się w Polsce zmieniło. Już nie jesteśmy państwem, ale potęż-

nem europejskiem Mocarstwem. A to wszystko wola jednego Człowieka. Za wszystkich o wszystkim On myśli. A tobie Potyrała zachciało się z Nim grać w szachy. No, że przedtem o tem marzyłeś, wiadomo, zielono jeszcze miałeś w głowie, ale teraz, gdy na skroniach już bieleje, czas zmądrzeć. „Nie dla psa kielbasa, stary idjoto” — mówi Potyrała do siebie, ale popatrzeć, jak kiedyś lat temu dwadzieścia pod szybki chaty niskiej, to możnaby, choć za miast chaty, Belweder dziś bije łuną jasnej terażniejszości.

Miarowy stuk kuli odbija się echem w Alejach. Pusto wszędzie, gwiazdy na wyiskrzonym firmamencie migocą. W tej chwili, jak Polska długa i szeroka, łamią się ludziska opłatkiem na dolę i niedolę nieznanego roku, który niewiadomo, co im przyniesie.

Straże Belwederskie znają Potyrałę. Ma on zresztą tu swego przyjaciela, starego Wójcika, co to niewiadomo kiedy śpi, bo ciągle się martwi, że Marszałkowi może być potrzebny.

Potyrała skrada się jak zbrodniarz. Byle tylko udało się. Tak jak lat temu dwadzieścia. Zobaczyć krzaczaste brwi i ten wzrok stalowy, co go kupił na całe życie. Popatrzy, nacieszy się i pójdzie. Zachodzi od tarasu ogrodowego. Zamiera w bezruchu. Nie czuje mrozu, co wdziera się pod wiatrem podszytą paltocinę. Nagle drętwieje cały. Chce uciekać, ale noga ta jedyna, jakby wrosła w ziemię. Widzi bowiem przez tarasowe drzwi postać Komendanta, który patrzy nań tak, jak to kiedyś bywało, i kiwa nań palcem.

W czerwień ubrane lokaje, otwierają drzwi. Słyszy tak dobrze znany głos, którego zapomnieć nie można.

„Właż już wreszcie, niezdaro, do środka i zimna nie wpuszczaj. Chyba się już nauczyłeś grać w szachy za lat tyle?” — Potyrała nie jest w stanie głosu z siebie wydobyć. Zęby mu latają w gębce, a czerwone koła przed oczyma — tysiące dzwonów brzmi w uszach. Sadzają go w fotelu na przeciwko stolika szachowego.

Komendant zagłębia się w drugi fotel.

„A graj uważnie, bo mata dostaniesz”... upomina.

Z głośnika bucha rozgwar pasterki, nadawnej z Katedry Wawelskiej, „Bóg się rodzi, moc truchleje”, uderza potężna pieśń, i Zygmunt dzwoni, dzwoni, dzwoni.

Potyrała widzi tę ukochaną nad życie twarz z krzaczastymi, skupionymi brwiami, tak blisko, tę rękę spracowaną dla Polski, która lat temu dwadzieścia gładziła go po chłopskiej głowie, a która dziś przesuwają figury na szachownicy — dla niego.

Potyrała jest tak szczęśliwy, że chciałby wyć z radości, to znów trykać głową w mur, marzenie jego życia wszak się spełnia w tej chwili, za krew i rany dni wigilijnych, dla Polski poświęconych.

„Bóg porzucił szczęście swoje, wszedł między lud ukochany, dzieląc z nim trudy i znoje, niemało cierpiał niemało, żeśmy byli winni sami” brzmi dalej pieśń potężna na tej najcudowniejszej dla Potyrały wigilji.

Dzwony biją coraz silniej, potężniej, mocniej.

Krótką wzmianką kronikarską doniosła, że pod oknami Belwederu znaleziono inwalidę A. Potyrałę, który umarł na udar serca. Twarz jego nacechowana była wyrazem jakiegoś nadziemskiego szczęścia. Kapryśny los, który całe życie Potyrałę pamiatał, zrzucił, że Marszałek w tym czasie bawił na świętach w Wilnie.

A gdy szef Kompanji inwalida Antoni Potyrała, kawaler Virtuti Militari, Krzyża Niepodległości i Krzyża Wasylecznych z trzema okuciami, uczestnik 11 bitew i 23 potyczek meldował się u Najwyższego Zwierzchnika w Niebieskich na wieczną służbę, miał tak rozradowaną minę, że aż aniołowie skrzydłami się tręcali ze zgorznięcia, ponieważ nie odpowiadało to powadze chwili.

Dobry Bóg, który wie wszystko, wybaczył mu to.

Adam Pomian - Kruszyński



KORDJAN ZAMORSKI

Rysunek



ZENON KONONOWICZ

Szopa za rzeką w Żuławie

OD GROBU BEZIMIENNEGO ŻOŁNIERZA POKŁON NAJNIŻSZY W O D Z O W I N A R O D U

*Pod girlandami uczuć—róż, w tupocie zgiełkliwej pracy nóg,
blade światło wieczystej lampy pali widomie serce na grobie.
Bezimienny Żołnierz padł, ostatkiem sił znacząc ojczyste szlaki:
i leży tu, lecz ciałem swem nakrył Rzeczpospolitą po brzegi,
mocarną dłoń rzucił nad bursztynowy brzeg Bałtyku,
drugą prawicę wyciągnął po bratni ongiś lud —
przywarta do ziem twarz spoczęła w wielkim słońcu WOLNOŚCI.
Wokół zawrzało ŻYCIE: na królewskim zamku włodarz:
ocknęły się stare lwy, choć nie mają kamiennych posągów,
a na stokach skromny rośnie dąb lub klon: Chodkiewiczce,
Żółkiewscy, Zamojscy, Sobiescy i Skrzetuskich mężny a nieznanym,
szaraczkowy tłum. Stoją wiernie tam wpatrzeni, czy dojrzy ich oko
przechodnia, czy wśród szarzyzny dni weźmie z nich znamię potęgi?*

Niebem polata wiatr od Tatr nad bałtyckie morze i wciska się
 w dancingowe, rozbawione sale, wciska się w barów stumaniały ton,
 lecz chrzęści wielkimi czyni, które drzemią w starych kronikach:
 z nad Gniezna i z nad Pragi czeskiej dźwięczy roztruhanów szczęk:
 wieczerza Bolko Chrobry w rozwalonych nadweltańskich murach,
 i tutaj wicher przynosi wieść od tych, co pod przewodem Wodza,
 jak ongiś Chrobry i Szczodry ruszali w tan, bić w Złotą Bramę Kijowa.
 Długi szereg władyków i mazurskich wojów szedł krzywdę prac
 w krzyżackie bramy i kąpał rycerskie stopy w sinym Bałtyku.
 Kryzys to również był, kiedy siła z urągowiska wstała, pomstą szła,
 ostrząc miecze i noże o misterne oddzwia świątyń mazurskich.
 I temi samemi szlaki szedł poczet jasnolicej Królowej Jadwigi
 do Wilna palicowych bram, a Jagiello jechał na krakowski tron,
 by wznieść Jagiellonów, Batorego i Wazów potęgę!
 Historji roztwórz księgę nad szarzyzną i ocmą dzisiejszych dni,
 bo rozdygotał się dzwon Zygmunta i tętnił nad całą Polską:
 Znowu się pokłoniło szesnastu wojewodów: od Karpat, od ruskich ziem,
 z pod krzyżackich granic i Wilna starych bram,
 od Śląska fabrycznych miast i od poleskich mgieł,
 szesnastu się wojewodów pokłoniło z ziem, z ziem tych każda
 wielkością swą się równa powierzchni krajów tych,
 których chwała sięga afrykańskich puszczy lub azjackich,
 oparowych, w morzach skrytych ziem... a na polskich ziemiach,
 jako perły i rubinów klejnoty leżą w chwale zwycięstw a w krwi synów
 odrodzone: Lwów, Wilno, Poznań i kamienny Śląsk na szlakach z nadgranicznych bram.
 Szesnastu się wojewodów rozpostarło w trud pracy,
 a lud skłania się jak kłosa, kłosa z złotych pól miododajnych,
 niby różni, a jednacy, jakby wielki wian,
 jakby przeogramny krąg, — a wwiał on się w jedno słowo,
 które więcej uczuć przyzna, niż ich zmieści mała pierś:
 słowo jedno brzmi: OJCZYZNA! — CAŁOŚĆ jego treść!
 W stołecznym grodzie płonie znicz! Czas palić wszystkie pochodnie,
 w wolności hejnał grać: czas ponad obłądnego tanu zbrodnie
 serca wznieść, wysypać cekiny z mieszka, a brudy z dusz,
 bezwład monotonji z serc i posłyszeć mocarny głos prawdziwej rzeczywistości:

MAJESTAT MÓWI:

...Wylania się z duszy wstyd, wylania się pospolitość z szat,
 niech każdy w swą drogę bieży, a w sile niech rękę poda
 w rozbiegany, zmechanizowany tłum. Duch powiał! Czar życia
 wzbierze przepotęźną falą, wszak w każdym z tych biegaczy,
 moc, moc życia w znamionach potęgi się znaczy...

— A MAJESTAT RZECZYPOSPOLITEJ MÓWI:

*

— Pod girlandami uczuć róż, w tupocie zgiełkowej pracy nóg,
 blade światło płonącej lampy pali wieczyste SERCE na grobie.

Stwor. u Alleis di-

ZE WSPOMNIENIŃ REEMIGRANTKI

Rok 1919. W kościele Ostrobramskim rozbrzmiewa z chóru „Alleluja”. Szklące się dziwną rosą oczy zwracają się w jednym kierunku. Tam, za tłumem przy wejściu, stoi nasz polski ułan. Sen czy jawa!? Nie! Prawdziwy z krwi i kości w szarej ułance polski żołnierz. O, chwile niewysłowionej radości! Wszak tyle razy słyszało się i słyszeć będzie: „Wesołego Alleluja”, lecz tam... wtedy, w 1919 roku, w dwa dni po zajęciu dworca Wileńskiego przez ułanów Beliny to „Alleluja” brzmiało tak, że po wsze czasy, aż do końca życia rozbrzmiewać będzie wielką, potężną pieśnią w mej duszy. Rozkolywały się dzwony świątyni, i popłynęło wielkie nocne granie daleko w świat. Nie przebrzmiały jeszcze jej tony, złane z czkawką dławiących się ze złości nieprzyjacielskich kulomiotów, gwałtowne, rozsadzające, gwizdzące wstchnienia szrapneli i granatów, a już na skrzydłach świetlnych wiekuistej prawdy: „Chrystus Zmartwychwstał!” spłynęła wieść: Naczelnny Wódz jedzie do Wilna. — Spłynęła i pozostała w sercu, które zamarło w oczekiwaniu czegoś więcej niż ziemskiego. — Czekano... i oto jestem na peronie. Przeciskam się przez gęsty szpaler korporacji, delegacji, żeby być jak najbliżej pierwszego peronu. Zaczyna się gorączkowy, charakterystycznie bezładny ruch. Z oddali wystrzosiło ucho łowi potężny oddech szczęśliwej lokomotywy, która wiezie tak uwielbianego przez nas reemigrantów tułaczy „Dziadka”. Zbliża się... Wszystko zaczyna wirować przed oczami. Serce tak tłucze w piersiach, że mimowoli składam na niem ręce, żeby nie wyskoczyło — nie pękło z radości. I oto jest. Wychodzi zupełnie spokojny, uśmiechnięty. Orkiestra gra. Grzmia okrzyki: „Niech żyje, Niech żyje!” — Krótki raport. Sypią się kwiaty białe i czerwone. Białe —

bo czyste i białe są dusze miłujące Ciebie, Wielki Wodzu. Czerwone — bo czerwona i gorąca jest krew serc naszych, gotowa spłynąć każdej chwili, aż do ostatniej kropli za Ojczyznę, której łono Ciebie nasz Wodzu wydało. I oto jesteś z nami. Radość jest tak wielka, że już nawet nie mogą krzyknąć. Patrzą tylko i patrzą, nie mogąc oderwać mych oczu od skromnej postaci *Wielkiego Człowieka* w szarej masce ciejówce. Usta idą przez tłum ku Niemu, by całować te ręce, które na karcie dziejowej tak śmiało umiały nakreślić jedno tylko wszechpotężne słowo: — *Jesteśmy!* — Spojrzały siwe źrenice i owiały niewysłowionym czarem wpatrzony i stężały tłum. Patrząc w te oczy, zrozumiałam tylko jedno, że ich rozkazowi nie może się nikt oprzeć, w kim bije polskie serce. Przemowy... przemowy... i na to wszystko znieśwalający uśmiech z pod szumiastych wąsów. Spokój, słodycz, prostota i zarazem promieniująca stalowa wola spojrzenia — oto On. Oto nasz Wielki Budowniczy, nasz nadewszystko umiłowany „Dziadek”. Odjechał w głąb miasta... Peron wolno opustoszał. Zostało tylko parę osób, między nimi ja, wpatrzona wciąż jeszcze w to miejsce, na którym pierwszy raz w swym życiu ujrzałam Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Obraz Jego postaci po dziś dzień żyje w mych oczach, sercu i duszy takim — jakim go wchłonełam w siebie tam w Wilnie, w roku 1919. Żyje i żyć będzie aż po ostatni dzień mego żywota.

Jadwiga Moraczewska



Ś. P. WŁODZIMIERZ KONIECZNY

Matka

KAŻDY NARÓD posiada swych bohaterów owianych legendą chwały.

Jedni z nich już za życia zdobywają sobie rozgłos i uznanie współczesnych, inni wygrzebywani są z popiołów historii na długo po swem odejściu. jeszcze inni od zarania swej młodości wybijają się ponad szarą codzienność i stają się symbolem epoki, a nawet całego narodu i jego dziejów.

W Polsce takim bohaterem, człowiekiem, który jest uosobieniem swej epoki — epoki pracy i wyścigu pracy, jest Marszałek Józef Piłsudski.

Jego życie — to wielka karta historii, z której czerpać będą naukę całe następne pokolenia. Bo skupił w sobie wszystko to, co było w narodzie polskim wzniosłe i piękne, wrósł w polską rzeczywistość jako postać legendarna, stojąca ponad życiem.

To, o czym marzyli nasi wieszczowie, do czego dążyły całe pokolenia od pamiętnych dni rozbioru. On dokonał czynem orężnym i szarą pracą dnia codziennego.

Włodzimierz

LITANJA ŻYCZEŃ KRAKOWA

D L A

MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO W DNIU JEGO IMIENIN

(jedna osoba deklamuje, powoli, dobitnie, chór zaś powtarza życzenie, skandując każde słowo).

Op. 11. Halasta
Wskazyje do Litania zymu Krakowa

Jeden:

KOCHANY DZIADKU!

ŻEŚ ZIUKIEM TĘSKNIŁ DO WOLNEJ OJCZY ZNY —

Chór:

ŻYJ NAM ZDROWO DŁUGIE LATA!

J: ŻEŚ W PIERSI SW OJEJ NIEWOLI CZUL BLIZNY —

Chór:

ŻYJ NAM ZDROWO DŁUGIE LATA!

J: ŻEŚ MĘKĘ POLSKI MIAŁ W OCZACH PRZEZ ŻYCIE!

Chór:

ŻYJ NAM ZDROWO DŁUGIE LATA!

J: ŻEŚ WROGOM STAWAŁ OTWARCIE — NIE SKRYCIE —

Chór:

ŻYJ NAM ZDROWO DŁUGIE LATA!

J: ŻEŚ BRAC ROBOCZĄ WIARĄ W MOC NAPAWAŁ —

Chór:

ŻYJ NAM ZDROWO DŁUGIE LATA!

J: I ŻEŚ JEJ W CZYNACH JAK POCHODNIA STAWAŁ —

Chór:

ŻYJ NAM ZDROWO DŁUGIE LATA!

Dzień 6 sierpnia 1914 roku jest i będzie pamiętnym nie tylko w historii Legjonów polskich, ale także i w historii narodu polskiego. Dzień 6 sierpnia 1914 roku jest dniem wymarszu pierwszej kompanii kadrowej z Krakowa, oraz wkroczeniem jej przed oddziałami kawalerii austriackiej do Królestwa Polskiego.

Rok już upłynął od tego pięknego poranku sierpniowego, gdy przez ulice uśpionego Krakowa sunął cicho oddział strzelców, gdy z rozkazu swego wodza, Józefa Piłsudskiego, wkroczył on na ziemię Królestwa Polskiego, niszcząc wszędzie oznaki panowania moskiewskiego, gdy, wreszcie wieczorem wszedł do miasteczka Słomnik, witany entuzjastycznie przez ludność.

Wkroczenie pierwszej kompanii do Królestwa pozostanie bezsprzecznie doniosłym faktem historycznym. Ta mała garstka strzelców polskich swym śmiałym marszem w głąb Królestwa pokazała, że naród polski nie porzucił myśli walki z najazdem moskiewskim, że żołnierz polski, wierny tradycjom swych przodków, potrafi dzielnie stawić czoło żołdactwu moskiewskiemu.

Józef Piłsudski, rzucając do królestwa oddziały strzeleckie, rozstrzygnął sprawę przyszłych Legjonów polskich, postawił sprawę polską na porządku dziennym.

W połowie lipca 1914 roku obie organizacje strzeleckie, urządziły w Galicji dla oficerów i podoficerów wojskowe kursy instruktorskie — związek strzelecki w Krakowie, Polskie Drużyny Strzeleckie w Nowym Sączu. Kursy te z bogatym programem były zorganizowane specjalnie dla Królewaków, członków tajnych organizacji strzeleckich w Królestwie, którzy też, pomimo dużych trudności w przebyciu granicy, stawili się dość licznie (oba kursy liczyły około 400 ludzi).

Nie ukończyły one swego programu.

Gdy wybuch wojny staje się nieuniknionym, Komenda Drużyn strzeleckich, rozkazem swym z dnia 1 sierpnia przywołuje kurs z Nowego Sącza do Krakowa. Wieczorem 2 sierpnia przemaszerowaliśmy przez Kraków, witani okrzykami przez publiczność.

Nazajutrz na podwórzu na Dolnych Młynach ustawiono pluton w sile 75 ludzi, samych Królewaków; wszyscy porządnie wyekwipowani, z torrami, karabinami Mannlicnera i ostrą amunicją.



WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI

Portret ś. p. Wł. Koniecznego

Podchorąży Norwid krótko nas pożegnał: „Żołnierze! idźcie pierwsi pomścić krzywdy ojców Waszych. Bądźcie przykładem dla tych, którzy pójdą za Wami“.

Pod komendą podchorążego Bukackiego maszerował pluton do Oleandrów, gdzie mieścił się kurs Związku Strzeleckiego. Tam niedługo dołączył się oddział, złożony również z Królewaków, członków Związku Strzeleckiego. Po zdaniu raportu komendantowi Piłsudskiemu, ustawiły się oba oddziały naprzeciwko siebie. Środkiem z założeniami w tył rękoma przechadzał się Piłsudski.

Krótkimi, urywanymi, lecz twardymi, żołnierskimi zdaniem przemówił do nas. Nie dobierał słów, ani wyrażań, ale słowa jego zapadały głęboko do serc naszych i pozostały w nich jako drogowskazy życia.

Przeczytano listę szarż. W celu uniknięcia przykrych dysonansów i starych niechęci między obiema organizacjami, szarże wszystkie ciągnęły losy, do którego plutonu przynależni być mają; w podobny sposób podzielono i szeregowców. Na

stąpiła organizacja kompanji, potem organizacja plutonów.

Kompanijnym naszym został mianowany oficer związkowy, dziś kapitan sztabu I Brygady i Komendant Naczelny Polskiej Organizacji Wojskowej — Tadeusz Kasprzycki, pluton pierwszy objął ś. p. kapitan Herwin-Piątek, drugi — dzisiejszy kapitan Krok-Paszkowski, trzeci — dzisiejszy major i komendant 5 pułku piechoty Bukacki-Burhardt, czwarty — porucznik Kruk-Czarny-Kruszewski.

Wskutek wyżej wspomnianego podziału każdej pluton, a nawet każda sekcja składały się ze „związkowców“ w połowie z „drużyniaków“. Po zorganizowaniu plutonów nastąpiły tak serdeczne stosunki, jak pomiędzy starymi znajomymi. Zamieniliśmy znaczki swe na orzełki związkowe. W całej kompanji prym trzymała Warszawa.

Nadchodził wieczór, a myśmy jeszcze stali, czekając na rozkazy. Sądziłyśmy, że jeszcze dziś wyruszymy do Krakowa. Zbliżył się do nas stary Szeroszewski w białym fartuchu, gdyż pełnił wtedy zaszczytny obowiązek kucharza. Żałował bardzo, że nie może iść z nami, ale obiecywał niezadługo nas dogonić.

W starym gmachu teatralnym, wyznaczono nam kwatery i niedługo wzburzone umysły uspokoił sen. Przez następne dni uzupełniono braki wyekwipowania, ćwiczyliśmy musztrę formalną i taktyczną, starając się wyrównać różnice w komendzie i systemach ćwiczebnych organizacji. Z niecierpliwością i gorączkowym niepokojem oczekiwaliśmy dnia i godziny wymarszu.

A tymczasem mobilizacja postępowała naprzód. Codzień przybywały nowe oddziały połączonych organizacji z różnych okolic kraju. Gwarno i tłumno było na obszernych boiskach w Oleandrach. Wszystko dyszało gorączkowym pragnieniem wymarszu.

Pierwszą kompanję kadrową zorganizowano 3 sierpnia. Dnia 5 sierpnia o godzinie 3 rano alarm kompanji. A więc wymarsz! Prędko ubiera się wiara, wkłada rynsztunek i niedługo cała kompanja we wzorowym ordynku stoi i czeka na rozkazy.

Wyprowadzono nas z Oleandrów na szeroką drogę. Pewni jesteśmy, że dziś będziemy w Królestwie. Tymczasem zamiast do Królestwa skręciliśmy na obszerne błonia pod Kopcem Kościuszki i zaczęły się ćwiczenia.

Powrócił już oddział naszej kawalerji w sile 5 koni ze swego wywiadu pod Jędrzejów i przywiózł pomyślne wiadomości.

Wreszcie nadszedł dzień 6 sierpnia. Podobnie jak dnia poprzedniego o godzinie 3 rano alarm.

Raport kolumna czwórkowa i marsz! U wyjścia zęgnął nas lwowski oddział pod komendą chorążego Bilińskiego-Ostrowskiego (dziś podporucznik 1 pułku piechoty).

I znów przemaszerowaliśmy szeroką drogą przez Łozów. Cicho i spokojnie, na ulicach żywej duszy.

Ciężko nas doświadczone owym okrężnym marszem 12-kilometrowym, aż wreszcie doszliśmy do szosy Krakowskiej. Odpoczynek. Na prawo widać Kraków. Pytanie: dokąd pójdziemy? Na lewo, czy na prawo?

Odetchnęliśmy wszyscy z ulgą, gdy czoło kompanji skręciło na lewo. Zagrała trąbka. Razno szliśmy twardym krokiem, zbliżając się do ziemi obiecanej.

Wiedzieliśmy już napewno, że idziemy do Królestwa. Razem z nami szedł komisarz wojskowy i nasz intendent, dziś komendant intendentaury I Brygady, kapitan Litwinowicz.

Minęliśmy już ostatni fort krakowski i wieś za nim leżące, komorę celną austriacką, witani wszędzie przez ludność.

Aż oto przed nami ukazały się zabudowania komory celnej w Michałowicach, już po drugiej stronie kordonu. Jeszcze chwila, a przekroczymy granicę, oznaczoną żelaznym słupem.

Godzina 9 min. 45. Bacność! Zablęsnęły w słońcu wyciągnięte szable, każdy wyciągał się jak mógł, żeby godnie wejść na tę ziemię, jak przystało na żołnierza polskiego. Słuchając dobrze, można było słyszeć bicie własnego serca, każdy czuł powagę i uroczystość chwili.

Przeszliśmy przez komorę celną w Michałowicach i dalej. Kompanję zatrzymano, a kompanijnym nasz w serdecznych słowach powitał tę ziemię, na której staliśmy.

Na skrócie szosy ukazał się jeździec. Był to Belina (dziś major i komendant 1 pułku ułanów). Galopem podjechał do kompanijnego, zaszalutował szablą i złożył raport, że okolica wolna od nieprzyjaciela, a w pobliskim folwarku czeka na nas śniadanie.

W szyku bojowym maszerujemy dalej, pluton pierwszy w straży przedniej. Zazgrzytały, zaszczękały ładowane karabiny, dając nam poznać, że zaczyna się nowe dla nas życie.

Po krótkim odpoczynku i posiłku we dworzec w Michałowicach, pomaszerowaliśmy dalej. Po drodze mała potyczka naszej kawalerji ze strażnikami.

Tak się skończył dzień 6 sierpnia 1914 roku. Kości, rzucone, gra się zaczęła. Rozpoczęte dzieło trzeba było dalej prowadzić.

— — — — —
Nie mam zamiaru opisywać dalszych losów pierwszej kompanii kadrowej, gdyż są one zbyt dobrze znane. Jako pierwsza kompania 3 bataljonu 1-go pułku piechoty Legionów polskich, dzieli losy tegoż bataljonu, biorąc udział we wszystkich bitwach 1 pułku.

Wystarczy wspomnieć Kielce, Brzegi, Korczyn, Ucisków, Opatowiec, Patków, Policzną, Laszki, Ulinę Małą, Chyżówki, Marcinkowice, Łowczówek, lasek Kozinkowski, wreszcie Ożarów i Józefów — aby mieć wierny obraz dziejów pierwszej kompanii kadrowej. Nie jeden raz miała sposobność odznaczyć się ona: jak pod Korczynem, odpierając kawalerję rosyjską na froncie blisko kilometrowym, jak w nocnym napadzie na Chyżówki, gdzie wzięto do niewoli cały szwadron dragonów rosyjskich, gdzie kompanja, prowadzo-

na przez sierżanta — dziś podporucznika Kalinę Zieleniewskiego, zmalała do plutonu.

Gdzie trzeba było sprytu i odwagi, hartu i wytrzymałości, tam posyłano „kadrówkę“, wiedząc, że ona najlepiej wywiąże się z zadania. Wiedziano, że kompanja kadrowa, składająca się z ludzi inteligentnych, ideowców, wykona najtrudniejsze zadanie jej powierzone i nie cofnie się przed niczem.

Nie znajdziemy obecnie w Legionie polskim o takim doborze ludzi i o takim ukształtowaniu się stosunków, tak pomiędzy szeregowcami, jak pomiędzy tymi ostatnimi a oficerami.

W obecnej kompanii mało pozostało „starych kadrowców“: wydała ona wielu oficerów, reszta jako podoficerowie, służy w innych kompanjach i bataljonach, kilku znalazło bohaterską śmierć na polu bitwy. Ci, co pozostali, będą wierni tradycjom „kadrówki“, a przeżyte walki i trudy będą dla nich najwspanialszymi wspomnieniami młodości. „Lasciate ogni speranza“.

Paul. Nowak



ZYGMUNT GRABOWSKI

Bitwa pod Kosciuchówką

D W A M O M E N T Y

Z dwoma głównie momentami w mem życiu łączy się wspomnienie niezwykłego czaru i niezgłębionej siły oddziaływania osoby Józefa Piłsudskiego, jakie na sobie miałem szczęście odczuć. Mimo trudności ich należytego oddania, pozwolę sobie wskrzesić te przeżycia, chociaż warte one godniejszego pióra.

Było to na wilgę Bożego Narodzenia 1912 roku. Zgłosiłem się na dyżur w lokalu Związku Strzeleckiego przy ul. Kadeckiej we Lwowie. Ochotników służby nocnej było w tym dniu jeszcze pięciu. Pamiętam, że był tam ob. Zosik, Sawa, Grzegorz, Nilski i Dojan. Rozdzieliliśmy między siebie godziny dyżurów w przedpokoju, skąd na lewo wchodziło się do pokoju kursu Wyższego i do gabinetu Komendanta, na prawo zaś do pokoju ob. Grzegorza, oraz do dwu pokojów strzeleckich, gdzie stały na stojaku manlichery, gdzieś odbywali wykłady i ćwiczenia Szkoły podchorążych pod dowództwem ob. Kordjana, dokąd też co niedzieli wracaliśmy z wypraw ćwiczebnych i z musztr na przedmieściach i po wsiach. Na mnie wypadł dyżur o północy. Przy kubkach gorącej herbaty i przy przegryzaniu zapasów, przyniesionych przez każdego z nas z domu, wartko toczyła się rozmowa: o wypadkach w r. 1905, o robocie niepodległościowej w Królestwie, a nadewszystko o grożącej — zdawało się już tuż-tuż — wojnie europejskiej, w której mieliśmy, my, Strzelcy, odegrać taką rolę!

Nagle ostry, krótki dźwięk dzwonka w przedpokoju. Chwytam karabin z założonym bagnietem, i już przy drzwiach wchodowych pytam o hasło. — „Otwierajcie, obywatelu, — Komendant“ — padła odpowiedź. Odsuwam co żywo zatrzask, otwieram drzwi, stoję na baczność i melduje co tchu Komendantowi, stojącemu jeszcze prawie na progu, w płaszczu i maciejówce, okrytych siwym szronem: „Podchorąży Odmęt melduje się jako dyżurny, stan dyżuru pięć osób“... Serce bije mocno, jasność zalewa duszę, Komendant twarzą w twarz... dobry, uśmiechnięty...

„Spocznij!“

Kilka chwil spędził Komendant w swoim pokoju, potem przyszedł do nas, wypił szklankę herbaty, mile pogawędził, rozpytał się o to i o owo

i wreszcie odszedł. Ale już do białego rana został On wśród nas i imię Jego nie schodziło z ust naszych przez całą tę pamiętną noc wigilijną. I tak już na pewno wszystkim tam wówczas obecnym pozostał w pamięci: dobry, uśmiechnięty Komendant z momentu Pasterki, tam, na Kadeckiej ulicy.

A potem niemal po dziewięciu latach. Najwspanialszy *doctor honoris causa* Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, Naczelnik Państwa, zaprosił profesorów stołecznej Uczelni na herbatę do Belwederu w dzień 3 maja 1921 roku. Byłem wówczas wraz z innymi, pełen radości i dumy, że danem mi też jest być gościem Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej. Gospodarz oczarował wszystkich — i tych, którzy Go kochali i tych, którzy Go ledwie uznawali. Na przepięknej tarasie parku belwederskiego, przy rozstawionych stolikach poroziadały się gromadki profesorów, bawionych przez miłych i gościnnych adjutantów. Znalazłem się wśród grupy wokoło stolika Komendanta. Żartował z profesorami, śmiał się Sam z Siebie, że nareszcie został doktorem, czem chciał być zamłodu, był taki sam dobry i pogodny, jak wówczas w noc Wigilii na Kadeckiej. Opowiadał o ciekawych swych przeżyciach z bojów nad Wisłą i na Wołyniu. Niezwykłe plastycznie mówił o dwu zjawiskach halucynacji, jakim podległ w Legjonach. Raz — kiedy miał zjawę wydawania rozkazów, dotyczących niezaregranego w rzeczywistości boju. A drugi raz — w chwilach bezwzględnej spokoju, wrażenie jakichś niekończących się, dudniących przejeżdżających furgonów, armat i oddziałów kawalerji. Wyżnik przemęczenia nerwowego i długotrwałej bezsenności.

Z trudem dał się Naczelnik Państwa odwołać swoim adjutantom od gości. Było Mu dobrze z nami i z naszą młodzieżą. A nam zapadł głęboko w serce nasz Gospodarz miły, taki jasny, szczerzy, taki uroczy! Pokochali Go wówczas i ci nieliczni spośród nas, którzy przyszli do Belwederu obojętni i sceptyczni. Sami się do tego przyznali.

Wł. Antoniewicz



PRZEKSZTAŁCANIE SIĘ Warszawy w stolicę Państwa dotyczy zarówno formy: jej wyglądu zewnętrznego, jak i treści: jej ducha i nastroju.

Tempo tego przekształcania się wzrasta z dniem każdym. To też Warszawa na dzień Imienin w dniu 19 marca 1935 r. składa w hołdzie Pierwszemu Obywatelowi Honorowemu Stolicy Panu Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu gorące życzenia, aby zechciał i mógł powiedzieć o niej: to moje miasto!

Stefan Janyński

Juliusz German

W S P O M N I E N I E

Jako legjoniści mieliśmy do Komendanta niesłychane zaufanie, tak, że nie zdając sobie czasem sprawy z wartości jakichś Jego kroków — robiliśmy to, czego On od nas zażądał. Uwypukliło się to najwięcej podczas kryzysu przysięgowego w 1917 r. Byłem wtedy podoficerem, w wysokim stopniu st. sierżanta, a starszych podoficerów podobnych mnie było w naszej 3 kompanii III Baonu 1 p. p., stojącej w Pomiechówku koło Modlina, nie mniej niż 15-tu, wszystko z zaledwie przekroczonym 20-tym rokiem życia. Kiedy dowiedzieliśmy się o żądaniu przez Niemców złożenia przysięgi na wierność cesarzowi — rozpoczęliśmy gorącą dyskusję. Już raz przysięgaliśmy z konieczności — Austrii w Kielcach w 1914 r., a przecież nas to ani nie wzruszyło, ani przywiązało jakimś węzłem wierności dla tej monarchji, czyż więc obecna przysięga miałaby mieć większe znaczenie dla sprawy polskiej? Tworzyliśmy zawiązek przyszłego wojska polskiego, zżytego już od kilku lat i zahartowanego w bitwach; umieliśmy dobrze wojować, znaliśmy się wszyscy po imieniu niemal w całym bataljonie, byliśmy przywiązani do swego baonu, do którego tak spieszyliśmy

PRZED WIELKĄ fotografią Marszałka Piłsudskiego, w oknie wystawowym na Nowym Świecie zatrzymał się, idący z ojcem, chłopiec może dziesięcioletni.

— Tatusiu, dlaczego Pan Marszałek ma takie dziwne, bardzo dziwne oczy?

— Bo widzisz, synku, to są oczy, które wzięły w siebie cały najgłębszy smutek dawnej wiekowej polskiej niewoli, cały bunt, gniew i nienawiść kilku polskich pokoleń, szarpiących się w kajdanach.

Bo widzisz, to są oczy, które z ciemnego żelaza tych kajdan wykuły błękitną stal polskiej szabli, już niezwykłej i już nazawsze dumnej. To są oczy, — pamiętaj o tem — które każdego Polaka chcą uzbroić w dostojną odwagę na czyn nieśmiertelny.

z tyłów, o ile kto z nas znalazł się ranny lub chory. Najgoręcej było wśród „starej wiary“, t. j. tych żołnierzy, którzy od sierpnia 1914 r. służyli prawie bez przerwy w III bataljonie, znali na pamięć całą jego historję, dźwóz, przeobrażenie organizacyjne, od tej chwili, gdy baon, za wyjątkiem 1 komp. kadrowej nosił stare gruchoty „Werndle“, gdy cała nasza intendtura w osobie obywatela Litwinowicza, dostarczała nam w marszu do Kielc raz na dzień chleb i kwaśne mleko: wspominaliśmy czasy głodu, największego w roku 1914 i na początku 1915, gdy jadło się przede wszystkim to tylko, co sitwa mogła na kwaterkach od gospodarzy uzyskać. Mówiliśmy o bitwach: pod Marcinkowicami, wśród dobrych górali, gdzieśmy to tak wesoło w nocy strzelali — naówczas salwami jeszcze — do jakiejś ogromnej a niewidocznej kolumny rosyjskiej, pod Łowczówkiem, gdzie wśród śniegu i mrozu, siedząc skuleni w naprędcy wydrapanych wnękach, w wigilję Bożego Narodzenia otrzymała „wiera“ po jednej konserwie i po kilka papierosów. Wspominaliśmy spokojnej walki nad Nidą, gdzie to jedna z naszych placówek na cześć Komendanta w dniu Jego Imienin

oddała kilkanaście strzałów i mimowoli swym postępkim wzniciła ogień całego 1 p. p.; mówiliśmy o bitwie pod Jastkowem, w której, nacierając w nocy przez łąkę, ze strumykiem po środku, tak niepotrzebnie nastraszyliśmy się, widząc na tle płonącego budynku — rosyjskie druty kolczaste, które gdy się do nich doszło — okazały się gładkimi i tylko na strach przygotowanymi; pamiętaliśmy wspaniałe dwudniowe natarcie całego 1 pułku na redutę rosyjską pod Tarłowem, wśród strasznej spiekoty.

Och! Boże! jak nam się pić chciało; za kroplę wody człowiek oddałby kilka lat życia. To znów inny przyprowadził na pamięć morderczą walkę w lesie pod Kozinkiem, w którym wrony uwiły sobie setki gniazd; przeraźliwe krakanie tego ptactwa słyszeliśmy długo jeszcze, choć dawno zmieniło się pole walki. A potem przyszedł Wołyń, gdzie walcząc, z pół roku nie widziało się cywilnej osoby; cały krajobraz to lasy, błoto lub woda; jak było pod Kostiuchnówką, Opatową lub nad Stochodem. Nieco za dużo tych lasów, nie mogłem się na nie spokojnie patrzeć jeszcze i po wojnie.

Te przejścia żyły w naszej pamięci, łączyliśmy je z naszymi dżcami i kolegami, którzy w poszczególnych bitwach brali udział, a przedewszyst-

kiem z kompanji III baonu — tego najpiękniejszego i najstarszego bataljonu I Brygady. Serca nasze mówiły pozostać — rozum wahał się, — choć wiadomo było, że zrobimy tak, — jak Komendant powie. Decyzja Komendanta przerwała dalsze namysły, wierzyliśmy bowiem w Niego i wiedzieliśmy, że nigdy nas nie zawiedzie, Odczuwaliśmy raczej, niż rozumieliśmy, że ten, tak dla nas ciężki okres odmówienia przysięgi, a w następstwie i rozwiązanie Brygady — przyniesie w przyszłości korzyść sprawie polskiej. W grobowym milczeniu złożyły kompanje broń, ze łzami w oczach, mimo szubienicznego humoru, żegnaliśmy naszych kolegów Królewaków, odjeżdżających z Modlina do obozu dla internowanych.

I później, czy to w wojsku austr., czy w P. O. W. wierzyliśmy dalej Komendantowi i czekaliśmy tylko chwili, gdy nas powtórnie pod broń powoła.

Tę samą głęboką wiarę żywimy do Marszałka do dnia dzisiejszego.

Józef Piłsudski



JÓZEF PIŁSUDSKI — to Genjusz Walki i Zwycięstwa — to Źródło potęgi Czynu Wyzwoleńczego i wielkiej miłości Ojczyzny.

Na takiego Wodza czekał Naród całymi wiekami.

Dlatego też czcimy tego Człowieka jak najgłębszą wiernością — a spełnianie Jego wskazań uważamy za nasz pierwszy obowiązek obywatelski.

Piłsudski

WSPOMNIENIE PRZEDWOJENNE „ZARZEWIAKA“

W zatęchłej atmosferze spodłalego w serwilizmie społeczeństwa na kresowych ziemiach polskich, będących pod zaborem austriackim, młodzież przed wojną nie czuła się dobrze.

Działo się to w niewielkiej, bo kilkanaście tysięcy liczącej miejscinie, z olbrzymią przewagą Rusinów i żydów, położonej nad dawną granicą rosyjską: w Brodach.

Dla nas, podówczas uczniów miejscowego gimnazjum, najcenniejszą pamiątką były groby powstańców 1863/4 roku, znajdujące się na miejscowym cmentarzu, oraz ścieżyny, któreimi powstańcy ciągnęli na Radziwiłłów, gdzie, niestety, ponieśli dotkliwą porażkę.

Z jakąż ciekawością lowiliśmy każde słowo, opowiadane nam przez żyjących jeszcze uczestników i naocznych świadków tego bohaterskiego, choć bez nadziei zwycięstwa, porywu naszych dziadów.

Ale i groźne ognie odwetu paliły się w naszych młodych oczach — za klęskę. Walczyć — w to wszyscy święcie wierzyliśmy — za Polskę będziemy — ale że i zwyciężyć wroga musimy — w to nikt z nas ani na chwilę nie wątpił.

Podwójnie ciężka i odpowiedzialna rola spadła na nasze młode barki. Choć żyliśmy bowiem w środowisku polskim, jakże wzajemnie siebie niezrozumiejącem! Oni — wielmożna i wszechmożna większość z rodzicami, matadorami i profesorami — śmietanka miasta, elita społeczeństwa, po prostu kwiat narodu — razem, ale przeciw nam.

Przeciw komu? Kilkunastu dzieciakom od trzeciej do ósmej klasy gimnazjalnej, kilkudziesięciu rzemieślnikom i robociarzom, których zaagitowaliśmy i do roboty wciągnęliśmy.

Jakże to się stało?

Najpierw porwał nas Skauting, bo przedewszystkiem był zakazany, a po drugie dlatego, że skaut w naszym pojęciu przewyższał na wojnie w każdym kierunku żołnierza armji zaborczej. Przecież mówiono nam, że trzeba było dopiero sześciu żołnierzy angielskich na jednego Boera, aby z Boerami, z których każdy był urodzonym skautem — wojnę wygrać.

Po zapoznaniu się z życiem polowem, do którego nas Skauting zaprawił, łaknęliśmy jednak gorąco czegoś więcej; kije skautowe przestały być dla nas atrakcją.

Aż wreszcie emisariusze ze Lwowa przywieźli nam radosne wici, że z ruchu zarzewiackiego, którego byliśmy gorącymi wyznawcami, wyrasta coś więcej, aniżeli żołnierz, ćwiczący „na ramię broń“ skautową... pałką. Dowiedzieliśmy się, że tam — na zachodzie powstaje polskie wojsko z prawdziwymi karabinami: Drużyny i Związki Strzeleckie.

Tak przyszła do nas wieść, która dla nas wszystkich stała się tembardziej radosną, że Skauting był już jawny — podczas gdy Drużyny Strzeleckie pozostały tajne — owoc zakazany.

Od tego czasu nie spoczęliśmy w pracy, pełnej przykrości, szykan i zawodów. Ale te — nie tylko że nas nie łamały, ale przeciwnie, hartowały na stal.

Ciekawiło nas jednak niepomniernie, kto kieruje całym tym ruchem, który z każdym miesiącem rósł, potężniał i nabierał rumieńców życia.

Aż wreszcie jeden z emisariuszy ze Lwowa rzucił w zaufaniu jedno nazwisko: *PIŁSUDSKI*. Z czasem doszły nas i bliższe wieści o tym Człowieku, którego twarde życie już wówczas było dla nas legendą.

Ale nie była to już legenda Mickiewiczowego Konrada, ani Juljusowego Kordjana, lecz był to *WÓDZ* z napoleońskim marsem na czole, który dał nam rozkaz stanąć z karabinem u nogi.

35-ta Drużyna Strzelecka usłuchała wezwania Wodza w sierpniu 1914 roku — a pokolenie nasze, wychowane w Ideologii Marszałka i zagrzone bezprzykładnem bohaterstwem Lisa-Kuli, zdało swój egzamin tak w 1919, jak i 1920 roku — zgodnie z honorem Polaka.

Józef Zasady.



M Y Ś L I O W O D Z U

1.

*Są ludzie, którzy w ramach ludzkich się nie mieszczą;
jedni z nich rządzą ludźmi, drudzy ludziom wieszczą.*

2.

*Porywa dusze ludzkie nie człek przeuczony,
lecz mąż słońcem idei nawskroś prześwietlony.*

3.

*Tłum bitą drogą się porusza;
zawrotną ścieżką geniusza.*

4.

*Ten, kto chciał dźwignąć w górę ludzkość albo naród,
musiał własnego szczęścia zdeptać nawet zaród.*

5.

*Gdy się Wódz wzbije nad tłum śmiałym skokiem czynu,
legenda go uwieńczy gałązką wawrzynu;
lecz odtąd nigdy się już nie wymknie od trudu,
żądać będą od Niego wciąż nowego cudu.*

6.

*Wielcy ludzie są zawsze samotni i chmurni;
chmury lubią się wieszać niebotycznych turni.*

7.

*Nawet największy z wielkich o tem marzą skrycie,
aby zniknąć jak Mojżesz, kiedy są na szczycie.*

Stanisław Obrzud.

N O T A T K A

Nienawiść jest wciąż wykładnikiem stosunków między narodami i państwami. Na najgłębszym dnie kunsztu, nazwanego polityką, leży o tyle nedorzeczna, o ile krwawa chęć zmuszenia kogoś, by zaczął mówić językiem zwyczajny. Do tego kapitalnego głupstwa sprowadzają się wszystkie finty, kruczki i subtelności dyplomacji, całe okrucieństwo wojen i prześladowań „pokojowych” narodu przez naród.

Miłość mogłaby uzdrowić narody.

W naszych dziejach, jest potężny błysk miłości, który powinien być przez nas czczony, wielbiony i naśladowany w najpóźniejsze pokolenia. Przecudny i tak bardzo twórczy w praktyce akt unji Horodelskiej, wymienia miłość narodu do narodu, nie jako bujający ponad obłokami postulat przyszłości, lecz jako siłę aktualną, jako czynnik realny. Twórcy nieśmiertelnego aktu Horodła nie wahali się wymienić tej siły obok najbardziej „pozytywnych” czynników życia międzynarodowego, stwierdzając: „Nie dozna łaski zbawienia ten, kogo nie wesprze miłość. Ona jedna nie działa marnie: promienna sama w sobie, gasi zawiści, uśmierza swary, używa pokoju, skupia co się rozpierzchno, podźwiga co upadło, wygładza nierówności, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nie obraża nikogo, a ktokolwiek się schroni pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się niczyjej groźby”.

Dopókiśmy te prawdy respektowali i umieli w czyn wcielać, była Polska państwem potężnym i dobrze zabezpieczonym, bo przyciągającym do siebie ludy sąsiednie, od Litwy zaczynając, na Kurlandji kończąc. Dziś mamy znowu państwo własne i wobec różnych koncepcyj politycznych, możemy zajmować nie tylko stanowisko teoretycznej sympatii, lub antypatii, lecz wcielać je możemy w życie, lub przeciwdziałać im, stosownie do ich wartości praktycznej dla naszych interesów narodowych i państwowych.

Należy życzyć sobie, by naród nasz, w którym Mickiewicz upatrywał powołanego przez Opatrzność pioniera wprowadzenia do życia międzynarodowego zasad Chrystusowych, stosunek swój do innych narodów starał się nawiązać miłością, nie nienawiścią. Zwłaszcza gorąco należy tego pragnąć w stosunku naszym do ludów pobratymczych, tych, z którymi przeżywalimy już niegdyś wspólne dni chwały i dni żaloby.

Oby Ten, który człowieczą cześć Swej istoty oddał na krzyżu za szczęście mrowia ludzkiego, który tak ukochał i swemi najświętszemi usty wypowiedział wzniosłe przykazanie: „Miłujcie się”, a którego świętą naukę wyznajemy wciąż jeszcze raczej na pokaz, niż głębią serca i czynami, zechciał w naród nasz tchnąć jak największą siłę miłości, ową siłę, która jedna tylko „nie działa marnie”, lecz wznosi dzieła wiecznotrwale „Red.”.

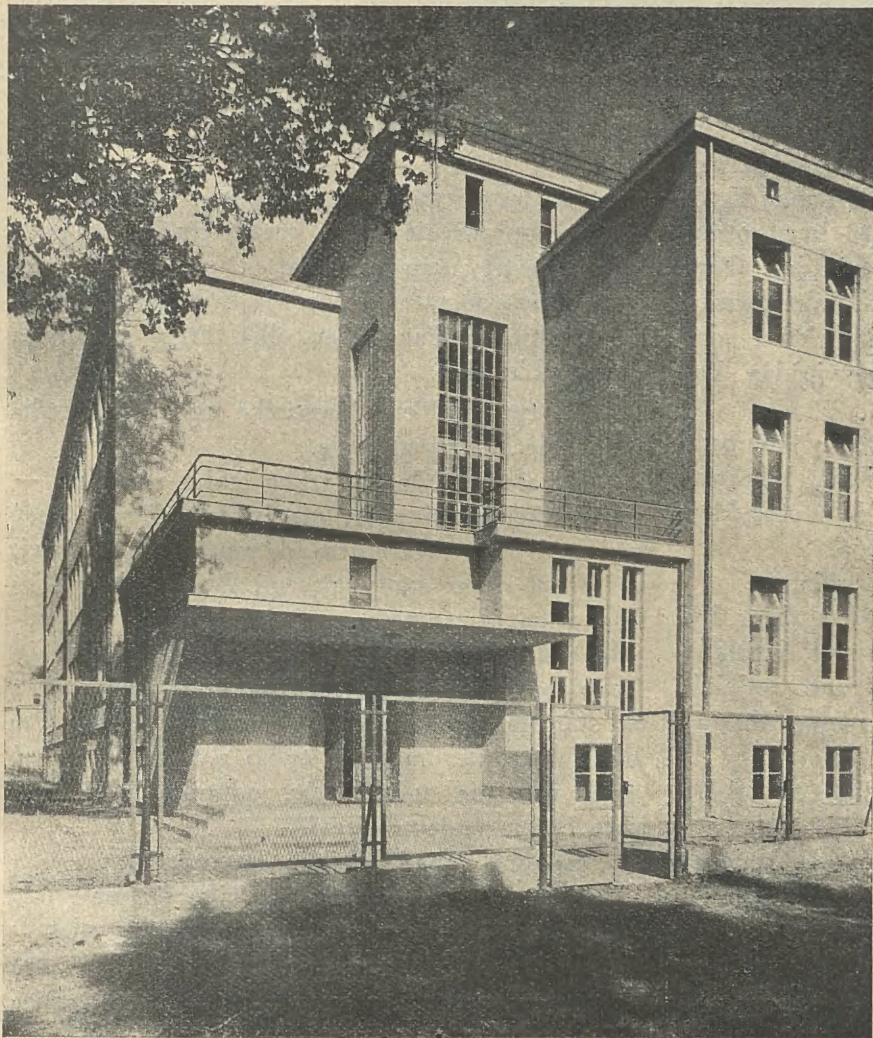


W JAKI sposób możnaby określić styl Józefa Piłsudskiego jako pisarza? Język autora „Bibuły” i książki: „Moje Pierwsze Boje” jest zdrowy, sękaty, rosochaty, tryska z niego siła i niewymyślna rzeźka samoistość.

Styl Józefa Piłsudskiego jest nieugięty i twardy — jak dąb.

Zygmunt Kisielewski

K O M E N D A N C I E!



TADEUSZ NOWAKOWSKI

Gmach gim. Słowackiego w Warszawie

Dwadzieścia lat temu podczas przeprawy przez Wisłę pod Nowym Korczynem, jako szeregowiec I kompanji saperskiej I Brygady, stanąłem przed Tobą w Borusowej, by z rozkazu kompanijnego zdać Ci raport z sytuacji na przeprawie.

Raport był krótki:

„Woda na Dunajcu wzbiera, austriaccy pontonierzy wycofali się z akcji, kompanja przygotowuje promy i łodzie rybackie dla umożliwienia przeprawy”.

Dzisiaj staję znowu przed Tobą, Komendancie, jako szeregowiec Związku Architektów Rzeczypospolitej Polskiej z krótkim meldunkiem:

„Wyteżamy wszystkie siły nasze, by budownictwo i architektura w Polsce Wolnej nabrały piętna Twojej epoki, by synowie i wnuki nasze nazywały okres dzisiejszego budownictwa Twojem Imieniem z równą dumą, jak my dzisiaj nazywamy minioną epokę budownictwa imieniem Króla Stanisława”.

Przy tym meldunku, pozwól mi Komendancie dedykować Ci ostatnią pracę moją, jaką mi Państwo Polskie stworzyć poleciło: Gmach Państwowego Gimnazjum im. Słowackiego w Warszawie.

Tadeusz Nowakowski



„RAPORT”

WSPOMNIENIE Z DRUSKIENNIK

W 1926 roku byłem dowódcą 23 baonu K. O. P. w Druskiennikach. W miesiącu lipcu otrzymałem wiadomość o bliskim przyjeździe Pana Marszałka na wypoczynek do Zdrojowiska. Wreszcie pewnego dnia zawiadomiono mnie „dzisiaj pociągiem popołudniowym przyjeżdża Pan Marszałek”.

Daję telefonicznie rozkaz dowódcy kompanji odwodowej w Porzeczu wystawienia kompanji honorowej na dworcu, sam zaś jadę motocyklem na stację powitać Dostojnego Gościa.

Na dworcu oczekuje już kompanja.

Odbieram raport — przeglądam zuchów Kozaków. Chłopcy w pełnym rynsztunku, wyglądają schludnie i dziarsko, a opuszczone podpinkie czapek (kopówek) jeszcze dodają marsa ich opalonym na brąz twarzom.

Opuszczam również i ja podpinkę swojej kopówki.

Kwadrans nerwowego oczekiwania. Czuje się szczególnie podniecony... pierwszy raz w mem życiu zamelduję się jako dowódca samodzielnego oddziału Najwyższemu Przełożonemu, Ukochanemu Wodzowi.

Minuty oczekiwania dłużą się nieskończenie.

Sprawdzam jeszcze raz równanie kompanji, każdy szczegół umundurowania żołnierzy i swój. Słychać turkot zbliżającego się pociągu.

Choć dzień nie był upalny, lecz mnie zrobiło się gorąco... czuję jak rosa pokrywa moje czoło. Podnoszę podpinkę, zdejmuję kopówkę i staram się zetrzeć ślady wzruszenia.

Wtem pociąg wtacza się na peron stacji. Wkładam prędko czapkę na głowę... ruch rąk

sprawdzający jeszcze raz zapięcie wszystkich guzików, poprawienie szabli, rewolweru. A o podpinkę, niestety, zapomniałem.

Spieszę do salonki. Drzwi otwierają się i ukazuje się postać Pana Marszałka. Pręczę się. Składam meldunek.

Na twarzy Pana Marszałka rozkwita życzliwy uśmiech. Przywitał się.

Odrąz zrobiło się jakoś lekko na sercu — ciężar oficjalności jakby nie istniał. Drogi Gość przeszedł przed frontem kompanji honorowej, przywitał się ze spotykającymi Go przedstawicielami władz cywilnych i z towarzyszącym Mu adiutantem, wszedł do samochodu i odjechał do Zdrojowiska. Samochodem Dyr. Zdrojowiska wraz ze starostą pow. Grodzieńskiego, pilotujemy Pana Marszałka... niestety tylko z tyłu, bo jechać przed nim nie zgodził się, odpowiadając: „Nie chcę byście mnie zakurzyli”.

Gonimy ponad 120 klm. na godz.

I tu po raz pierwszy zemściła się na mnie nieopuszczona podpinka. Pęd wiatru porwał moją kopówkę i do Druskiennik przyjechałem bez czapki — dopiero podniósł ją i przywiózł policjant, który jechał za nami moim motocyklem.

Słyszałem później, że ta moja przygoda z czapką wprawiła w dobry humor Pana Marszałka.

Szybko minęły dni wypoczynkowe Drogiego Gościa w Druskiennikach.

Pewnego poranka otrzymuję telefon od adjutanta Pana Marszałka mjr. Wendy, że dziś odjazd do Warszawy.

Znów dworzec kolejowy Porzecze. Honory wojskowe oddaje ta sama kompanja. Jak i po-

przednio sprawdzam jej wygląd, ubiór, równanie...
Te same opuszczone podpinkie kopówek.

Tym razem i moja podpinka opuszczona również.

Oczekujemy. Najeżdża samochód Pana Marszałka. Raport. Przegląd kompanji.

Po przeglądzie kompanji, gdy towarzyszyłem Panu Marszałkowi do poczekalni, Pan Marszałek popatrzał na mnie przenikliwie, ale zarazem jakoś ciepło, serdecznie, w oczy i powiedział: „A pułkownikowi do twarzy z tą opuszczoną podpinką!”

Krew uderzyła mi do głowy, byłbym zapewne szczęśliwy, gdyby ziemia w tym momencie zapadła się podemną.

Więc wtedy On zauważył tę moją podpinkę

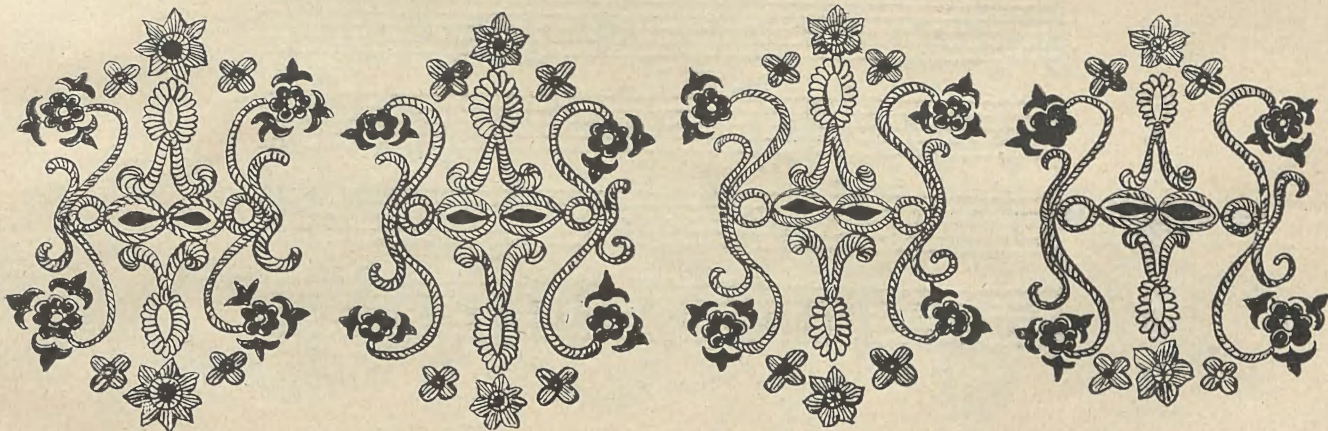
i ten życzliwy uśmiech, to był dowód zrozumienia mego stanu duchowego; — a ten komplement, to podanie do wiadomości że Te kochane siwe oczy wszystko widzą i że On wszystko pamięta.

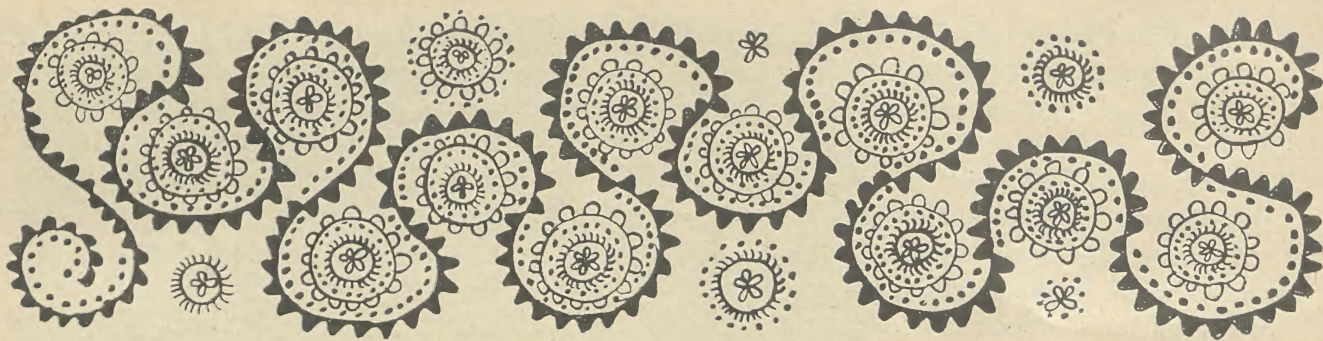
W poczekalni do nadejścia pociągu mile gawędził ze mną i adjutantem i kazał mjr. Wendzie poczęstować mnie wyborowym tureckim papierosem.

Nadszedł pociąg. Pan Marszałek pożegnał się i odjechał.

Długo, długo stałem na peronie, patrząc wślad za znikającym pociągiem; dużo myśli tłoczyło się w mojej głowie, lecz dominującą była ta, że takiego „karnego raportu“ chyba jeszcze nikt w życiu nie miał.

Stanisław Peresiew-Łętkowski
ppłk.





„RAPSODJA LITEWSKA” MIECZYŚŁAWA KARŁOWICZA

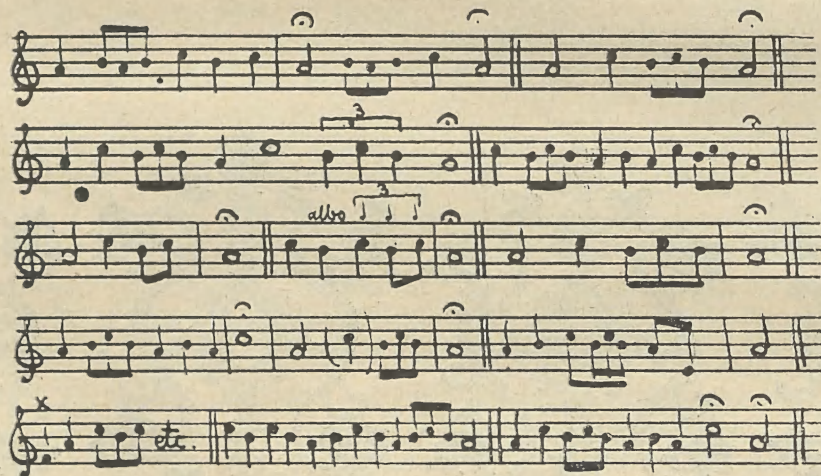
Kompozycja o powyższej nazwie należy do najwdzięczniejszych, a zarazem najbardziej popularnych dzieł Karłowicza. Jej partycję wydano w roku śmierci kompozytora, 1909, a więc w niespełna trzy lata po ukończeniu jej przez Karłowicza. Pomysły do niej snuł kompozytor od r. 1900, a więc tuż po ukończeniu studiów muzycznych.

Dowody tego znajdujemy w *notatniku muzycznym* kompozytora, użyczonym mi łaskawie przez przyjaciela Karłowicza, p. D-ra Stanisława Szumowskiego. Notatnik ten, mała książeczka

w rozmiarach $16 \times 9,5$ cm, zawiera m. in. zbiór litewskich melodj, zanotowanych w *sierpniu* 1900 roku w różnych miejscowościach: a więc w rodzinnym *Wiszniewie*, opisanym tak barwnie przez p. Helenę Romer w „*Pionie*” (1934, Nr. 7), w *Horkolach i Leszczyńtach*, oraz w okolicach *Wolkowyska* (Grodzieńskie).

Wszystkie te melodje, w identycznej lub przetworzonej postaci, znajdujemy w „*Rapsodji litewskiej*” M. Karłowicza. W *notatniku* kompozytora zaś znajdujemy je na str. 124 — 126. Są one następujące (str. 125 podana tu w facsimile):

STR. 124:



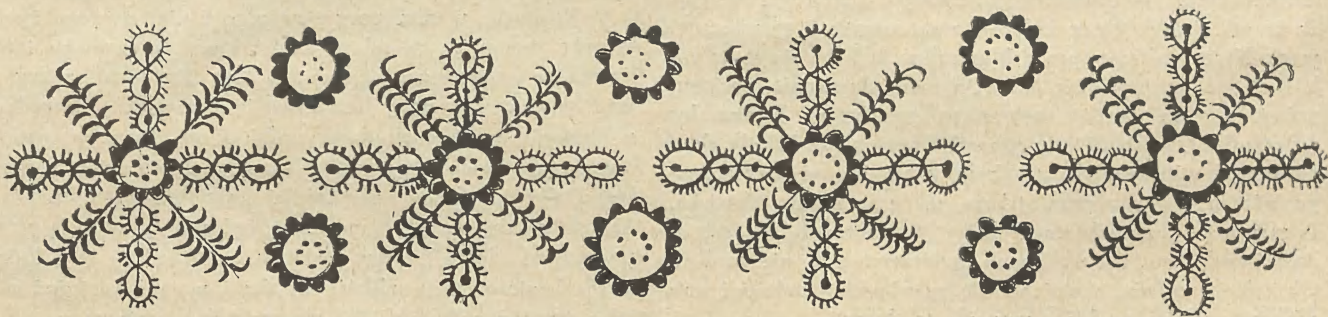
Wydawnictwo Literackie, Warszawa, 1900

Koncypista 23. VII 1900

(Z OKOLIC WOŁKOWYSKA)

Niech melodie te, do głębi nas wzruszające
w dziele znakomitego kompozytora, znajdą wdzięcz-
ny odgłos i miłe o rodzinnych stronach wspomnie-
nie w sercu Tego, który szablą polską stworzył
również RAPSODJĘ LITEWSKĄ!

A. G. G. G.



DO CZEGO DAŻĄ NARODY w historii ludzkości? Do doskonałych, artystycznych form bytu państwowego. Formę taką taki tylko naród zdoła osiągnąć, który potrafi szarmonizować w sobie wszystkie siły, jakie wytwarzają składające się na jego całość jednostki obywateli. Pierwszym warunkiem tej harmonji jest nastroszenie się Narodu na jeden ton zasadniczy, na „kamerton“, poddany Mu przez opatrnościowego Wodza. Im wcześniej społeczność obywateli Narodu ton ten usłyszyc i zrozumie jego doniosłość, tem wcześniej zdobędzie Naród poczucie swojej właściwej misji historycznej, tem prędzej skrzepnie w kształcie Państwa, żyjącego wspólną ideologją i doskonałością formy całości uszczęśliwi jednostki. Bez wielkich wodzów nie było w historii ludzkości wielkich narodów.

ZRODZONY PO WYBUCHU rewolucji rosyjskiej w 1917 r. ruch Wyzwoleńczy Wojskowych Polaków z b. armji rosyjskiej w Rumunji, był kierowany przez grupę ludzi, w której znalazło się wielu dawnych działaczy niepodległościowych. Świadomy, męski i zdecydowany, szybko przerodził się w czyn realny — bezkompromisowej walki z przemocą obcą.

Duch Wielkiego Bojownika Niepodległości był z nami, więc, choć nie było nam danem stać pod Jego rozkazami, byliśmy jednak żołnierzami Jego — z Ducha i Czynu.

Składając dziś hołd i wyrazy bezgranicznego oddania Pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu, pomni jesteśmy na tą więź duchową, która nas z Nim przed laty łączyła i na te wielkie cele, które w myśl Jego wskazań osiągnąć mamy obowiązek.

Prof. Dr. Zdzisław Jachimowski

Walerian Kulon, Klubonki, Pomocnik

Z J A Z D R A D O M S K I

(W SPOMNIENIE)

Radom jest przeludniony. Formalnie i faktycznie. Choć to wcale nie małe miasto (dogania setkę tysięcy), nie można już dostać kwatery, a nawet obiadu. Wszystkie restauracje i cukiernie same już wyglądają jak małe zjazdy, a na ulicach ruch stołeczny. Wszędzie śpiew, muzyka, ogłuszający hałas rozmów. I — co to będzie? Bo coraz nowe przybywają tłumy... Na wszystkich ustach jedno słowo, jedno imię, jedno zapytanie: „Czy przyjedzie?“ Ma się wrażenie, — i słuszne — że wszyscy przybyli po to, by — zobaczyć „Dziadka“, by znowu Go zobaczyć, choć przez chwilę, przez krótką chwilę, — prawdziwego, żywego, zdrowego. Wygląda to tak, jakby tłumy były — zaczarowane i oczarowane, przez Niego jednego, przez Marszałka... Okaże się to w całej potędze, w momencie, gdy On niespodziewanie, pocihu, pojawi się na tarasie wybranego gmachu na Rynku, by wziąć udział w odsłonięciu pomnika Legionisty. Wtedy tłum od brzegu wielkiego placu zakolysze się, jak od przemożnego wichru i z zapartym tchem runie w stronę zjawiska. A potem — „huk jak sto gromów“ — zaprawdę, słyszałem, dają świadectwo: tak wołają na powitanie serca, nie gardła... Okrzyk spełnienia, spełnienia się największej nadziei i największej radości, po którą przyszły te tłumy.

Tak jest, istotnie, jesteśmy zaczarowani.

I raz jeszcze formułuję sobie i precyzuję: Czem Komendant oczarował nas i zaczarował?

Odpowiedź mojej legionowej, żołnierskiej i polskiej świadomości jest prosta:

On to dał nam, naszemu pokoleniu, pierwszy, możliwość walki, upragnionej i wymarzonej przez wiele pokoleń, uświęconej krwią dawnych Polaków, On dał nam to szczęście, wielkie, jedyne, — a takiej przysługi nie zapomina się nigdy, do śmierci, i poza śmierć, przez wiele, wiele pokoleń...

Kochamy w nim poezję naszego życia, naszego życia szczyty, my wszyscy, od najbardziej wyrafinowanego inteligenta do najprostszego „jeźdźcy“ czy „kucharza“ z Legionów, gdyż tam wszyscy interesowali się zawsze: „Co będzie z Polską?“ i rozumieli dumę walki o nią. Przez wszystkie dusze, wszystkich legionistów, przepłynął strumień najlepszej tradycji polskiej, ze źródła najgórniejszych duchów. Ten, który to sprawił, Komendant, był sam tą tradycją przepojony do głębi. To jest podstawa tej wielkiej siły, którą miały Legiony jako oddział wojska i mają dzisiaj już nie jako grupa narodu, ale jako idea naczelna, twórcza.

To jest też czar, który nami włada, i który roztacza się nad każdym naszym zjazdem.

Wiemy: Kto wszedł w szeregi Legionów, wstąpił pod znak walki o wolność Polski do ostatka. Gdy skończyła się walka o wyzwolenie polityczne, przynajmniej pierwsza, zasadnicza jej faza, przyszła dziś kolej na wyzwolenie z nie-woli wad polskich.

Świadomość tego twardego zadania była wśród uczestników Zjazdu powszechna. Rozumieli wszyscy, że Komendant walkę tę podjął, historyczną misję Batorych, Żółkiewskich. Okrzyki powitalne, uszczęśliwione spojrzenia, garnienie się tłumu — to wszystko były oznaki głębokiego, mocno wewnętrznego, porozumienia z Wodzem. Tu nie trzeba było mów, rozmowy, dyskusji. Porozumienie idzie z Czynu i do Czynu dąży.

Jesteśmy przecież zaczarowani...

A tam, z pośrodku tłumów, wyrasta, zakwita, jak symboliczny lotos, pomnik Legionisty. Pomnik młodzieńca o cięcho uśmiechniętej twarzy. W tym uśmiechu jest całe szczęście spełnionego marzenia. Szczęście — walki o wolność i — umierania za Ojczyznę. („Słodko jest umierać za Ojczyznę“).

Gdyż ten młodzieniec — zginął na polu walki.

Wątpię, czy jaki pomnik na świecie ma tak wzruszającą historję. Ten pomnik jest — portretem legionisty, który poległ. Ale to dopiero część tej przedziwnej historii.

W roku 1916, gdy pułk 5 piechoty Legionów stał na Polesiu wołyńskim, dowódca IV Kompanji, artysta-rzeźbiarz Władysław Konieczny, wykonał posązek — portret jednego ze swych żołnierzy; wykonał go w okopach Kompanji. Niedługo potem w tychże okopach w czasie walki zginęli obaj, rzeźbiarz i jego model. Pozostał po nich posązek, ofiarowany przez pułk V Komendantowi Piłsudskiemu.

Jest to najlepsze wyobrażenie Legionisty, jakie dziś posiadamy. Wyróżnia go sugestywność tej statuetki są tak silne, w prostocie swojej i szczerości, że jest ona względem Legionów tem, czem był słynny posązek gwardzisty Napoleońskiego względem armji cesarza Francuzów.

Czy rzeźbiarz, tworząc to małe arcydzieło, pełne świadomości, przeczuwał, czuciem artysty, że zginie w polu wraz ze swoim modelem? Czy obaj żyli na to tylko, by wydać wspólnie to dzieło sztuki, ten artystyczny wyraz ducha Legionów?

Marszałek zażądał, by pomnik był kopją ukochanego posądku. Nie mógł uczynić lepszego wyboru. W ten sposób stworzony został także w sztuce pomnikowej fakt szczególny i wyjątkowy: pomnik stał się kopją posądku, — gdy przecież dzieje się zwykle naodwrot: z pomnika tworzy się kopje — posądku.

A kiedy się patrzy w uśmiechnięte szczęściem oczy tej młodzieńczej postaci, budzi się pragnienie, by w całej Polsce stawiano ten pomnik, pomnik triumfującego Legionisty, tak słusznie nazwany „Pomnikiem Czynu“...

U stóp tego kamiennego legionisty sunie w defiladzie przed ukochanym Komendantem, przez półtorej godziny, żywa triumfująca Polska. Komendant w tej samej szarej maciejówce, która widnieje na pomniku, w tej samej siwej bluzie, — w oczach niebieskich to samo światło, — twarde,

ostry, wyrąbany, — zaprawdę drugi pomnik — polskiej Woli i Myśli, polskiej nieśmiertelnej Woli Wyżyn.

Od czasu do czasu coś Go żywiej zajmuje — przechyla się przez balustradę, patrzy badawczo.

Pod ulewnym deszczem stoi przez półtorej godziny, bez żadnej osłony, — jakiegoś wielkiego parasola nie pozwolił roztoczyć; spełnia w tej chwili obowiązek Wodza, jak w polu.

Nic to, że deszcz leje bez przerwy. Mogłoby się komuś zdawać, że — gdyby tak słońce zabłysnęło i oświeciło ten cudowny, potężny obraz — zapewne. — Ale właśnie deszcz leje, żeby legionista polski, od Dąbrowskiego począwszy, — jak pasierb u macochy, żeby pamiętał, że mu to łatwo nie przyszło, i że nie w słońcu ani po różach szedł do Ojczyzny. Co? Możeby cię miało słoneczko ogrzać i pogłaszać?... Twarda jest służba legionisty, pod deszczem i wichrem, pod chłodem serc i powietrza, pod szarugą obłąkanością i niezrozumienia, pod gradem zawiści. Tak się maszeruje i walczy... Niejeden z nas przypomina sobie — jak to było np. w r. 1916, pod Rudką Miryńską, gdy, w sytuacji mocno niepewnej — bez namiotów już nawet — warta nocna na ulewnym deszczu — odpoczynek pod tym samym przemokłym płaszczem — i znowu warta na deszczu. — Dziś tak samo — i odrazu człowiek czuje się krzepko, twardo, po żołniersku. Ten deszcz — stary, dobry, znajomy towarzysz.

Legionista zazdrosny jest o swego Komendanta — stara, wiadoma rzecz. Dlatego, gdy ten i ów w tłumie rozpięta parasol, woła zaraz jakiś wiarus — podoficer: „Te! Dwunasta brygada! Zamknąć parasole!“ Rzecz prosta: Któżby mógł otwierać nad sobą parasol, gdy Dziadek sam stoi półtorej godziny na deszczu i moknie, — i kłóży inny mógł zasłaniać parasolem widok na Dziadka, jak nie — „dwunasta brygada“!...

Na akademji znowu tłumy. Stoję sam w tłumie, głębioko, i widzę: Tu nie przyszedł nikt po mowy, dyskusje, uchwały; tu przyszło się, żeby, — być, żeby znowu poczuć się w masie, jedności, sile. Legionista zawsze będzie wiedział, co czynić, gdy przyjdzie ważna chwila, sytuacja decydująca, — i kiedy padają z trybuny ważne słowa: „Nie odzamy Polski pomniejszycielom!“ — to legionista do nich komentarzy nie potrzebuje. On z tą małością walczy od początku — on powstał przecież wbrew i przeciw małości.

Na trybunie z boku stoi były żołnierz legionowy — kask. Część nosa i ust wyrwana, licho zarosła. Oczy jasne, młode, twarz miła. W rękę ktoś wsunął pęk czerwonych róż i on te kwiaty trzyma przed sobą, jak broń, jak karabin.

Są to jedyne kwiaty w tym wielkim szarym tłumie i na tym olbrzymim placu — żarzą się, jak krew...

Może się zdawać, że duchy młodych, poległych legionistów, zakłete w pęk czerwonych róż, przyszły na ten wielki zбір...

Przez dwa wieczory króluje w kawiarniach radomskich muzyka i śpiew. Legjoniści tak pożądamy muzyki, że, gdy w jednym z lokali spóźnia się orkiestra, na sali rozbrzmiewa chóralnie skandowane: „My chcemy muzyki!” A jakby dla wyjaśnienia następuje zaraz wesoła zwrotka:

„A muzyczka tirlu, tirlu
A muzyczka różnie, —
Bo przy muzyczce
Goście bawią się...”

Jest już dzisiaj znamiennym historycznym faktem, że w czasie wielkiej wojny żaden oddział wojskowy, przynajmniej w Polsce, nie stworzył i nie adoptował w swoisty sposób tylu przeróżnych pieśni, co Legjony, — nie było jednego ważniejszego momentu, któregoby Legjoniści nie uwiecznili w pieśniowej lirycy, epice, satyrze.

Możnaby ułożyć dzisiaj prawdziwą historję Legjonów w pieśni. Cały ten repertuar legjonowy rozpowszechnił się na wielką skalę nie tylko w Armji polskiej, ale i w całym społeczeństwie. To zjawisko jest czemś większem, niż zwykłą popularyzacją muzyki wojennej, — jest niezbitym dowodem triumfu Legjonów w duszy i w idei polskiej.

Legjoniści czynem i pieśnią zdobyli Polskę. I — jak Legjony dawne przyniosły Polsce nieśmiertelny „Mazurek Dąbrowskiego”, tak Legjony Józefa Piłsudskiego dały jej — „Pierwszą Brygadę”, — to już jest fakt historyczny, — na to nie pomogą żadne gniewy.

Pieśń wojenna jest wykładnikiem Idei i Czynu i tylko te czynniki zdolne są stworzyć pieśń, która — zostaje w Narodzie.

Pieśnią bronili się Legjoniści przeciw małości i obojętności pewnych części społeczeństwa, pieśnią manifestowali radość decyzji, walki, udziału w wielkiej dziejowej chwili, — oni, w ośmdziesięciu częściach kwiat inteligentnej młodzieży polskiej.

Tę radość zaklął przecież artysta w uśmiechu pomnika...
Póki żyje pieśń legjonowa, drzyjcie, nieprzyjaciele!

*
* * *

Przy ewakuacji zjazdu wielkiem ułatwieniem była „Kühnówka”, — przekaz na bezpłatny powrót kolejną. Był to morowy podarunek pierwszego „kolejarza”. Ale wszyscy kolejarze bardzo dzielnie pomagali Zjazdowi: ich dziełem była wspaniała trybuna dla Marszałka na czas defilady (...ubezpieczona od deszczu), kryta aksamitem szkarłatnym, znaczone symbolem kolejnictwa, oni wszędzie pracowali przy sporządzaniu dekoracyj, w defiladzie dali świetne oddziały P. W. i orkiestrę, — krótko: postawili się godnie.

Wśród legjonistów gęsto słyszano się dla nich słowa uznania.

A pytajcie starych kolejarzy, ilu legjonistów i peowia-ków przemycili, gdzie było trzeba, w czasie wojny i okupacji... Legjoniści dobrze to pamiętają.

Gustaw Mieczysław Baumfeld

NAD POLSKĄ czuwa Opatrzność — bo kiedy naród polski popadł w niewolę — Opatrzność dała mu wielką poezję, muzykę, sztukę, literaturę, aby one ożywiły serca. I oto ten naród znękany niewolą do ostateczności, został wyprowadzony na wolność przez męża o genialnem umyśle i żelaznej ręki, który podtrzymując osłabiony naród, otacza go opieką, prowadzi i wskazuje drogi, jakimi ma dalej kroczyć Polska, poddał się Jego woli i z największą czcią odnosi się do Niego — dopokąd serce w polskiej piersi bije, Marszałek Piłsudski żyć w nim będzie.

Włodzisław

DLA nas wszystkich, którzy w młodości zśliśmy w mroku beznadziejnej nocy, Postać Józefa Piłsudskiego była tą Gwiazdą Zaranną, która wskazywała nam drogę — ciężką i mozolną — lecz niezawodną i zwycięską!

Osoba Marszałka Józefa Piłsudskiego jest i pozostanie na wieki symbolem walki i zwycięstwa uwieńczonego faktem powstania Odrodzonego Państwa Polskiego!

Jan Chichulski

MARSZAŁEK PIŁSUDSKI NA TLE DZIEJÓW

WSRÓD WŁAŚCIWOŚCI WIELORAKICH, SKŁADAJĄCYCH SIĘ NA ZESPÓŁ ZALET I WAD NARODOWYCH POLSKICH, UJAWNIONYCH ZARÓWNO W TOKU DZIEJÓW NASZYCH POLITYCZNYCH, JAKO TEŻ I DZIEJÓW NASZEJ KULTURY HISTORYCZNEJ, PANUJE ROZMAITOŚĆ WIELKA. BRAK NAM JEDNAK WSRÓD JEJ ZASOBÓW TEJ NADEWSZYSTKO CECHY PSYCHICZNEJ, KTÓRA POLEGA NA CIĄGŁOŚCI ROZWOJOWEJ UZGADNIANIA ZAINTERESOWAŃ, ZAMIŁOWAŃ I DAŻEŃ OBYWATELA KRAJU, Z INTERESEM ISTOTNYM JEGO PAŃSTWA, A KTÓRA — W RZĘDZIE ZACHODNICH NARODÓW EUROPY — ZDAJE SIĘ NAJWYDATNIEJ CHARAKTERYZOWAĆ ANGLIKÓW.

ZESTAWIAJĄC HISTORIĘ ICH Z HISTORIĄ NASZĄ, POPRZEC WSZELAKIE DZIEJÓW TYCH, POZORNE RACZEJ, NIŻ ISTOTNE, CECHY WSPÓLNE, ORAZ POPRZEC JAK NAJISTOTNIEJSZE WIELORAKO ROZBIEŻNOŚCI ICH PRZEBIEGU, NIEPODOBNA UCHYLIĆ SIĘ OD WNIOSKU, ŻE W ATMOSFERZE, WŁAŚCIWEJ SYMION ALBIONU, POTRAFIŁY URASTAĆ NA RZECZ ANGLJI DO POTĘGI OLBRZYMIĘJ NIKŁE NAWET SAME PRZEC SIĘ CECHY ANGIELSKIE, GDY W AURZE NASZEJ NISZCZAŁY AŻ NAZBYT CZĘSTO KU KATASTROFALNEJ SZKODZIE POLSKI, WŁASNE, BEZCENNE NIERAZ W SWEM BOHATERSTWIE, SKARBY PSYCHICZNE POLAKÓW.

W ZWIĄZKU JAK NAJBARDZIEJ GŁĘBINOWYM ZE SWIATEM TYCH ZAGADNIEŃ — JAK NAJISTOTNIEJSZEJ W POWSZECHNEM ROZUMIENIU HISTORYCZNYM PODSTAWOWYCH — NIEPODOBNIENSTWEM BYŁOBY WSKAZAĆ W POLSCE, WSRÓD CAŁEJ ROZCIĄGŁOŚCI JEJ DZIEJÓW I CAŁEGO BOGACTWA ICH STYLU, MĘŻA W KORONIE, CZY POZA NIĄ, KTÓRYBY JAŚNIEJ I PEŁNIEJ, NIŻ JÓZEF PIŁSUDSKI, NIETYLKO WIDZIAŁ TO, O CZEM TU MOWA, ALE I POTRAFIŁ ROZLEGLEJ A SKUTECZNIEJ POMIENIONYM WADOM NASZYM PRZECIWDZIAŁAĆ, A ZALETOM SPRZYJAĆ.

TO TEŻ OGARNAĆ I WYRAZIĆ GO W PEŁNI — NIEPODOBNA. CECHUJE GO BOWIEM SWOISTY STYL TYTANICZNY NIEBYWAŁEGO W SWYCH WYMIARACH HISTORYKA = SOCJOLOGA, KREŚLĄCEGO W RAMACH PRZEZNACZEŃ EPOKI NIETYLKO WŁASNEJ, CZYNAMI SWYMI DZIEJE SWEGO NARODU.

WYSTĘPUJE ON — NAWET NA TLE NAJCIEŹSZYCH UŁOMNOŚCI ŻYCIOWYCH, SKAZANEGO Z NATURY RZECZY NA NIEDOSKONAŁOŚĆ, APARATU PAŃSTWOWEGO POLSKI ODRODZONEJ — JAKO WIEKOPOMNY MYSLICIEL = PRZETWÓRCA I WÓDZ SWEGO NARODU.

STARCZY TO, BY POSTAĆ JÓZEF A PIŁSUDSKIEGO DZISIAJ JUŻ RYSOWAŁA SIĘ PRZEC NAMI, JAKO NADRZĘDNE W SWEJ ISTOCIE FENOMENALNE W ŚWIECIE, A NIEZNANE PO DZIŚ DZIEŃ ZGOŁA RODZIMYM DZIEJOM NASZYM, ZJAWISKO OPROMIENIAJĄCEGO LUDZKOŚĆ SWOJĄ HARMONJĄ, ZESPOŁU POTĘGI DUCHA, MYSLI I CZYNU.

Prof. Jędrzej Kochanowski

19.III.35.

KIEDY SIĘ MIASTO KŁADZIE DO SNU
KIEDY PĘKAJĄ PĄKI ŚWIEŻE, —
POPRCZEZ ALEJE PLYNIE WIOSNA,
BY ZŁOŻYĆ RAPORT W BELWEDERZE:

IŁE KASZTAŃÓW JEST W SZEREGU,
I GDZIE ZAKWITŁY JUŻ PIERWIOSNKI,
I JAK TO Z LASU ZIELONEGO
POWSTAJE LEGJON MARSZAŁKOWSKI.

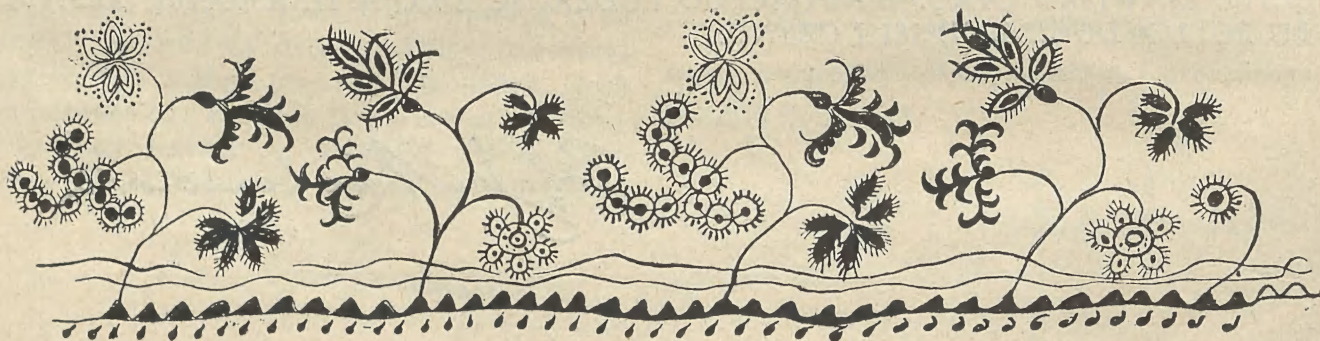
TU DRUSKIENNICKIE SZUMIĄ DRZEWA,
TAM ZNÓW WILEŃSKIE SZEMRZĄ SOSNY
I PACHNĄ BZY, I WILGA SPIEWA
I TO JEST WŁAŚNIE RAPORT WIOSNY.

A POCHEM IDZIE DZIEŃ IMIENIN,
DZIEŃ ROZEŚMIANY, ROZSPIEWANY,
I SALUTUJE ŚWIAT W ZIELENI
I PREZENTUJĄ BRONŃ KASZTANY.



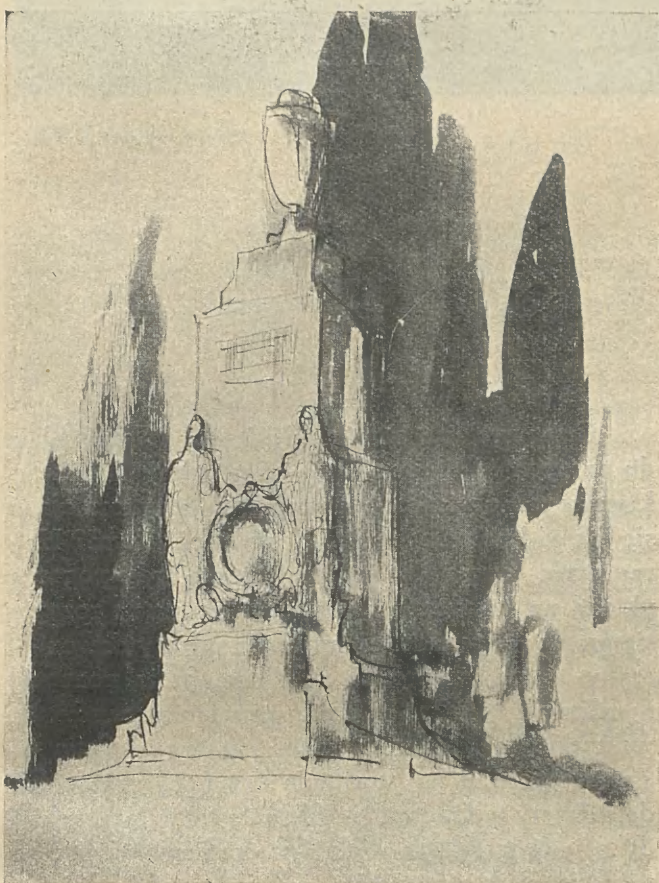
ZENON KONONOWICZ

Kościół w Pomieniówce, w którym chrzczony był Marszałek



„NIECH SPOCZNIE NA WAWELU, AŻEBY KRÓLOM BYŁ RÓWNY...”

SŁOWA WYPOWIEDZIANE PRZEZ MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
PRZY WPROWADZENIU ZWŁOK JULJUSZA SŁOWACKIEGO NA WAWEL



S. NOAKOWSKI

Szkic projektu pomnika na Polskiej Górze

Pójdźmy do niego i za nim — w spowiedź tajemną, o której głoszą przydrożne wierzy i tajemne, święte tchnienia Wisły — pójdźmy w żywot, gdzie Boża myśl się rodzi, na obrzęd wieszczu...

„Mrok tajemnic nas otacza — pieśń i wiara przewodniczy... — Dalej z nami, kto rozpacza — kto wspomina i kto życzy!”

— Dalej, dalej, gdzie zadumana myśl Polska chodzi, w ten świat wizyj kosmicznych... tam, gdzie Król Duch — rapsod narodu się łączy nowy, tam pośród krętawic wicherzycy i niewoli, w długie noce zimowe, gdzie jawi się posłannictwo Polski... i oto staje u chaty królewskiej — i puka do wierzei, jak te śnienia:

Przyjdiesz ty do nas w złotej błyskawicy,
Przyjdiesz ty do nas w hejnałów rozwiei,
Staniesz ty w owej piastowej świetlicy,
Wymalowanej tęczami nadziei,
Gdzie prochem święci wracają pątnicy,
Od cudzych węglów i cudzych wierzei,
A idą — cichą i umarłą twarzą!
Patrzeć, jakie w niej duchy gospodarzą.
Przepowiedziane miałeś to swej gości,

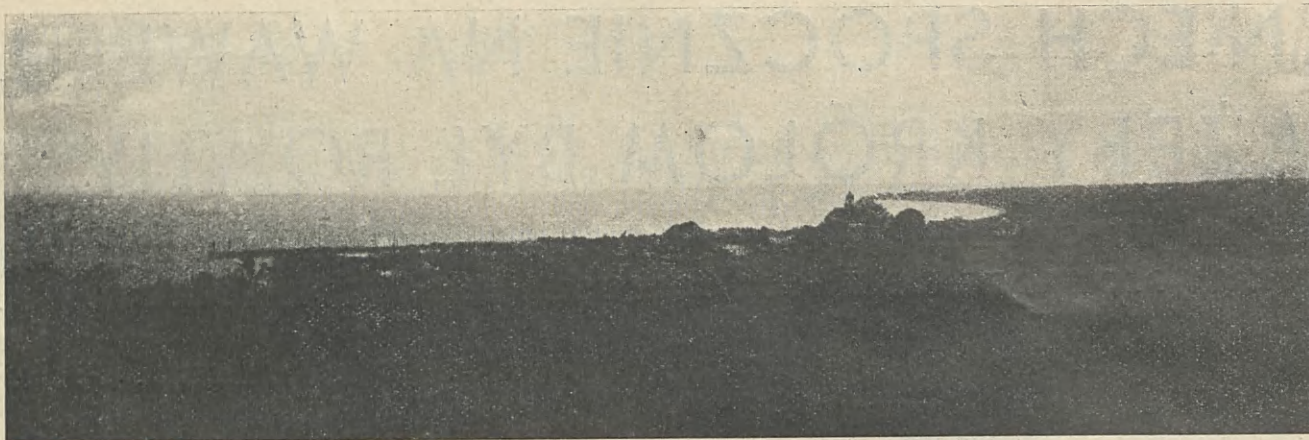
Ze się nie zmiesza z popioły obcemi,
Ale dźwięcząca i pełna jasności
Wstanie, i pójdzie ledz we własnej ziemi.
Harfa królewska, która idzie w gości
W dom, gdzie pieśń głucha, a pieśniarze niemi,
Iż nie znaleźli cudownego słowa,
Którem drży dusza narodu echowa.

Tyś je znał! Tyś je odklął z tajemnicy,
Na niezrodzone dni przyszłych pogłowie...
I pieśń stanęła, jako na kotwicy
Z djamentem, na twem tęczującym słowie...

Marja Konopnicka.

„I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła;
Nieznanymi świat porusza siły
Na nieznanome jakieś wielkie hasła”

Tam, pośród krętych jarów, gdzie kalina rozkwita i czerwone jagody rzuca strumieniom rwącym, gdzie smutna piosnka nawiedza pola i nieda-
lekie stępy szumią dumy hetmańskie, na Wołyńskiej ziemi, w Krzemieńcu, w roku 1809, dnia 4 września, urodził się Juliusz Słowacki. Nie będziemy się zastanawiać nad jego życiem, nie będziemy rozpatrywać poszczególnych utworów, gdyż znane są one nam, którzy umiemy czczyć i kochać — czuć i pragnąć — żyć i patrzeć!



Polskie wybrzeże morskie

Cóż więc u Słowackiego składa się na idee Polaka, na jego byt z ideą Polski, jako dziejowej wiary czystości poety i stosunku jego do narodu? Oto Człowiek przedziwnie piękny, skończony — to samo, co u Mickiewicza — ostatni improwizacja — przejście z bohaterstwa do mesjanizmu — pierwszy tragedja-widzenie rapsodowe — Król-Duch

„Od strasznego ducha odwracamy oczy.
Prędzej go zobaczymy, niżbyśmy żądali,
Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,
Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali,
I z ranami polskimi starą pierś pokaże,
I otoczą go wkoło litewscy guślarze”.

Jakby urocze mary „Dziadów“...

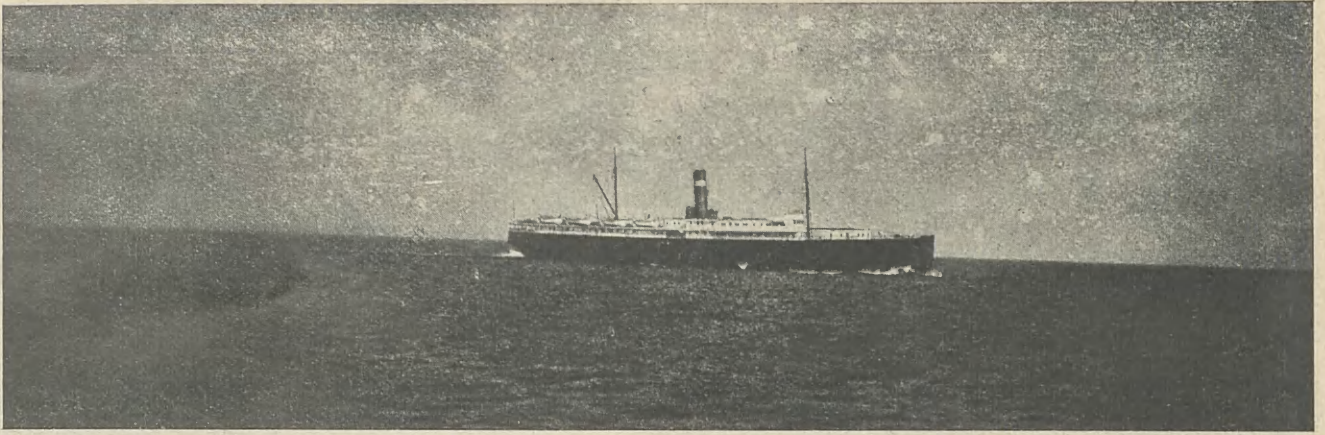
I oto wyrastają rzeczy jedne przez drugie po-
tężne, wielkie — oto z mroków duszy polskiej,
z głębin Sybirskich, gdzie smutek się włóczy czar-
ny i tęsknota Anhellego, pozierająca na gromady
ptaków czarnych, lecących od północy, iż myśl się
gubi, tonąc na falach tego bezmiar morza...

Ale Polska Juljusza chce abdykować: „z nie-
skończoności przemienić na skończoność i widzial-
ność!“. Albowiem wie sprawę poleconą jej narodo-
wi od Boga!... Bóg bowiem chce Polski, aby czyni-
ła wysokość między wysokościami, do której dążą
w ideałach inne narody: A więc przez Nieśmiertel-
ną Miłość — a więc oto Ojczyzna, w której miesz-
ka człowiek boży — a więc ów Cud w ludach, dus-
zy polskiej, o której śni stworzenie... Człowiek
Słowackiego będzie patrzył odtąd w Boga, będzie
śledził Jego myśl w Ojczyźnie, a przez nią we
wszechświecie, i wpatrzy się w dzieje narodu „od
czasów mistycznych aż po czas powstania Kościu-
szki“ i stanie się jego rozpaczny dramat. Horsztyń-
ski starzec sen długi wróży Polakom, bo ich pokole-
nie w pierw padnie pod toporem kata za ruble,
wzięte z kaźni moskiewskiej, a dopiero kraj ożyje!

Bo ty nie myśl, że z anioły,
Tylko Boża myśl przychodzi.
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoly!”

* * *

Czy przyjdzie stepów pieśń — i pukać będzie
do naszych chat radosna — i przyjdą li duchy
krwawe z Nocy Listopadowej — Wernyhora zjawi
się jak widmo na siwym li koniu wietrzanym? Hej,
czy przez burzany w pół jasne zorze, gdy pogasną
płomia na kominach dworskich, harmatne rozegra
się granie i Zygmunów wawelski uderzy dzwon —
czy w nowe przymierze z Panem, przez poznanie
i odczucie ducha bożego, przez wprowadzenie
wskrzesiciela Pisma św. przed ludem — wyciągną
się ręce narodu na powitanie króla, bo rok to bę-
dzie święty w Ojczyźnie. Miewało takie lata niekie-
dy plemię Izraelskie równie w czasie największego
napięcia walk o istnienie. „Lilla Weneda“, „Balla-
dyna“ dały niejako rodowód narodu polskiego,
Król-Duch zaś — to wywód duszy narodu i jej
ukoronowanie w idei — jak w Samuelu Zborow-
skim wywód duszy wszelkiego istnienia. Zaprze-
czyć się nie da, iż Słowacki przez „Samuela Zbo-
rowskiego“ jak i przez „Genezis z Ducha“ stanął
na wyżynach, w które dotarł Mickiewicz w „Dzia-
dach“. „Ten, który dał „granit pod budowę pom-
nika poezji polskiej“, nie sięgając przytem w żad-
nem z swoich dzieł z wyjątkiem „Ksiąg Pielgrzym-
stwa“ poza swój kraj, doszedł, oparłszy się o naj-
istotniejsze swe przyrodzenie, o polskość i litew-
skość, do wzniesienia się przed oblicze Pana, zaś
ten, który posągowi owemu „przypiął skrzydła“,
przyklął w tem samem miejscu, stał się jasnowi-
dzący i Boga blizki na tle dziejowych porównań.
Jasnowidzący i objawiający jest w „Samuelu Zbo-
rowskim“ Słowacki, jak wyznającym staje się Mic-



kiewicz w „Dziadach“, jak sprzymierzającym jest w „Irydjonie“ Krasieński. Wśród obcych twórców, podobnie jak Słowacki, starali się zlać przeróżne światy w jedno Beethoven i Goethe; Beethoven w zamierzonej dziesiątej symfonji, gdzie także miała być wyrażona istota duchowa klasycyzmu i chrześcijaństwa, i z nich urodzona nowoczesność, Goethe w „Fauście“, w którym niemieckość kroczy przez chrześcijaństwo i humanizm do jakiegoś szarmonizowanego ogólnoludzkiego, pogodnego, nowego świata. Goethe w „Fauście“ położył koniec „dwójbóstwu germańskiemu“ wedle Heinego, Słowacki wyzwolił przez trzy najważniejsze dzieła z ostatnich lat życia, przez „Króla-Ducha“, „Genesis z Ducha“ i „Samuela Zborowskiego“, siebie i poezję polską z pod wpływu Byrona¹⁾. Na miejsce jego kainizmu i satanizmu wprowadził rzecz cudną, królestwo ducha, choćby przez męczeństwo i ofiarę. Cóż to za różnorodność bohaterów u Słowackiego — widzisz ich szeregi naprzemian: to Chrystusowych, to narodowych, to rycerzy olbrzymów, o jakich liry stare pieśni roznoszą po górach i wybrzeżach morskich krain.

• • •

I tak dojrzał człowiek w Ojczyźnie, rodząc ideę Polski — apostołstwo — niesłychane od czasów proroków hebrajskich — jak słusznie zauważył znakomity uczyony i poeta francuski Gabriel Sarrazin. To też zdumiewa obcych fakt ten, jedyny w nowożytnej cywilizacji. A nas?... Czyśmy odczuli posłannictwo — czy zrozumieliśmy tajemnic Polski zawilość — niestety, u nas mało kto wznosił się choćby na poznanie. Słowacki jest tak niezrozumia-

¹⁾ „Hasło“ o „Samuelu Zborowskim“ — Kazimierz Wize.

łym, tak wydaje się tajemnym dla wielu, że strach ich nachodzi, że nie zdolni może będą do dobrego udawania, iż go pojęli — tym radzę zapoznać się z lekcjami o Juljuszu Słowackim, Cyprjana Norwida, który między innymi pisze: „Zygmunt Krasieński był w Rzymie w czasie tym, kiedy wyszedł „Król-Duch“, ale zachwycony był pięknnością samego języka i mawiał mi nieraz, że uważa go za piękniejszy co do formy nawet od przekładu „Jeruzolimie Wyzwolonej“ Piotra Kochanowskiego, acz winienem przecie i to dodać, że Kardynał Mezzofanti, mówiąc raz ze mną, wyraził się był, iż „Tassa w oryginale nie czytuje, bo milej mu jest czytać tłumaczenie polskie, Piotra Kochanowskiego!“ Mimo to Krasieński „Króla-Ducha“ nie pojmował i wyrozumieć ogółu nie mógł. Ktokolwiek też życzy sobie czytać poemat ten tak jasno, jak się czytają dzienniki — ten celu swego nie otrzyma. Ciemna to zaiste i burzliwa historia azjackiego „Ja“ w dziejach, a koniec ten monoepopei naznaczony zwycięstwem tego „Ja“ nad samym sobą:

„Spijże mój kształcie pierwszy... z ducha zdjęty...
Świecący w dali, jak księżyc na nowiu;
Upiorny, za krew wylaną przeklęty...
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na Ciebie! jak na dyamenty,
Na Bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszej natury z ducha budowane,
W ciemności, w chmury i w piorun ubrane...“

Cały ten tok energii historycznej rozbijając się o koniec własnej osobistości, wypowiada:

„Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
I dalej, szedłem; jużem był Boży. —
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem;
Duch — ukazany w pierwszej świata zorzy...
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila“.



Od Armenji, gdzie wedle podań Arka zatrzymała się, przechodząc przez Iberję, Kaukaz, Scytję, Roxalanję, Markomanję, Kimbrję aż do Kadelonji napotyka poeta różne ludów przedświty, napotyka je tam i sam bezładnie. W dwóch wierszach maluje dwieście lat, w jednej łunie sto pożarów, a w zamachu jednym i jednym miecza poświęć, rzezie całe; każdy też obznajmiony z historjofiją mytów, zrozumie, że gdyby w toku epopei, mającej za bohatera „Ja“ było więcej ładu — epopeja ta byłaby raczej systematem filozofji dziejów. Myśl wszelako ogólna monoepopei wyraźnie i bez właściwego jej omroku czytelną jest w ostatnim momencie, to jest kiedy przesilenie osobistości w owem „Ja“ dotyka praw bożych i przechodzić się zdaje wszelką miarę, a jest jednak spowiedzią tylko ¹⁾:

„I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć,
Dla sławy marnej — a nie dla spowiedzi? —
Postanowiłem niebiosą zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak, jak w tarczę z miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć.
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach błady...”

„Co znaczy ten Bóg błady? — rzuca Norwid — oto Bóg Syn, Bóg umęczony, Bóg człowiek w chwili śmierci i chwili zwycięstwa swego na ziemi!”.

„Tak tedy ideał promienny uduchowienia, unieśmiertelnienia wszechświata drogą stałego wcielania słowa w ciało, godząc, uspokajając uczucie i rozum, usuwa wszelkie sprzeczności i wkracza do najświętszego przybytku duszy naszej, aby tam żyć i królować. I tam wytwarza nowe drogowskaz

¹⁾ O Juljuszu Słowackim. Cyprjan Kamil Norwid, Kraków 1909. Wydanie wtóre. Książnica naukowa i artystyczna.

zy — syntezę heroizmu i ascetyzmu, walki o ziemię z walką o niebo, rycerza dumnego z rycerzem pokornym, dumnego przed ziemią, pokornego przed niebem — czynu bezpośredniego z ekstazą — wcielania z natchnieniem... Tak mówi on! Tak mówi duch kultury chrześcijańskiej, duch nieskończonych wcieleń Słowa w ciało, ciągłej twórczości. Tak mówi Człowiek-Bóg...¹⁾. Tak „Król-Duch“ wcielać się ma z wolna w nas — iż rozbudzone jest pragnienie w narodzie, by zobaczyć, kędy wiedzie droga jego? Wszak wyzwolenie było w więzach jeszcze...

On Ci dał wolność i ster swobody
i odzież hetmana — króla Ludu —
abyś szedł człowieczy syn w narody —
przed Jego przyjście w godzinę cudu!

Ale wsłuchaj się, Polaku:
Wmyśl się Polaku...

Czyż do wrót Twoich nie przyjdzie na obrzęd
Święty Duch?...

Mocarna nie ziści li go pieśń? Odszedłeś
z chat bracie, gdzie zakłęcie się odbywa, by nie
brać udziału w czynie — zaliż oszukujesz samego
siebie śmiertelną żyjąc tęsknotą?

Gdzie my jesteśmy, gdzie my spadkobiercy
ewangelji narodu, Króla-Ducha, Genesis z Ducha?
Gdzie my, gdzie — gdzie Jego Bóg — gdzie Człowiek —
gdzie Ojczyzna?

Aby się wyzwolić — słowo należy wcielić
w czyn, by wyzwolenie było!... By świętość się
ziściła, by Bożą była Polska i Bożym był syn jej
smutny...

Słowacki rozumiał i znał odrodzenie i roz

¹⁾ O Monsalvacie (Problem Mickiewicza). Jan Bęlikowski. Warszawa 1909.



paczny szedł naprzód ku tym błękitom, rozdzierając chmury aż hen, gdzie graniczy Stwórca i Natura:

„Lecę! błyskam!
Skrami ciskam,
Jutro zmarły;
Patrzcie na mnie,
Życie za mnie,
Ludziel karły!
Tu Wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił rządy;
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!”

I poszedł tamtędy, tulając się po świecie, jak ta wieczna tęsknota — jak „duch trumny — smutkiem dumny“ — „w koronie chmur i gromów“. Takim jest życie jego ducha. I wielom niezrozumiany jest — nic dziwnego; nie każdy dąży tamtędy...

Nie oko śmiertelne sięgnąć potrafi w ślad za lotem orła — jedno duch śmiertelność przeżywa, przebiega, iż jest nieśmiertelny, wieczny...

Prof. Józef Tretiak odarł człowieka i małostkowość przydał duchowi, co królem jest. Te dwa tomy tworów spotkały się z naganą w narodzie — splamiły imię tego, który mówił:

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciąglą walkę z szatanów gromadą
Ich bronie, jasne i tarcze słoneczne
Jamy węzową napełnione zdradą...
Powiem... wyroki wypełniając wieczne
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą
Abym wyśpiewał rzeczy przeminęte
I wielkie duchów świętych wojny święte!”

I więcej jeszcze oto, bo duch jego klęcząc będzie się modlił tam już przed tronem tylko Boga... Jakiem więc prawem odziera się te potężne, prawdziwie od Stwórcy zesłałe natchnienia — jaką zuchwałą odwagą ciska się w twarz narodowi jego człowieka wiecznego. — Człowiek Słowackiego to Miłość, Nieśmiertelność — to Syn Boży, który władny duchem, unosi się ponad ciemnościami świata i gdy on polski powstanie:

„To składek zbierać nie będą narody,
lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wyteżą uszy, odemkną gospody...”

Bo On będzie Chrystusowy!...

„Do gwiazdzie morskich tajemniczej jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni,
A miał w jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali własni;
Cudowne jakieś Lecha pokolenie!
Mające w sobie całe Polski Słowo,
I moc, i różgę cudów Mojżeszową”.

Takim jest rapsod pierwszy z ducha narodu — on w nas żyje wiecznie. Staje przed nami w jesienne szmery liści, w wicherze styczniowej zawieruchy — błąka się w świątyniach, szuka placówek, sto słońc zapala — i zda się wieczny jego wschód — zapalny jako grom błyskawica — ale wieczny, nieśmiertelny ma jego być czyn, aż przyjdzie Królestwo Boże!

Kiedy Cyprian Norwid doniósł Z. Krasińskiemu, który bawił podówczas w Heidelbergu, o śmierci Słowackiego, ten między innymi odpisał mu, iżby się Norwid dowiedział, czy nie zostawił Juliusz wiadomości co do nagrobku, jeżeli nie, to „połóżcie — pisze Krasiński — napis: „Autorowi Anhellego“, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia



KASPER ŻELECHOWSKI

„Błędne Ogniki”

mu sławy na pokolenia przyszłe“. „Anhelli“ też jest dziełem najbardziej dopełnionem. Duch polski sypie nad otchłanie, jakby koniec toku dziejów, co z zamierzchłych ran krwawych uchodzi w nowy zmierzch na Chrystusową Golgotę... Słowacki śni odrodzenie idei przez człowieka, który iść będzie ku Stwórcy, ogarniając wszystkie światów tchnienia i rozedrze on błyskawice — przebije chmury, by Ojczyzna pełniła wysokość między wysokościami narodów!

„Słowacki — to syn stepu i dusza stepu, gdzie księżyc wschodzi po przez krzyże, a błękit, jak oko świata nalane blaskiem po brzegi, waży orlich myśli lot i zadumę — natura anheliczna, jak lira w ręku Boga całą gęźbą, brzęcząca, światłolotna i przenikliwa jak eter, a zarazem pełna dumnego żalu własnej odmienności, samotna w życiu i zgonie, jak zdychający lew na pustyni, natura dumna szlachetnym spadkiem przebogatej wolnej krwi, czysta w instynktach, jak marzenie królowny — w duchowej postawie przedziwnie niepodległa, licyferyczna razem i razem synowstwem Bożem napelniona...“¹⁾.

I wznosi się ten Duch niepodległy, wielki, twórczy — cały krąg globu ziemskiego przebiega i wraca do chat ojczystych, rozpaczny patrzy w lud po wsiach i niebiosa zda się chwilami przebiega i Chrystusa wyprosi, wyblaga, który będzie wskrzeszał, co zamarłe w Polsce i rozjaśni duchy promienne w tej krainie mogił i krzyży!

¹⁾ Artur Górski. Monsalvat. Rzecz o Adamie Mickiewiczu. Warszawa 1908.

Zjawia się jasnowidzenie obok budzenia indywidualności i patrijotyzmu. W Polsce równość ma być i braterstwo. — Dotąd stało fatum narodu — pokolenie jedno złoży ofiarę, przekazując czyste, święte ideały ducha następnemu pokoleniu, które rozwidni mroczny horyzont na krzyżowym polu i jakimś blaskiem stu słońc uderzy na inne duchy narodów wszej ludzkości! Ten ogrom bólu upośledzonych rozejdzie się po pustyni, po dołach Sybirskich kopalń, rozejdzie się jak świat szeroki, będzie przystawać w noc zimową nad kolebką myśli — z zadumą o Bogu stawać będzie przy oknach chat białych, na szybach wicherzane zwiastuny wolności grać będzie, aż wśród takich fragmentów pieśni nowej narodu, Legja Ojca Przedwiecznego powstanie, której imię Polska!

Zbłąkały się duchy nasze wśród wichrów ukraińskich i borów litewskich i we mgły, krwawe opary poboju wiszą się ścieśniają — a może siła ich przedziwna z Tatr gór zbiega, a może na falach Wisły się niesie, a może już zaduma lirów wygrała wsiom odrodzenie, któż to odgadnie, nim on przyjdzie, któremu ciemność północy towarzyszy?..

Słowacki na uwydatnienie Idei Polski przeszedłszy kraj, sięgnął całego świata: „Kordjan“, „Beniowski“, „Ksiądz Marek“, „Sen srebrny Salomei“, „Książę Niezłomny“ (tłumaczenie), „Zawisza Czarny“, „Syn Ziemi“, „Książę Michał Twerski“ — i inne.

Wstać ma nieśmiertelność jako anioł z człowieka i stać się mamy Ludem świata, by wrócił Pan duchy, co jak błyskawice rozleciały się w chmurach. Zatrwoży się wszystko — wszelkie stworzenie z podziwem stanie — całe pokolenia inną przybiorą miarę, gdy się w „światłach w snach pokaże człowiek dobrej woli“.

Polska czeka Człowieka — On będzie bezimienny, stanie na zgłiszczach dawnych, na ruinach pośród grobów — a tylko ujrzą narody bój i ogniste wieńce — „zwierzęcego nie słyhać krzyku!“ — mówi Słowacki:

„Ludzie tacy nie tylko z ciał i z krwi być muszą
Lecz jacyś (jakby) upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą,
I ogniem biją niebieskim w pancerze“.

I jeszcze ten człowiek, gdy błaga poeta:

„A jednak ja nie wątpię — bo się pora zbliża
Że się to wielkie światło na niebie zapali,
I Polski Ty, o Boże, nie odepchniesz z krzyża,
Aż będziesz wiedział, że się jako trup nie zwali“.

Ma ona więc być z ducha nieśmiertelnego i jak nowy legjon rycerzy uszlachetnić, miłować, iść ku nieskończonej Dobroci, ku Pięknu, ku Bogu...

Wśród wczorajszych mąk, wśród kajdan niewoli, wyrośnięm jak te kłosy złote pod deszczem. — Jenó wspólny trzeba nam mieć rytm, aby krzewił się czyn, do tego wychowania szukać trzeba, społeczność je głosi, naucza Pismo św. — Nieraz w godzinach rozpamiętywań podjąć by należało Słowo i wcielić je w Ojczyźnie, patrząc głęboko z bólem kraju w nieśmiertelne gwiazdy nasze... Odtąd wyłoni się jedność odczuwania i podział serc — Miłość!

Posłuszeństwo hetmańskim duchom!... Pierwszy to warunek! Bo człowiek ten w bólu poczęty, w całunach, wśród mogił widzi kraj i chciałby go zbawić, przez ukochanie, być „kapłanem i ludem, anachoretą i rycerzem...” i jest on o konstrukcji metafizyczno-religijnej, nosi nazwę „miljona” niezwykniętych sił, przed którymi drży szataństwo niewoli. — To nie dekadentyzm beztreściwy, bez celu i ukochania, nie mający istotnych podstaw, nikogo i nic nie mogący utrwalić, chwiejący się w teorjach coraz sprzeczniejszych, kroczący bezwiednie prawie po dziedzinach mistyki, bez tej przewodniej idei, co opromienia, co źródłem jest życia. Te najsprzeczniejsze kierunki w naszym społeczeństwie zamieniać z wolna poczęły męstwo w straszliwość, w karłowatość, idąc po ziemi naszej jak kłosa bezduszną, trupa pieśnią. Tymczasem człowiekowi nie iluzji i nastrojów potrzeba — bo dziwna jego tęsknota prowadząca po bezmiarach gwiazd, szuka Boga i tylko wtedy błyska, jak „Król-Duch” ludzkości — i naród niesie miljarde narodów, bo każdy z nich, to milion, rzucający płomień wschodzących zórz, brzmący w akordach nie z tego świata, oskrzydłający bryłę ziemską, z której pierzcha dążność pozytywistów. Człowiek taki wzrasta wśród warunkowości ciągłego szukania, poznawania; z pośród chaosu etyki, estetyzmu Nietzschego, przeświadczeń o indywidualności o nim u Szopenhauera — słowem wznosi się on ponad kręgi nadludzi — i leci duchem potężny coraz dalej, nad wszechświat Hegla, ku tym niezgłębionym prawdom Wiecznego Boga, ku jedy-nemu celowi, w nieskończoności żyć, ruchów, przeobrażeń...

On jak legenda zaczarowanych snień, zrodził się pośród gwiazd, na chmurach i błyskawicach — tam ujrzał go Mojżesz, Duch Narodu, skąd Polsce prorocstwo rzucił — On Wieszczy — który przez słowo dokonał żywota „poławianiem prawdy zatrudniony” (Helion). Aniołów jawiciel! Duch który powiada:



S. NOAKOWSKI

Szkic projektu pomnika poległych legionistów na Polskiej Górze

„Cały się stałem ojczyzną... i cały
Stałem się prochem i cały rozpaczę!
Fraszka te węże, co w piekle kasały
Dawne Anioły. Niech ludzie zobaczą
To ziarno męki i ten proszek mały,
W którym się miasta palą — matki płaczą
Dzieciątka swoje własne gryzą z głodu...
Niech pojma ducha jęk — Słowo narodu!”

Zostańmy pod zaklęciem prawdy — a gdy zejdziem się na kurhanach dawnej świetności, obzrzed sprawiac umarłym, to niech przestrogą będą nam dzieje, po których jedno marzenie, jeden cel, jeden tylko ideał ma być: Bóg — Człowiek — i Ojczyzna!

„Na hełmach pierwowidzących” — te zgłoski widnieć mają — i oni „tarcze” postawią rzędem, „drogę założą dzidą” i strąca śmiertelność w przepaść głęboką.

„Ale kto, bracia, pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzą dawnym narowem,
Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe:
Taki dziś bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;



Kaplica legionistów w lesie pod Maniewiczami,
zbudowana przez nich na pozycjach w czasie walk o wolność Polski

I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał
On siedział, głupi, kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał“.

Ta jest idea jego — te są słowa przestrogi.

* * *

Innym będzie ten, któremu imię: „Popioły“, „Dzieje Grzechu“, ten co stworzy „Próchno“ i ten, co będzie nauczał „Duchy“. On będzie się zastanawiał, jakie jest miejsce człowieka wśród suszy i wody, wśród zwierząt, motylów i kwiatów — i pójdzie hetman pytać, jakież być powinien czyn jego. „Czyli winien — pisze autor — „Dumy o Hetmanie“ — w ciszy ducha bytować i w niezawodnym szczęściu pokory na obraz baranka w dolinie, na obraz lilji cnotliwej, co ziemski sok piąje, czyli powinien, jak ona otwierać kielich posłuszny swej duszy ku słońcu, a zamykać uwiędły i opuszczać go w nicość, gdy nadejdzie przeznaczona pora? Czyli ma otworzyć tajną serca ciemnię, gdzie wieczny niezgasłego pragnienia jęk czuwa, czyli ma wyzwolić zaczajoną żądzę swej istoty, żeby wychynęła po władzę nad światem? Czyli ma w cichości pożywać owoc ziemi rodzącej i wielbić ją sercem niewinnym? Czyli ma ugniatać uściskiem dłoni żelaznych ze wszystkiego kształt nowy na obraz tajemniczej chimery myśli swej?

Dajcie odpowiedź, o wielobarwne skrzydła motyle, co się, jak dłonie kapłańskie, za nas rozwieracie i składacie nabożnie przed słonecznym promieniem!

Dajcie odpowiedź kwiaty, które barwy czerpiecie z łona chmurek porannych, a z nędznych w gnoju korzeni ziemskich wydzieracie się ku śniadym i rumianym obłokom, a nad obłoki górujecie czarodziejstwem zapachu!

Daj odpowiedź, ty wodo, wydająca przez wieki wieków dźwięk swój, zawsze jednako tajemny...

Dajcie odpowiedź, wędrowne chmury niebieskie, które co dnia oglądacie wszystko z wysokością, co jest na lądzie i na morzu...“

Jakaż ogromna różnica: Słowacki pytałby Ducha, analizując życie, gwiazdy, błękity — wsłuchiwałby się w huk gromów, w ryk fal na morzu, w dzieje narodów i znalazłby w pożodze wieków, nad którymi losy zwisają Boże, odpowiedź, co czyścić ma duch hetmański i modliłby się nie karłom, szatanom, nie śpiewałby pieśni ciszy sfinksom lub uciesznym faunom leśnym, nie hołdowałby hasłom sztuki dla sztuki: Bo on, gdy wzbije się orzeł i wieścić ludom pocznie, to w pierw przyklęknie tam, gdzie graniczy Stwórca i natura — i zawoła:

„O Boże ojców moich, Tobie chwała
Na wieki wieków od Twojego sługi —
Orlicy z ognia, która mnie porwała,
Chwała i wieczny hołd, i rozgłos długi.

Jak orzeł gniewny, Panie wiekuisty,
Zleciałeś na mnie i skrzydły przykryłeś —
Szelest był wiatru i trzask był ognisty,
I cisza wielka — pod ogniami...“

* * *

Z pośród trzech tytanów romantyzmu naszego, Słowacki całkiem odrębnie oddziaływał na potomność, on widzi i przepowiada, nic przed nim nie istniało równego i nic jemu współcześnie królowskiego.

„Ktoś to powiedział — pisze poeta — że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną były języki i mowa —
Posągby mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem: Patri patriae... Jest to nowa
Krytyka... stój!... ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni, jak mozaika, śpiewa, jak słowiki.

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same, jak Dryada, wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy na pola,
I rozłabędzi wszystko, rozśpiewi,
Jak smukła pełna słowików topola,
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz, że w niebo ulatujesz z chatą...“

Trudno — pisze Matuszewski — o lepszą i prawdziwszą samocharakterystykę. Rzeczywiście Słowacki był nie tylko wielkim poetą, lecz i wielkim mistrzem, a niekiedy nawet wirtuozem formy. Czując, że rym sam się do niego nagina, że „okta- wa pieści, kocha go sekstyna“, poddawał się tym pieszczotom z lubieżną rozkoszą i pozwalał czasami pięknu formalnemu przyćmiewać piękno duchowe. Słowa nie były dla niego, jak dla Mickiewicza, soczewką, skupiającą promienie myśli w jedno potężne ognisko, lecz pryzmatem, w którym myśl owa łamała się i rozszczepiała, tworząc wspaniałą kaskadę tęczy barw i harmonijnych dźwięków. Ten strumień pereł i brylantów tak olśniewa w pierwszej chwili, tak pochłania uwagę naszą, że patrząc na czarowne zjawisko, zapominamy o źródle, z którego ono wytryska, i o celu, do którego płynie.

A jednak i cel i źródło istnieją niewątpliwie.

Pod djamentową pianą formy rwie głęboki prąd uczuć i myśli, biorący początek w sercu poety i toczący w swych kryształowych falach nektar, który miał „zjadaczów chleba w aniołów prze- robić“.

Gdy wczytamy się w poezję Słowackiego, зда- je się, że weszliśmy w jakiś bujny las, gdzie po- śród krzewin i drzew rozśpiewanych od wichur, w szumie dumnym, zapamiętałym, gra życie; a z tajni spowiedzi traw zdeptanych, jakiś smutek pragnienia spływa na nas, jakaś tęsknota, uwięz- czona w gwiazdy, kołysze serca w akordach gra- jących strumieni — i niesie duszę gdzieś na niebo- skłon siny, by ją od stu słońc rozpogodzić. I tak, jakby cię naszedł poeta w „godzinie myśli“ swojej, od duchów z rozkazem i krzyknął mocarny:

Albo mi lirą powstać — albo grzmotem!

To zda się czasem, że wielkie słyszym nowi- ny prorocze, które jako króle dumne stają ci przed oczami duszy i z przed wieki zdają się mówić:

„Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
i przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!...“

Jakby rozkaz dzienny do ludu wydany...

Zdumiewająco wprost niedoceniano aż do na- szych czasów Słowackiego, z wyjątkiem niektó- rych osób, do których w pierwszym rzędzie należał niewątpliwie Cyprian Norwid, a później Marsza- lek Józef Piłsudski.

Mickiewicz po przejrzaniu dwóch pierwszych tomów Juljusza, utrzymywał że w poezjach tych niema Boga, a w swoich wykładach ani razu nie wspominał o poezjach Słowackiego — wprawdzie spotykamy w lekcji XXIII, że „mamy nawet je-



KASPER ŻELECHOWSKI

„PASTERKA“

dno dzieło Słowackiego, którego cały przedmiot rozwija się na północy“ — tyle tylko, to wszystko. Matuszewski całkiem nie chce brać w rachubę tej wzmianki.

Kraśiński o „Królu Duchu“ pisał:

„Nic prawie nie rozumiałem w „Królu Du- chu“, jeśli dwadzieścia strof, to najwięcej; wiersz prześliczny, ale to jak w kalejdoskopie“ i t. d. Na dokończenie autor „Irydjona“ dodaje: „Albom ja warjat, czytelnik, albo autor, co pisał. To nie- bezpieczne takie pytanie, bo gotówby czytelnik w zapasy pójść z autorem, wołając z rozpacz- ty, ty, nie ja warjat“ (z listów do Gaszyńskiego). Ale ten sam Kraśiński później broniąc Słowackie- go przed niesprawiedliwością współczesnych pisał: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, wy się na nim nie znacie; przyjdzie czas, w którym się po- znacie. Wszyscy krzyczeli na Byrona, wszyscy na Fausta, wszyscy na pana Adama, że ciemny — a dziś dzieci go rozumieją, bo co się przeprowadza w mózgu ojców, to do serc dzieci przechodzi i roz- dzi się z nimi instynktownie.“ — Przejrzał zaiste Kraśiński pisząc te słowa, odgadł zbliżającą się epo- kę nowych ludzi i nowego człowieka, jakim bo- wiem człowiek, taką literatura, jakim człowiek, ta- ką i sztuka. Inaczej być absolutnie nie może, taką jest logika życia, taką konsekwencja twórcza — wieczny rozwój coraz doskonalszy, coraz bliższy Boga. Słowacki wierzył, że pełni służbę Bożą rze- telnie i sumiennie, pełnił ją inaczej, niż dwóch je- go towarzyszy, bo pod jakąś „tęczową kopułą“ własnych myśli, gdzieś w niedościgniętej, na nie- botycznych skałach marzeń, które dadzą się w czę- ści streścić w skardze poety, w przedmowie do „Lilli Wenedy“: „Ile razy zetknę się z rzeczywiste- mi rzeczami opadają mi skrzydła i jestem smutny,



GDYNIA

Fragment morski

„jak gdybym miał umrzeć, albo gniewny...“ On też chciałby urabiać ludzi garściami, rzucając duszę własną tłumom, urabiać je na podobieństwo najpiękniejszych wśród śmiertelnych.

Według niego, należy budować społeczeństwo „na wolności ducha z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń“, takie zaprzeczenie ma pochodzić od anioła, jako „veto ducha“, a nie od ciała, bo „wtedy szataństwem jest i ziemi ohydą“ — niewolnicze posłuszeństwo wstrętem przejmuje poetę, albowiem nic jeszcze wśród ludzkich praw na świecie nie jest ostateczną formą myśli bożej, danej narodom. Autograf poety „Samuel Zborowski“ jest przedstawicielem takiej wolności indywidualnej, która walczy ze „smokiem“. Występuje tu on nauczający:

„Cóż jest smok? Prawidło.

A oto człowiek ten został zabity,

Za to ucięto jemu srebrne skrzydło,

Za to ucięto mu, orłowi, głowę,

Że w nim leżało wielkie prawo nowe,

Prawo, co wolność ducha zabezpiecza“.

Wszystko, co jest wielkie święte, pochodzi z ducha wolnego, z wysiłku, gdzie duch tworzy sam siebie — „kawał po kawale“, gdzie „na dzień jego leży całe stworzenie“:

„...ta pochodnia — mówi poeta — i tęcza karta

Musi być przez nas niebiosom wydarta,

A nie przez cud tu zlaną być ma duszy.

Że nam pomyśleć o tym dyamencie

Trzeba, a nie zaś czekać go od Boga

— — — — —

Nie, prawo stoi pod naszym zarządem;

Pókiśmy mali, to jest naszym panem,

Lecz gdyśmy silni, to nam pod kolanem,

Jak wyrócony Anioł ognia leży,

Więc jeśli cud jest, to do nas należy,

Byleśmy z łona Boga wzięli ducha“.

Tu spostrzegamy naukę podporządkowywania wszechświata duchowi z łona Boga wziętemu. Wszechświat ten okuł Słowacki w barwne tęcze, przybrał go w brylantowe śnienia, wysnuł przędzę srebrnych gwiazd i okolił girlandą mrocznych borów, biegiem chmur, lotem orłów — i tak poddał go sobie, czyniąc siebie panem; a później wleciał nad niego w błękit, ważył prawa nieśmiertelne, wieczne, wsłuchiwał się w nowy, jaśniejszy świat, gdzie pośród spadających komet rozwija się inne, nowe prawo „Króla Ducha“. Rzadko spotykamy u Słowackiego klasyczną równowagę, gdzieś gdzie tylko wśród wizyj kosmicznych, gdzieś gdzie wśród błysków siły skomplikowanej, w jakimś rzewnym natchnieniu — zresztą wszędzie rozpętany jakiś żywioł... Ale żywioł ten umiał się często naginać uczuciom, rozumieć wiele, przeżywać wszystkie style i typy twórczości, posiadał potęgę geniusza i zarazem proroka. To, co przeszkadzało — mówi Przybyszewski — w doskonaleniu się, co tamowało coraz to szersze uświadomienie się absolutu, to było opętanie ludzkości przez straszną, złośliwą uludę, przez Maję, której się Hindus tak bał — przez fantom rzeczywistości. Wskutek zaślepienia wyrwał człowiek centralny obraz zjawisk ze swej duszy, wyrzucił go na zewnątrz, zatracił poczucie tego, co uczynił, i zrobił ze zjawiska duszy złudnego fetysza, absolut. I w ten sposób stworzył dwie rzeczywistości — jedną zewnętrzną, drugą wewnętrzną. Wszelka doskonałość dokonywała się tem, że człowiek zamykał oczy na realną rzeczywistość, zagłębiał się w siebie, badał i śledził zjawiska własnej swej duszy, a światło, promieniejące z tego ogniska wszechbytu, rozjaśniało mu wszelkie tajnie i zagadki. Tak doszli do nadludzkiej potęgi indyjski Mahatma, biblijny prorok, egipski mag, średniowieczny czarownik i — nasz Słowacki.

Cieszył się on, czciciel potęgi, gdy „czasu duch postąpił krokiem...“ a wielkość ducha wieszczą w pieśni czyniła pokrewnym mniejszym duchom, gdzieś u samych krańców doskonałości, gdzie wszelka rzeczywistość szlachetnieje, odradza się...

„Dziwnie — rozmyśla Słowacki — jak Pan jest dobry
A ducha, co się na pracę poświęci i litośny

Ubiera w kolor; w głos piękny, roznośny

Zaopatruje, a do nieba nęci.

A do nóg świat mu przywiąże miłośny

Tak, że on coraz wyżej, jako święci

Idzie... w swej pieśni wzniesiony powiewie

I świat pociąga, a sam o tem nie wie.

„Wieszczowi bowiem potrzeba tak mało...
Zbłyśnie się w duchu — on już słońce wita!
Jeszcze się stać ma — jemu już się stało!
Jeszcze cud w pączku — jemu już rozkwita!

Jemu już dawno Eljasza ciało
Wchodzi do niebios wyżej — słońce wchłania
Na wzór... Pańskiego z ciałem zmartwychwstania.

„Przysięgnie, że są — że na ziemi były
Niektóre święte bez krwi urodzenia,
Niektóra ciała wielkie — bez mogiły,
Niektóre przejścia ciał w słońcu — bez cienia...
A to glob tylko ruszał swoje siły,
W ciała ubierał swoje utęsknienia,
By wzbudzić wiarę, która świętym służy,
W pomoc cudownej, Jerychońskiej róży“.

Takim, jak widzimy, jest wieszcz Słowacki, takim jego czyn daleki, nieuchwytny, czyn potomości przedany, czyn, w który pokolenia patrzą i wrastają pod wielką siłą uroku, szlachetnieją subtelne i poglądają w głąb duszy, gdzie głucha rozwidnia się ciemnia, wschodem słońca idącego „przez kwiatów niwy“, bo dziwnie skuwają łańcuchy spojrzeń duchów. Im dłużej zastanawiasz się — pisze Małecki — nad pismami Słowackiego, im je częściej odczytujesz, tem więcej w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety te są w znacznej mierze na pierwsze spojrzenie, jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały się w miarę zajęcia, z jakim na nie spoglądasz. Najwięcej jednak to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy... Uderza w nich jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia. Jest to właśnie strona talentu Słowackiego, która go najwybitniej odróżnia od innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia, nawet wobec większych od niego mistrzów, stanowisko wyjątkowe w literaturze.

Takim jest poeta — wszystkie barwy rozlane na ugorach życia dostrzegalne są dla niego, przed jego okiem nic ukryć się nie zdoła, to, co dla nas tajnią, u niego odgadnieniem, to, co dla nas najniklejsze w uprzytomnieniu, to u niego wyobrażnią, bo taką już jest natura jego — rwąca się ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Nic tam zresztą z zimnej myśli i utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wewnętrznej.

„Bóg ojców, który mnie raz na śpiewaniu
Śpiącego zastał i nadszedł wieczorem,
I cały na mnie rzucił się w błyskaniu,
I mocy swojej przeraził upiorem,
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem.

Niech mi da głosy i kolory trwałe,
A weźmie z pieśni wieczną złotą chwałę.

Pod Jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę.

Tak od cielesnej uwolniony troski,
Cały się zdając na moc i duch boski“.

prorokuje — i oto na wietrznym błękitcie, duchy wezwane westchnieniem boleści, znoszą mu „wonię“, „kolory“ i „wieści“, które ciska on w tłumy, a te pierzchną trwożne, lękliwe, bo im się zdało, że to gromy, błyskawice — a to rozwiązane dziejów ich tajemnice.

Bohaterski pochód w całej niemal twórczości, przeżycie, smętna praca serdeczna, cierpienie tak dotkliwe z taką przejrzystą związane tęsknotą, gdzie „rym tętniący bieży, jakby w rzymskiej ruinie kaskada,

Co skrzy i błyska, i dymi i śnieży,
I płacze i grzmi, i jęczy i gada;
I swój nimfowy włos tęczami jeży,
A spodem głazy powoli wyjada;
I tak przy słońcu, i tak w blask miesiąca,
Jak Chrystus... ciągle w sobie pracująca!“

O, zdumiewająca potęgo życia z innych sfer bytu ludzkiego!

Któż ciebie dogna?

Fala za falą ucieka, przewala bałwan z krzykiem mew spłoszonych na rozhuczałem morzu życia, gdzie wiruje kłamstwo i prawda, ból i radość, rozszalała krew ludzka i cisza uspionych bestyj — a nad to wszystko jeden przytomny kołysze się duch poety-myśliciela. Wszystek ogarnia on czas w jakieś formy stu strun harfianych, które to językiem, to zgrzytem to słowikiem dźwięczą jakieś rzewne, serdeczne; zeszele kędyś od białych aniołów, a nim się rozhuczą w hymnie wschodu i zachodu, zmierzając do absolutnej formuły, do istoty bytu, to lśnić będą w prabycie gwiazd, zgłębią bezmiar wszechświata. Nie będzie to ewolucja nitzscheizmu, której początek dąży do nowego

początku, która powraca do pierwotnego kształtu swego narodzenia. Dążenie poety do nieskończoności, to absolut w całym przepychu bogactwa, w nowym innym narodzeniu, może metempsychoza, ale jakaś nawskroś chrześcijańska, o tradycji Bożej, albowiem: „Przed początkiem stworzenia duch mój był w Słowie, a Słowo było w Tobie, a jam był w Słowie“. („Genезis z Ducha“). Swobodnie ale to do pewnego tylko czasu, rozwijał Słowacki teorie Heglowskie, tonąc w uroczej pieśni panteizmu — niebawem pod wpływem Towiańskiego zmienia się on w skończony mistycyzm, o jakim nikt dotąd pojęcia nie miał; kontury jego uwidacznia nam „Książd Marek“, „Sen srebrny Salomei“, „Genезis“, „List“, „Król Duch“ — poeta czuje się związanym tu z duchem, którego tajemnie oddaje braciom pod postacią symbolu. Forma musi mieć swój wyraz doskonały, swoją prawdę istotną — „...pierwsi ubóstwiali — powiada poeta — tego Boga chłopkom naszym podobni, kłaniali się formie, nie duchowi. Lecz z tego tłumu wyrosli niektórzy rozumem i mówili: Nie jest to, jak lud sądzi, rzeczywiste wyobrażenie Boga, ale myśl zimna, alegoryczna, w kształty przez poetę ubrana. Ci ludzie, racjonalisci, sadzili, iż ostatnią tajemnicę w Bogu swoim znaleźli. Tłum ten kolan nie zniży, głowy nie skłania, a w posągu moc, ani ducha nie wierzy, widzac w nim tylko naukę. A trzeci są ci, którzy ducha prawdy, wieczność w posągu uczuli i zrozumieli, że Bóg był wszystko wiedzący, który tę prawdę w marmur wkrzesał, i postawił. Ci gotowi są czołem posągowi uderzyć, gotowi są ludziom alegorie widzącym wyższość Boską w myśli posągowej odsłonić. Ale im mądrość moralistów urąga. Czekają więc, aż ów snycerz, który posąg postawił, sam zaświadczy o prawdzie i duchu... A niszczyć nie chcą, bo formę prawdy widza prawdziwa. Różnica więc ta, że pierwsi są pod strachem i tajemnicą, drudzy wolni już, ale nic nie widzący, a ci ostatni wolni — i widzący pod miłością są Boża...“ Niezrównanie scharakteryzował posąg prawdy i stosunek tłumu do niego i nauczycieli, czekających mistrza jakby z Nazaretu.

Częste analizy form pewnych współczesnych „postępowców“, rzekomo na podstawie naukowej czynione do absurdu doprowadzały, pomijając wieki starożytne, gdzie tak łatwo filozofja zbacza na manowce — wystarczy uwzględnić państwo Platona lub mistrza prawodawstwa Arystotelesa. Zresztą już myśl Sokratesa odbiegła od pojęć uczonych zarówno jemu współczesnych, jak i dzie-

siejszych naturalistów, czy — jak kto woli — naszych pozytywistów.

„Kto wie, — powiada Słowacki — że przez Ducha i dla Ducha świat jest: wie więcej, niż wszyscy, którzy szukają tajemnic formy. Jest forma — lecz ciało niema. Wszystko jest formą Ducha“. Spokojnie przemawia mag i filozof. Niezrównany wirtuoz formy, krzykiem zwierząt napelnia puszcze globu. Prorok i wieszcz, zgłębia istotę bytu i ciska przepowiednie z pośród gwiazd słonecznych hen, skądś od stóp bożych — nieśmiertelny i powagi pełen król myśli z zachmurnych snień, co „żył i płakał“ z nami, któremu „szlachetny“ nigdy nie był obojętny. — „Lecz wy, którzyście go znali, w podaniach, przekażcie, żem dla ojczyzny — mówi autor „Testamentu“ — sterał moje lata młode“;

„A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął z okrętem poszedłem pod wodę...“

— — — — —
— — — — —

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napelnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?“

„Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi“.

Ta „siła fatalna“ dziś coraz szerszą falą zalewa Polskę — coraz głośniej powstaje przeciw tym, którzy senni i skamieniali, coraz więcej otula istot i jakby lawina jakaś niesie się dalej, dalej po sercach, po duszach — echo jej dziś dziecko powtarza, które omota się może siłą ową i w anioła przestoi.

*
* * *

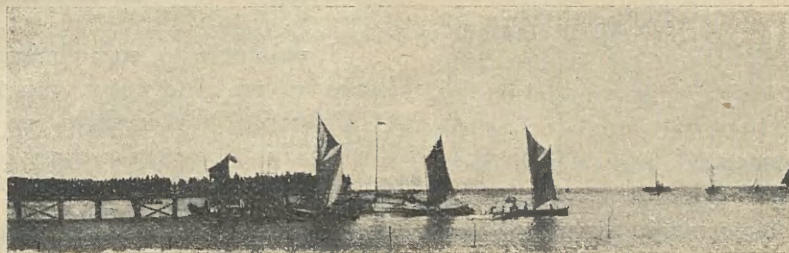
Tak „dokonał przez Słowo żywota...“

„Bo ja nie jestem niczem innym, jak tylko mojem poezjami“ — mówi o sobie Słowacki. On był poezją, i szedł ze swoją harfą olbrzyma, po przez wszystkie ziemie i plemia, szedł wieszcz król, snując prorocтва wyrosłe hen, pośród chmur i gwiazd i ciskał je w hymnach posępnych, gdzie „gluche cierpiących jęk i śmiech ludzki nieszcze-

ry" — On, wieszcz zgłębiał wszechświat cały
i wszystkie ludów śnienia, on wpatrzony w koran,
zwierciadło Kalifów. „A potem w głębiach lasu
wicher z szumem wzbity, nad głową mu odmykał
gałęziste bramy, skąd w ciemne myśli nieba spa-
dały błękity...“ jawiąc mu Boga!

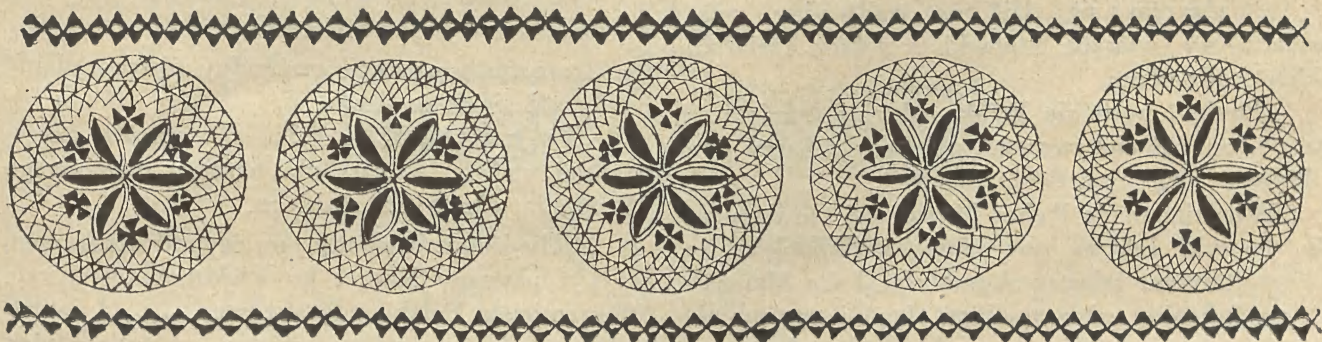
Wielbiciel potęgi — jakieś przestrzenie fa-
listych stepów — bezmiar wód morskich, gdzie
kolebią się wichry oszalałe i niebo się przegląda —
dumny, skulony w sobie duch-obrzym — władny
król życia i pustkowi. Nie zaśnie, żyjąc pośród
nas, aż „w aniołów przerobi...“

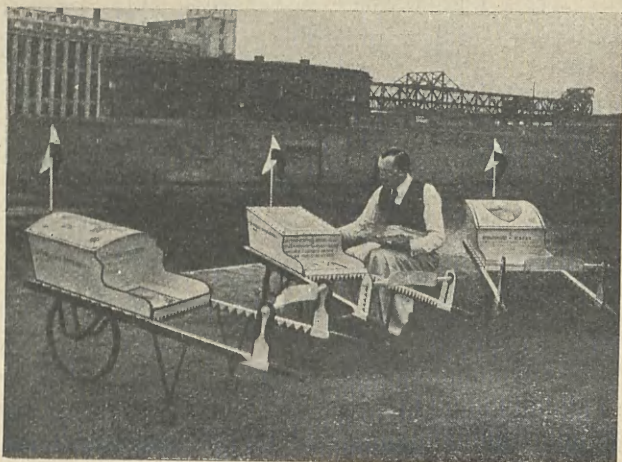
Stanisław Jankowski



GDYNIA

Fragment morski





Taczki, z którymi poznańscy wyruszają w dniu Imienin Marszałka Piłsudskiego z Poznania do Krakowa, wiążąc w nich ziemię z grobów wielkopolskich powstańców na kopiec Marszałka Piłsudskiego

Siedziałem właśnie, w historycznym już salo- nie literackim p. Marji Paruszewskiej w Poznaniu, i słuchałem z wesołym rozrzewnieniem, jak to za- cna matrona nawracała paru zatwardziałych ende- ków miejscowych, mówiąc: „O, żeby Duch Świę- ty oświecił was nareszcie, żebyście zrozumieli, że tak ciągle przeciwko władzy występować nie mo- żna. Albo jesteście katolikami, na miłość Boską, albo czemś gorszem, niż te żydy. — Polska władza od Boga pochodzi, a, zresztą, gdybyście zapalili wszystkie choćby pochodnie na ziemi i na niebie, większego od Piłsudskiego w Polsce nie znaj- dziecie“.

Tak głosiła zacna matrona w Poznaniu, gdy nagle rozległ się dzwonek i po chwili wpadł do salonu znany pieśniarz wielkopolski, autor hym- nów do ziemi, morza i nieba. Stanisław Rybka Myrius i, nie zdejmując nawet futerka, wiatrem podszytego, zawołał:

„Panie Janie, chodź pan zaraz ze mną, pokażę panu coś takiego, czego pan jeszcze nie widział“.

„Wybieram się dziś na tradycyjny wasz czwartkowy wieczór literacki w pałacu Działniń- skich“, odparłem.

„Panie, unosił się Rybka Myrius, panie, zo- bacz pan coś ciekawszego, niż tam, zobaczy pan i kulturę, i nabożeństwo zarazem“.

Wiedziałem, że Rybce Myriusowi nie dam ra- dy, bo taki żelazny powstaniec wielkopolski, że nawet atrament żelazny skombinował dla Marszał- ka na Imieniny, aby podpisu Jego i potopy nie zatarły, więc ustąpiłem, wyrzekłem się odczytu p. Woronieckiego „O sztuce narodowej i międzyna-

rodowej“ (temacik, zresztą, trącający myszką) i oto niebawem pograżyliśmy się już w przyciemnione nieco uliczki Poznania, skręcając w ulicę Nową ku ulicy Wielkiej.

Minęliśmy szybko Rynek, a kochany pan Rybka Myrius nieco zadyszany, bo to od tych kłopotów człowiek marnieje, co parę minut powta- rzał „panie, zobaczy pan coś takiego, czego świat jeszcze nie widział“.

„Cóż ja zobaczę, mów pan, nareszcie“, mruk- nąłem już gniewnie. „Zobaczy pan, dyszał pan Rybka Myrius, zobaczy pan“.

„Kulturę i nabożeństwo“ usłyszałem głos jak- by z oddali. — Skręciliśmy już w ulicę Wielkie Garbary. Zatrzymaliśmy się przed domem Nr. 34.

„Tu“, szepnął Rybka Myrius.

I, w istocie, to, co niebawem ujrzałem w miesz- kaniu u pp. Mayerów, mistrzów kominiarskich w Poznaniu, wskrzeszało w pamięci najczulsze misterja patriotyzmu z okresu wieku złotego rze- miosła polskiego.

Z pietyzmem, wśród ciszy uroczystej, zosta- łem wprowadzony do pokoju, w którym bielaly w obramieniu czerwonym trzy taczki. Na jednej, przykłęknąwszy na jedno kolano, młody pan Al- fons Mayer, malował portret Marszałka Piłsud- skiego.

Na drugiej widniał na białym tle złotawo- czarny Krzyż Niepodległości.

Na trzeciej — barwiły się herby miasta Po- znania — dwie wieżyczki ze św. Piotrem i ze św. Florjanem po bokach.

Tymczasem w skupieniu uroczystym zebrała się już cała rodzina — 64-letni ojciec, 60-letnia matka, cztery córki i trzech synów.

Na twarzach wszystkich malowały się roz- rzewnienie i radość promieniejąca.

I wówczas wystąpił czcigodny ojciec rodziny i odezwał się w te słowa:

„Te trzy taczki to jeden z wyrazów naszej wielkiej miłości i czci dla naszego ukochanego Marszałka, Józefa Piłsudskiego.“

„Gdy dowiedzieliśmy się, że pod Krakowem ma być usypany Kopiec ku wiekopomnej chwale Wskrzesiciela Polski, gdy usłyszeliśmy, że na ten kopiec ma być zwieziona ziemia ze wszystkich miejscowości w Polsce, postanowiliśmy i my, ja,



Taczki, z którymi poznańscy wyruszają w dniu imienin Marszałka Piłsudskiego z Poznania do Krakowa, wioząc w nich ziemię z grobów wielkopolskich powstańców na kopiec Marszałka Piłsudskiego

mój syn Alfons i nasz druh Piotr Macioszczyk, przyczynić się do tego wielkiego dzieła.

I oto przystąpiliśmy do zbudowania tych trzech tacek, by pieszo z Poznania do Krakowa, dla pokrzepienia serc w narodzie, zawieźć ziemię z mogił bohaterów Powstania Wielkopolskiego na kopiec Marszałka.

Z kolei wysunęła się, zarumieniona ze wzruszenia, p. Mayerowa, z trzema amarantowymi jedwabnymi woreczkami, jak od poduszek, w rękę:

„w tych trzech woreczkach — rzekła głosem uroczyście drżącym, zebraną będzie ziemia z tych sławnych mogił naszych powstańców. Ale, żeby nie rozsypała się ta ziemia święta przypadkiem, to uszyję jeszcze jedne woreczki płócienne dla niej“.

Poczem wszyscy obecni otoczyli w nastroju modlitewnym te trzy taczki, a druhowie, weterani powstań narodowych z roku 1918 — 1920, podnieśli z namaszczeniem opuszczone daszki tacek, na których białą farbą, na czerwonym tle, zajaśniały trzy wierszyki:

A jeden ułożony przez p. Felicję Bajerską, starszą córkę pp. Mayerów, brzmiał:

PLON IDEI.

„Cześć Tobie Wodzu Bohaterze!
 „Że stoisz przy duchowym Polski sterze,
 „A naród szczęśliwie wywiodeś z niewoli,
 „Gdyż Ciebie Bóg stworzył z tego co nas boli.
 „Dziś wdzięczność my, Powstańcy, na kopiec składamy
 „Z ziemi Wielkopolskiej krwią zroszonej,
 „Szczęśliwi, że Ciebie za sternika mamy,
 „Idei Pokoleń przez Ciebie natchnionej.

Zaś drugi wiersz, na ścianie drugiej taczki nakreślony był, początkiem Hymnu Polski Mocarstwowej w układzie wspomnianego już pieśniarza Wielkopolskiego, St. Rybki Myriusa na melodję: „Jeszcze Polska nie zginęła“

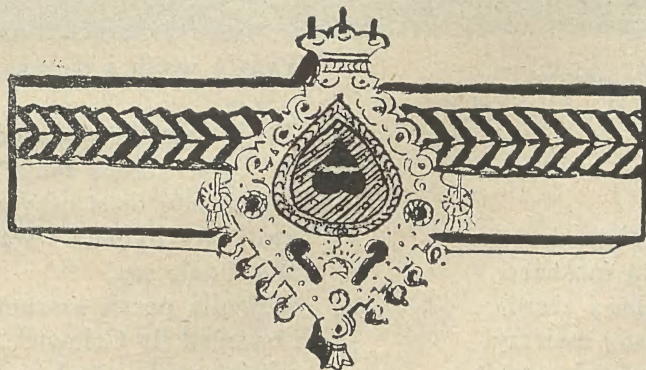
„Majestat Ojczyzny Naszej
 „Hołdem otaczamy,
 „Za nasz kraj i Ciebie Wodzu,
 „Życie swe oddamy —
 „Pierwszy Marszałku
 „Wodzu Polskiej sprawy,
 „Pokolenia idą
 „W blaskach Twej buławy.

A trzeci wiersz, poświęcony Duchowi Wodza, rozpoczynał się od słów:

„O w Nim, jest większy, większy cud,
 „Niż z szlachtą polską, polski lud,
 „On złączył w sobie cały świat,
 „Tysiące lat, miliony lat!...

Po odczytaniu nabożnym tych wierszy, młodszy syn pp. Mayerów, p. Antoni, wziął skrzypce w ręce i zagrał brawurowo „Pierwszą Brygadę“, zaś na twarzach obecnych promieniały blaski szczęścia i spełnionego obowiązku wobec Honoru Dziejów, Honoru Sławy i Honoru Pracy.

Jan Betenczyński



F R A G M E N T Y

Z POEMATU DRAMATYCZNEGO

„P R O M E T E U S Z P O L S K I”

LUKASIŃSKI.

Pozdrawiam was Boga imieniem! — — —
Jeśli kto zbrojny
rycerskiej cnoty pancerzem — błogosławię.
Jeśli krzywdą Ojczyzny obarczył życie swoje
przeklnę go i wołam.

• • • • •
Wyście już wolni, macie broń.
Orle skrzydła rozpięte nad wami!
Bóg z was uczynił zboża łąn,
strojny bagnetów kłosami!
Bądźcie niezłomną siłą!
Nie wbite graniczne słupy,
Trzeba dalej iść przebojem —
niejedną skrwawić się mogiłą.

—
To wasze przeznaczenie!

—
Pieśń radosną śpiewajcie narodowi,
gdy jeno zobaczycie,
że jest się czem radować;
że budzą się wartości nowe,
że ktoś z ohydy szarych pęt
wyrwał się i ujął młot, by tworzyć
hartowne pracy swej narzędzie!

—
Przekleństwa niemocy wstręt
jeśli kto zdusił i dźgnął śmiertelnym ciosem,
jeśli na zew hejnału drgnął,
sam jeden własnym władny losem —
jeśli we wstydzie swym ożył
a grzechy powalił
jednym rozmachem ścięte,
jeśli je nazwał przeklęte
a sam się krwią ofiarną spłonił,
niech się wtedy nad Polską rozświeci
krwawej łuny znak na niebie i ziemi,
znak, że naród w siłę własną uwierzył
i sam sobie zrodził zmartwychwstanie.

NIEZNANA:

A jeśli zazdrość przeszkodzi?
Jeśli pycha skrę ofiarną zadławi
i stratuje — a pieśń świętą splugawi?

LUKASIŃSKI:

Tak zawsze było i będzie!
Są tacy, którzy myśleć nie przestaną,
że Polska się zawali,
gdy ich zabraknie — zasłużonych...
Znam ich — znam tych niezastąpionych,
ci siebie tylko tak nazwali. Ale nadejdzie kres.
Poczują się kiedyś wszyscy wobec Ojczyzny mali,
w pracy jeno i w dobrem wielcy i radośni.

— — — — —
— — — — —

Scena I.

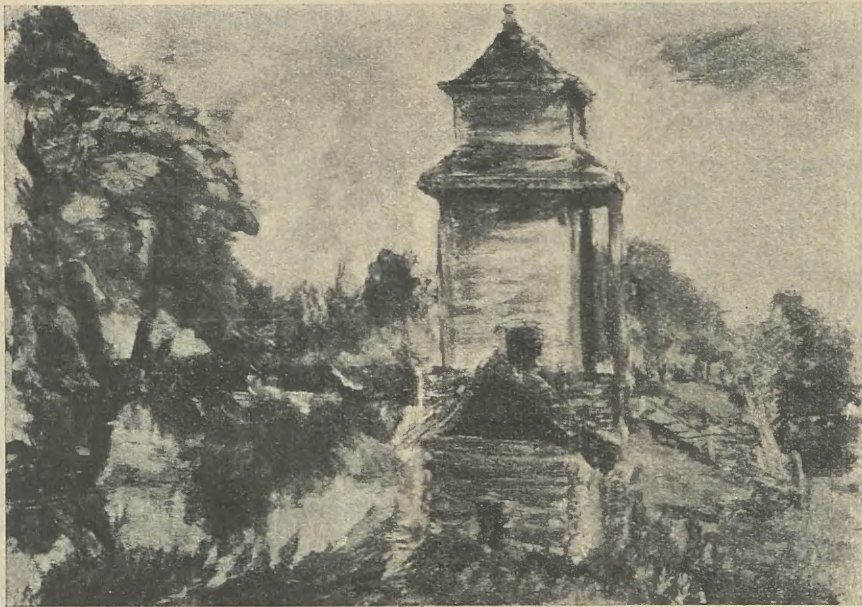
To ja! — żebraczka!
W odwiecznej włóczędze!
Patrzają we mnie wasze oczy zdziwione...
Pocum tu przyszła?...
To moje i wasze przeznaczenie...
Ale jeśli już jestem, pozwólcie — zostanę,
gram tylko bardzo małą rolę
na wielkiej narodowej scenie...
Niewiele minęło lat — jak w tym teatrze
spalał się ofiarnie wielki duch,
wieńczony nie laurem,
ale wężowym opłotem
obląkanej rozpaczy
w trosce okrutnej o wasz los i wasze wyzwolenie.
Padaly myśli i słowa, rozbite o moc żelaznych
bram...

To ja zawarłam żelazne wrota!
To była ostatnia moja rola w tym dramacie,
ostatni mój toast udręczeń,
który wychyliłam z wami w wasze ręce,
Wykonało się.
Skrzydła poezji zaszumiały nad kolebką czynu
i narodził się Człowiek, w którym płonęło światło
odwiecznych wyroków.

Rozwalil żelazne wrota, obalil kłamliwe
drogowskazy polskich Erinij i wyprowadził
udręczonego Konrada, aby rzucić jego serce
w rozpalone ognisko wojennej pożogi...
i przetopily się wartości tego serca
w niezłomną siłę woli i wiary. —
Słowa poezji stały się żywym człowiekiem...
Poznajcie...
Twarz jego w litej skale ciosana
ręką przemocy dobrego nad złem!

Patrzy w głąb serca!
Człowiek prawda, który już nie jest snem,
ale potęgą żywą,
rycerską i nieustępliwą,
w boju o wartość człowieka,
kłamstwu i zdradzie bluźnierca...
Wieńczony cierniem i wawrzynem.
W jego imieniu mówię wam:
poezja nie jest tyranem,
poezja ma być czynem...

Jelski



Z. KONONOWICZ

Stare wędzarnie w Żulowie

Gdy się Jasiek dostał do niewoli pierwszym uczuciem była pewna ulga. Odganiał brzydkie myśli, ale te myśli jako rój natrętnych szerszeni wraçały. Mówił szerszeń: wypełniłeś swój obowiązek i kwita. Gniłeś w rowach, marzłeś na mrozie, biłeś się o głódzie, dostałeś dwa odznaczenia za męstwo, a więc dość. Niechże teraz inni się biją. Tobie Jaśku należy się odpoczynek po straszliwym śmiertelnym trudzie. Okropny przecie ten odpoczynek, który się zowie niewolą, ale zawsze lepiej w niewoli niż w rowie. Masz co jeść, śpisz pod dachem. Nadewszystko ustał już huk armat, ustał grzechot maszynowych karabinów, ustał jęk płynącego niebem szrapnela, wycie lecącego granatu. — Mniejsza z tem, że tobie Jaśku już śmierć nie grozi. Ale straciłeś z oczu gorszy od śmierci widok konających ludzi, rannych wyjących z bólu, sinych ust i otwartych trupich oczów, tych, którzy obok ciebie pomarli. Tu w niewoli niemasz już śmierci, niemasz skonu, jęku, niemasz sinych ust.

Tu w niewoli samo życie, sami cieszący się życiem ludzie. Spoczniź sobie więc Jaśku...

Ale szerszeń rady wnet odleciał. Jakto? Ja tu śpię, a tamci się biją? Ja tu syty, a tamci głodem przymierają? Ja tu bezpieczny, a moi serdeczni mrą? Przecież ja dom opuścił i z domu poszedł po zwycięstwo, a nie po pół zwycięstwa, żeby podjąć trud nad trudy — biłem się po to, aby wrócić do swoich i przynieść im pierwszą wieść: jesteście wolni! Ja nie chcę nawet połowicznie być tchórzem i karjerowiczem, który wykręcił się od boju frazesem, że on „duchem“ Ojczyźnie służyć będzie, ja nie chcę być piętnowanym półrycerzem żywym. Należy uciec z niewoli, iść bić się dalej, zwyciężyć lub zginąć.

I znowu wraca szerszeń: Przecie to szaleństwo. Trzeba być pozbawionym rozumu, żeby podjąć myśl o ucieczce, która się wykonać i przeprowadzić nie da. Niedorzecznością jest marzyć o przebicciu tego muru ludzkiego, jakim jest olbrzymia linja armji nieprzyjacielskiej, przecie ścigać będą, zastrzelą lub schwytają na kraniec Sybiru poślą. A więc co? Życie za Ojczyznę dać, to szczyt ludzkiego powołania, życie marnie stracić to lekkomyślność i grzech. A więc poddać się lo-

sowi, poddać się woli Bożej, poddać się konieczności i jeść gorzki chleb niewoli. I to było ostatniem Jaśka postanowieniem. Żyło to postanowienie długo, kilka dni. On sam był pewnym, że to postanowienie jest nieodwołalnem i wiecznem. Zrezygnował z wszelkiej myśli o ucieczce. Aż przyszła noc... Była to noc przed wilją. Położył się Jasiek spać. A we śnie widział dom. Widział cały wigilijny dzień, ojca, matkę, siostry. Rankiem wczesnym wychodzi Jasiek z ojcem do stawu. Wyraćbali lód. Rozciągnięto niewód. Dolny rąbek sieci obciążony kulami z ołowiu wlecze się po dnie stawu, szczyt sieci, korki na powierzchni wody niosą. A Jasiek z ojcem i siostrami końce niewodu ciągną. Ciągną i ciągną, zbudziły się ze snu ryby, ciasno im, coraz ciasniej, kotluje się coś we wodzie, zawrzało coś na powierzchni, zasrebrzyła się i zakipiała woda, plusk, ogromny szczupak zwąchał pismo nosem przeskoczył sieć i uratował się od śmierci. Ale nie wszystkie ryby zabrano resztę zostawiono we wodzie. Teraz przed południem w domu inna robota. Jasiek dla swych siostrzyczek szopkę kleić musi. Krosna już zbite, kolorowymi papierami się je wykleja. Z boku koncept nadzwyczajny. Po prawej stronie krakowska wieża Marjacka, po lewej ratuszowa. No — nie są tak zbyt ściśle architektonicznie podobne. Konstrukcja ich jest nieco odmienna i bardzo uproszczona, braki jednak w ścisłości zastępuje ogromna sutość złotych i czerwonych papierów, którymi mury i szczyty wieży wylepiono. Koło Jaśka



Świetlica żołnierska Im. Marszałka Piłsudskiego w 66 pp. w Grudziądzu podczas wykładów

*) dedykowany Marszałkowi, Józefowi Piłsudskiemu, przez znakomitego historyka sztuki i artystę-malarza, Ludwika Stasiaka w roku 1916.



Świetlica żołnierska Im. Marszałka Piłsudskiego w 66 p.p. w Grudziądzu.
Sala rozrywkowa

rój dzieci. Chłopcy i dziewczęta robią na gwałt lalki. Wykonano już króla Heroda, śmierć, djabła, teraz się sukienki dla aniołów szyje. Szycie przerwał dramat. Kazia i Mania rozmyślając nad tem, z czego zrobić aniołom fryzury, uchwałyły obciąć małej Stasi śliczne jasne włosy. Dokonano dzieła nożyczkami, ścięto złote loki, wpadła mamasia z różgą i wśród małych fryzjerów straszny sąd sprawiła. — Ale ogólny płacz wnet się skończył. Popołudniu zaczęli zjeżdżać goście. Czwórką przyjechała ciocia z sąsiedztwa, przed wieczorem przyszedł pociąg, z pociągu przyjechali dziadzio i babcia, którzy przywieźli mnóstwo pudeł. Czego tam w tych pudłach nie było? Śliczne książki z obrazkami, atlas z dzikimi zwierzętami, ogromna historia Polski, koń dla Tadzia, lalki dla dziewcząt, a dla ostrzyżonej Stasi największą lalkę.

Jasiek kończy „świat“. Koła opłatków pocięte, barwne wycinanki do równika się przylepiają, kula kolorowa powstaje, która zawisnie na złotym sznurku nad wigilijnym stołem. Ostatni to już czas. Słońce zachodzi i na wschód patrzy, na zejście pierwszej gwiazdy czeka. Zabłysła jutrznia na wschodzie, na ten znak wszystkie świece zapłonęły, cała rodzina około stołu się zebrała. Wstał najstarszy wiekiem dziadzio, wziął do rąk paczkę opłatków, przeżegnał je, oczy podniósł do nieba.

— Żeby nam Bóg dał doczekać przyszłej wilji.

Dziwna rzecz się dzieje. Dziadek ominął wszystkich. Ominął kobiety, pominął matkę, ojca, ten dziadek ze łzawymi oczami prosto do Jaśka idzie, idzie z opłatkiem wyciąga rękę i głosem, w którym płacz lkał, mówi:

— Wracaj Jaśku.

Żołnierz zerwał się na równe nogi. Spał czy nie spał? Przecie to kaźnia.

— Ani chwili...

Ubrał się szybko Jasiek, wdział płaszcz, do drzwi się zbliżył. On w tej chwili już nic nie myślał, nic nie rozważa, nic nie rozumuje. Wie tyle, że musi iść. Musi choćby za cenę życia. Do dziadka, do matki, do dzieci. Jenicy idąc etapem spali w dworskim śpichlerzu. Zbliżył się Janek do drzwi, uchylił je ostrożnie — przed drzwiami spaceruje солдат z karabinem. Chodził tam i z powrotem. Przez parę odchylnych drzwi patrzy jeniec na dworski ogród. O kilka kroków dworska stara altana. Gdyby się tylko do niej dostać, gdyby się za nią skryć! Posterunek chodzi i chodzi, a serce Jaśka głośno bije. To dziwne. Gdy kule jak komary koło ucha brzęczały, gdy karabiny maszynowe terkotały i rzegotały, tak serce nie biło, jak w tej ogromnej chwili. Sledzi jeniec kroki soldata, gdy ten raz drzwi minął i plecami zwrócony szedł dalej; Jasiek, jak kot cicho wysunął się. Nie usłyszy chodu kota, — ale солдат usłyszy bicie serca Jaśka...

— Altana.

Skrył się Jasiek, dał szyldwachowi przejść tam i z powrotem, odpoczął. Znowu się rozgląda. Kilka kroków dalej aleja leszczynowa, cicho, pusto w ogrodzie; znowu czai się jeniec, znowu na odwrócenie się soldata czeka, zwrócił się — Jasiek skoczył do leszczyny. Liści na chabinach nie masz, nic go nie kryje. Śpichlerz widać, jak na dłoni, tak przecie jak on widzi szyldwacha, szyldwach może widzieć jego. Czółga się Jasiek, ale wtedy się tylko czółga, gdy солдат zwrócony, gdy солдат patrzy, Jasiek twarzą i ciałem przyszywa się do ziemi. Przepelz się przez aleję, teraz płot, który przeskożyć trzeba, teraz świeńie kula koło soldata — nie świsnęła. Janek jest teraz w czystym polu.

Jak okiem sięgnąć nikogo niema. Idzie jeniec drogą, nie zna jej, ale światła wskazują mu cel podróży. Nie betlejemskie ci to gwiazdy, nie Chrystusowe ich pochodzenie. Moskale na okopy nieprzyjacielskie ogromne snopy światła elektrycznego rzucają, wrogów szukają, pozycje armat wypatrują, nocne ruchy wojsk śledzą. Te światła są dla Jaśka celem, który minąć trzeba, aby dojść do swoich. Przyspiesza Jasiek kroku.

— Patrol.

Na białym śniegu trójka koni, trzy czapki baranie, trzy piki. Wie Jasiek, że go nie spostrzeżono, bo on teraz szedł brzegiem czarnych ożyn, które las podszyły. Schował się w ożyny... Patrol przeszła. Znowu Jasiek idzie. Doszedł do pierwszych okopów, do miejsca, gdzie są pierwsze śla-

dy bitwy. Tu nie mogła sięgnąć ręczna broń, tu szrapnele i granaty zdobyły swoje ofiary. Niedawno się to stało już co kilkadziesiąt kroków znajdzie się trup ludzki, zabity koń, lub roztrzaskany, połamany wóz. Spieszy się Jasiek, zatrzymał go hałas z przodu, skoczył w parów potoku, głowę tylko ostrożnie wysuwa, patrzy — oddział czerkiesów zdala nadciąga.

Skrył się jeniec pod most. Gdy jeźdźcy przez most przejeżdżali, ciężkie uderzenia kopyt końskich po sercu jego stukwały, ostatnie kopyto dało akcent, tentent cichnie i cichnie. Jasiek znowu w dal patrzy, wyskoczył z parowu i rażno dalej idzie. Ale widzi, że w płaszczu legionowym, w czapce z orłem nie zajdzie daleko. Poznają go i zajmą. Jak błyskawica zrodziła się myśl zbawcza. W rowie strzeleckim kilku zabitych moskali leżało; obejrzał ich dokładnie, wybrał najlepszy płaszcz, z zabitego go ściągnął, wdział na siebie, najlepszą czapkę głowę nakrył i idzie śmiało. Nie chował się już wcale. Jakaś dziwna pewność siebie w serce wstąpiła, jakiś szalony tupet, jakaś jutrzniara wiara, że Bóg mu pomoże i do swoich zaprowadzi. Mija senne patrole, mija nawet oficerów, salutowaniem ich pozdrawia i mija. Coraz częściej za linią bojową ogniska się palą, żołnierze czuwają; minął ogniska, do okopów idzie. Tu najcięższa sprawa. Tu gęsta linja ludzi, tu strażę czuwają i wróg i przyjaciel się zjawia. Wrogiem jest wschodzący dzień, przyjacielem urwisty teren. Linja okopów ciągnie się urwiskami nad Dunajcem, las, orna ziemia, parja, potem krzaki, potem

brzeż potoku, potem olsza, potem znowu urwiska i las. Idzie Jasiek, z obawy i trwogi od zmysłów odchodzi, przesunął się między dwoma sennymi rowami, już ma wpaść w gąszcz z tarnin. Chwycił ktoś ręką olbrzyma, Jaśka za ramię...

— Ktoś ty?

— Żołnierz.

Rosyjski żołdat rozerwał przemocą zapięty płaszcz Jaśka.

— Tyś szpieg?

Już miał Jasiek rzucić się, wyrwać karabin, żołdata przebić. Ale ten żołdat sam osłupiał. Patrzy na strój pod płaszczem...

— Tyś polski legionista.

— Tak.

— A jam polak.

— Braciell

— Dokąd ty idziesz?—wołał żołdat nerwowo.

— Uciekam z rosyjskiej niewoli. Do swoich.

— Do legionów?!

— Idę bić się za Polskę!

W żołdacie całe jestestwo się wali.

— Weź mnie ze sobą!

— Do legionów?!

— Do legionów!!

Dwóch żołdatów pobiegło w las. Jeszcze była jedna straszna chwila. Przy okopach polskich powitała ich... kula. Posterunek do nich strzelał. Ale kula chybiła, a biała chustka zrobiła swoje.

.....

Gdy Janek przed południem stanął przed pułkownikami, gdy przedstawił towarzysza, gdy przełożony wysłuchał ich dziejów, kazał naprzód dać im jeść, a potem dowiedziawszy się, że do domu Janka jest pięć mil drogi, kazał zaprzężyć do wózka dwa najlepsze konie.

— Zasłużyłeś na wigilję wśród swoich.

I było wszystko jak we śnie. Był dziadzio, babka, ojciec, matka, Kazio i Mania. Tylko obcięte włosy Stasi były snem, bo jej śliczne loki musiały przed chwilą rozwinęła i wstążkami ustroiła. I jeszcze jedna była zmiana. Nie do Janka zbliżył się dziadek. Poszedł z opłatkiem do żołdata i rzekł:

— Niechże nas rozłączonych dotąd, nareszcie Bóg połączy!

Ludwik Stasiak.



GRUDZIĄDZ

Świetlica żołnierska Im. Marszałka Piłsudskiego
w 66 p.p.

NAJGŁĘBSZA MĄDROŚĆ POLITYCZNA

Mickiewicz wypowiedział w „Księgach Pielgrzymstwa” sławne zdanie, że o ile się ulepsza duszę i uzacnia prawa, o tyle się rozszerza ojczyznę. Wieszczy nasz wypowiedział tę wielką prawdę, opierając się na doświadczeniu dziejów swego narodu, który nie mieczem, nie siłą zbrojną, lecz właśnie prawem, zacnością, uprawą wolności, rozszerzał granice swe, skłaniając do przyłączenia się do Polski ziemie pruskie, Litwę i Kurlandję.

Mickiewicz wyjął wypowiedziane przez siebie prawidło głęboko z duszy polskiej. W duszy tej z przyrodzenia tkwi skłonność do sprawiedliwości, wstręt do gwałtu. Ktoby chciał prowadzić polską politykę, opartą np. wobec innych ludów na gwałcie, ten prowadziłby politykę w całym tego słowa znaczeniu antynarodową. Nie zacieranie różnic między ludźmi, nie sprowadzanie ich do wspólnego mianownika jest dla Polaka czemś przeciwnarodowym, lecz posługiwanie się brutalną przemocą, sławienie pięści. Żeby to zrozumieć, nie trzeba być aż Mickiewiczem. Wystarczy na to być w Polsce prostaczkiem.

Znany dziennikarz i literat polski, p. Irzykowski, ogłosił w swoim czasie feljeton, zatytułowany: „Niecico o duchu żołnierza polskiego”, opisując w nim wycieczkę swoją na front wojenny w r. 1920. Aby dowiedzieć się czegoś nietylko o duchu, to znaczy męstwie, ale o duszy naszych żołnierzy, opowiada p. Irzykowski, urządziłem w Białymstoku wywiad z kapłanem ks. Bombasem. Nazwisko wskazuje, że ten ksiądz był z pochodzenia chłopem, więc, o ile chodzi o rasę swą, postacią reprezentatywną. Ks. Bombas tedy mówił: „W kazaniach moich opowiadam przedewszystkiem o stanowisku żołnierza. Mówię mu: o tyle tylko rozszerzasz granice Polski, o ile pozyskujesz serca ludności. Nie Lloyd George rozstrzyga o nich, ale to, jak ty się zachowujesz w chacie włościanina kresowego, gdzie stoisz kwaterą i jakie tam zostawisz wspomnienie”.

Skromny kapłan obozowy, czerpiąc z duszy swego narodu, wypowiedział najgłębszą mądrość polityczną. (Red.).





OSTATNI RAPORT

Temu, na którego całej Polski oczy
są zwrócone, Twórcy legjonów naszych
Brygadierowi Józefowi Piłsudskiemu

Z. KONONOWICZ

Kaplica w Żuławie

W noc jasną, cichą, noc grudniową,
A było to pod Limanową,
Gdy pierwszy zapiał kur,

Zadrzały pola, krwią zbroczone,
Mogiły drgnęły rozrzucone, —
Zaczął się duchów zbiór.

I cicho, karnie idą cienie...
W ich szklistych oczach bólu tchnienie
I krwawej męki ślad.

Cień jasny wyszedł na ich czoło,
Rozejrział się raz, drugi wkoło,
Z ust cichy rozkaz padł:

„Formuj się! Bacność, towarzysze!
Niech dziś z ust waszych to usłyszę,
Co działał hufiec wasz.

A więc kolejno od początku
Treściwie jasno i w porządku
Coś przeżył — mówić masz.

Gdyż z najwyższego ja rokazu
Nie pojedynczo, lecz odrazu,
Ten raport składać mam.

A więc przystępuj: stary, młody,
Czyś wart nagany, czy nagrody,
Dziś to ocenię sam.

Bacność! z szeregu nie wyłazcie
Ty pierwszy chłopcze — lat? „— „Piętnaście!“
„Cóżes ty działał — co?“

„Kiedy wyszedłem raz z patrolem,
Widzę jak szybko pędzą polem,
Kozacy w koni sto!

Widzim kolumnę, jedną, drugą...
Lecz nie czekaliśmy zbyt długo,
Gdyż nagle zagrział strzał.

Salw kilka daliśmy śmiertelnych,
Ze sto wystrzałów, ale celnych,
Ich jakby wichur zwał.

Już niedobitki roztrwożone,
Zmykają w tę i tamtą stronę,
W śmiertelnej trwodze mkną.

A ja za nimi, aż ku miastu,
Ubilem wtedy — coś dwunastu,
Za to mi dano „to“.

I wskazał znak na pierś swą prawą,
Na której mienił się jaskrawo
Zasługi wielki krzyż...

— A więc nagrodę masz, młodzieńcze,
Wspanialszą ja cię nie uwieńczę.
Zali o większej śnisz?

Ramiona krzyża tego cztery,
Jak najwspanialsze lśnią ordery.
Chcesz, czego jeszcze? Mów!

— Gdy żądasz tego, niech się stanie
Podług rozkazu, — Kapitanie!
Posłuchaj moich słów.

Ramiona krzyża szczerozłote
Zamknęły w sobie mą tęsknotę,
I mej młodości sny.

Rubiny — to krwi krople święte,
Brylanty — wokół — to zakłętę
Serdeczne matki łzy.

Weź tę odznakę z piersi mojej
Za krwawe trudy, ból i znoje
I łaskę jedną zrób:

Gdy przy najwyższym staniesz tronie,
Gdy raport złożysz o mym zgonie,
Złóż ją u tronu stóp. —

Skończył, w wojskowej stał postawie
Cień bohatera — dziecka prawie,
Bolesny, blady cień.

Milczenie trwało, uroczyste,
Szeregi stały ciche, mgliste,
Wśród mroźnych nocy tchnień.

— Następny! Baczość! Patrzaj w prawo. —
I znów nad zmarzłą szedł murawą
Cień — żołnierz jakby mgła...

Dowódcy twarz ta nie jest obca,
Widzi młodszego, niż ten, chłopca,
Młodszego o lat dwa!

— Co powiesz dziecko? — Jestem winny —
Wyszeptał cicho głos niewinny,
Strasznie mi wstyd i żal.

Gdy inni mężnie szli i hardo!
Trupami ścieląc ziemię twardą
Jako złamana stal —

Ja, gdyśmy poszli na bagnety,
Straciłem duszy hart, niestety...
I resztę moich sił...

I zawołałem „Mamo!... Mamo!“... —
Gdy ostrą spiseę... mnie... w pierś samą
Pół dziki żołdak wbił!

Mam prośbę jedną... kapitanie...
Gdy do raportu... cień... Twój stanie,
Świadectwo, jak chcesz złóż...

Tylko nie powiedz u stóp Boga...
Że ja...w obliczu mego wroga
Stawałem... tak, jak... tchórz...

Księżycy promień z poza lasku
Wyjrzał — A w jego srebrnym blasku
Widziałem srebrne lzy.

Twarz niema dziecka lżą zalana,
Lecz większa w oczach Kapitana,
Goretsza lza się skrzy.

Skinął na dziecko: — Nie płacz synku!
Pół obrót w lewo! Do ordynku!
No — przestań wreszcie łkać.

Niech wielu takich mamy tchórzy,
Niech wielu Polsce, jak Ty, służy,
Wnet z grobu musi wstać. —

Pół obrót w lewo! Ani słówka!
Gdzie twoja siwa Bartoszkówka?
Z fantazją czapkę włóż.

I do szeregu w górę głowa!
O jakiejś winie, ani słowa...
No, ruszaj chłopcze, już!

Następny! Wnet po świeżym szronie
Inna przesmutna postać wionie
Pod czapką siwy włos...

Mgłą lekką płynie przed dowódcę,
Kłania się, staje, słychać wkrótce
Złamany, cichy głos:

— Skończyłem lat pięćdziesiąt cztery,
Dziad mój w wąwozach Sammo-Sierry
Potykał się, jak lew!

I dał swe życie na obczyźnie,
Gdy trzeba było dać Ojczyźnie
Serdeczną przelał krew!

Kiedy zmagają się narody,
Idąc o lepsze dziś w zawody,
Bezcynny nie chce spać!

Więc ruszyliśmy dzisiaj w pole,
Aby o lepszą walczyć dolę,
Jak walczy moja brać!

Przetrwalem mimo lata moje,
W obronie liczne, krwawe boje
Bez jadła i bez snu

Gdy szarpać nas poczęły działa
Z kompanji garstka nas została,
Jam z resztą poległ tu!

Za tom odznakę dostał nową
Przez pierś tą Legję Honorową
Tę szarfę co tak lśni!

Patrz na odznakę krwawej wstęgi.
— Widzę, że byłeś żołnierz tęgi,
Co nie żaluje krwi.

— Ta wstęga w sercu się zaczyna,
Przeznaczam ją dla mego syna,
Ostatnią wolą mą!

Lecz gdy raportu czas nastanie
Zabierz tę wstęgę Kapitanie,
Znaczoną skrzepłą krwią

Powiedz, że stary legionista
Gdy sprawa tego chce ojczysta
Ginie pod gradem kull...

I powiedz też, że wdowę chorą
I małych dzieci w domu czworo
Sieroctwa dręczy ból.

Skończył. W wojskowej stał postawie
Cień bohatera — Starca prawie
Bolesny blady cień.

Milczenie trwało, uroczyste,
Szeregi stały ciche, mgliste
Wśród mroźnych nocy tchnień!

A księżyc biały z poza lasku
Świecił. W łagodnym jego blasku
Widziałem srebrne lzy.

Twarz legionisty łzą zalana,
Lecz większa w oczach Kapitana,
Gorętsza łza się skrzy.

— Następny — Wnet po zmarzłej roli
Cichutko płynął i powoli
Przejasny, srebrny cień.

Płynął poprzednich cieni śladem,
Na głowie cenny miał diadem,
A jasność biła zeń.

— Kto waść? — Jam rolnik z ponad Proсны,
Czekałem długo na radosny
Śmiertelny walki zew.

A gdy zawrzało w Polsce całej,
Gdy się rozlegać jęły strzały,
Poszedłem oddać krew.

Że krew tę oddać było trzeba,
To nam szeptała polska gleba
I polskie łany zbóż.

I wicher szeptał nam jesienny
I Naczelnika duch promienny,
Ten ludu Anioł-Stróż.

— Mów raźniej — krótko! A więc krótko,
Za pierwszą tedy ja pobudką —
Postanowiłem iść!

Przebiegłem Polskę na wsze strony,
Wśród wojny trudów, jak strącony,
Jesiennym wichrem liść!

Aż wreszcie tu, pod Limanową,
Ostatnie śmierć wyrzekła słowo,
Z innymi padłem wraz.

Lecz zanim padłem, byłem ranny,
Pamiętam — do Maryji Panny
Modłę się jakiś czas.

Wtem patrzę, mój towarzysz pada,
Młodziutki sierżant mój. Twarz blada,
Już oczy zaszczyły mgłą.

I szepce do mnie: — Druhu, bracie!
Tylko mnie ku tej zanieś chacie,
Gdzie ojciec i brat są...

Choć mocno byłem ranny w nogę
Proście odmówić tej nie mogę,
Sierżanta biorę wpół —

I niosę wprost do owej chaty,
Dokoła groźnie grzmią armaty;
Obawym ani czuć...

Wtem, kiedy byłem już przed chatą,
Mą siwą czapkę, tę rogatą,
Piorunny pocisk zdał.

A drugi pocisk trafił w głowę
I... czaszki zabrał mi połowę
I krwawy w mózg się wżarł.

Widziałem krwawą błyskawicę,
W tej chwili zgasły mi źrenice
I świat z mych oczu zszedł.

Zamiast zerwanej czaszki z głowy,
Sierżant — diadem brylantowy
Ze swoich dał mi łez.

Mam prośbę jedną, Kapitanie,
Gdy do raportu cień Twój stanie
Złóż raport jaki chcesz.

Ale u stóp Najświętszej Panny
Mówiąc żem padł, że byłem ranny,
Złóż ten diadem też.

Wtem księżyc srebrny z poza lasku
Zgasł. Lecz przedtem w jego blasku
Spostrzegłem srebrne lzy.

Twarz bohatera łzą zalana
Lecz większa w oczach Kapitana,
Gorętsza łza się skrzy.

Skonał, wyszeptał ciche słowa,
— Formuj się! Bacność! W górę głowa!
Już blady miesiąc zgasł...

Wnet drugie wam zapieją kury
I słonko wyjrzy z poza góry,
Na miejsca wracać czas.

I wnet zaczęły defiladę
Przed Kapitanem cienie blade
Leciuchne jakby z mgły...

I już bez dalszej słów komendy
Stały cicho we dwa rzędy
I ciche... szły.. i szły...

I nagle wichru lekkie tchnienie
Rozwiało smutne, krwawe cienie,
Śpią nieprzespanym snem.

Tylko przesmutna i złamana
Srebrzysta postać Kapitana
Na miejscu stoi swem.

Dokoła pola obszar pusty...
Cień stał, drżącemi szepcąc usta:
„Śpij, ma drużyno, śpij“.

O waszym męstwie wichry śpiewa,
O skarbie uczuć szepcą drzewa,
Śnij sny rycerskie, śnij. —

Do Najwyższego spieszę tronu
Świadcstwo dać Waszego zgonu
Tu, wśród Ojczystych pól.

I szlak ukazać purpurowy,
Na którym kładliście swe głowy
I matek lzy i ból.

Wy czynem wielcy, duchem prości,
Spokojnie śnijcie o wolności,
Ona się zbliża już.

Przez serca żar co w piersiach płonie,
Przez umęczone krwawe skronie,
Przez czystość waszych dusz.

Śpij towarzyszu broni dzielny,
Rycerzu czysty nieśmiertelny,
Swej wielkiej chwały syt...

Niech każdy, lekko czas ten prześni,
Aż go triumfu zbudzą pieśni —
Wolności zejdzie świt.*)

Józef Mączka.

*) W bitwie pod Limanową Legjony poniosły poważne straty, poległ tam kapitan Julian Milko, który w utworze odbiera raport od zmarłych żołnierzy.

Utwór niniejszy, podajemy z manuskryptu autora, jaki się przechował wśród kolegów legionowych, ze zbiorów i szpargałów ob. Wacława Maliszewskiego. (Red.).



Cmentarz w Żulowie. Na pierwszym planie grób księdza, który chrzcił Marszałka Piłsudskiego

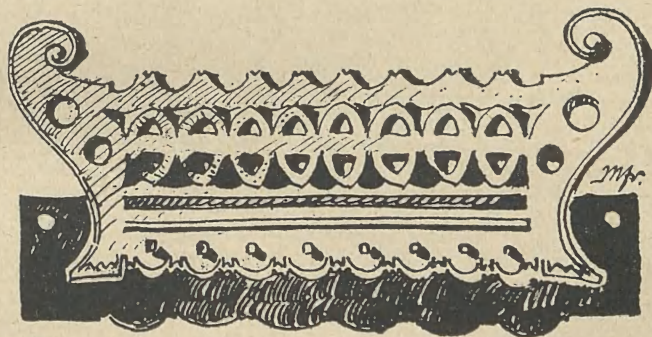


SPIS AUTORÓW I ICH RZECZY

	Str.
1. J. E. Ks. Biskup JÓZEF GAWLINA: Cytaty z Pisma Św.	7
2. Redakcja „Księgi Zbiorowej ku czci Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego, w dniu Jego Imienin”: Józef Piłsudski	9
3. Generał Dyw. EDWARD RYDZ-ŚMIGŁY: O wielkim Człowieku	13
4. Minister Spraw Wewnętrznych, MARJAN ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKI: Najdumniejsza legitymacja	14
5. B. Premier, Prof. Dr. JULJAN NOWAK: Z moich wspomnień	15
6. JAN BĘCIKOWSKI: Piękno Pracy	16
7. WACŁAW GAŚSIOROWSKI: Wodzowie	17
8. EDMUND BIEDER: Strofy o Wodzu Narodu	18
9. Generał Bryg. GUSTAW ORLICZ-DRESZER: Wszyscy polacy	20
10. II Wiceminister Spraw Wojskowych, Generał Bryg. Dr. FELICJAN SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI: Przed zamknięciem w Benjaminowie	21
11. STANISŁAW JASIŃSKI: Do Towarzyszy Broni! (Na pozycji 19.III.1916 r.)	27
12. Ks. KOSMA LENCZOWSKI ze Zgrom. OO. Kapucynów, b. kapelan 5 p. p. L. P.: Komendantowi w holdzie	28
13. Prof. Dr. WINCENTY LUTOSŁAWSKI: Wygnaniec Królem	29
14. STANISŁAW JASIŃSKI: Józefowi Piłsudskiemu (Na pozycji 19.III.1916)	32
15. M. J. WIEŁOPOLSKA: Słońce na płytach grobowych	33
16. Prof. Dr. ADAM KRZYŻANOWSKI Zwycięstwo moralne	36
17. Wojewoda Poleski, Pułkownik WACŁAW KOSTEK-BIERNACKI: Motyka, Słońce, Semaforey	37

18.	Wojewoda Pomorski, STEFAN KIRTIKLIS: Kiedy Legionistów okupant niemiecki wysyłał za druty...	39
19.	LUDWIK SOLSKI, artysta dramatyczny: Pokłon	39
20.	KAROL IRZYKOWSKI: Literaci i t. d.	39
21.	STANISŁAW JASIŃSKI: Resurrexit	40
22.	Dr. ALEKSANDER WOJTECKI: Z pamiętnika legionisty	43
23.	J. E. Ks. Biskup ADOLF SZELAŻEK: Byłem świadkiem...	47
24.	WANDA SIEMASZKOWA, artystka dramatyczna: Spotkanie	48
25.	JAN KUNERT: Jak trafiły Legjony do duszy dziecka	49
26.	WŁODZIMIERZ DYBCZYŃSKI: Wizja przeszłości	52
27.	Wojewoda Wileński, WŁADYSŁAW JASZCZOŁT: Od lat dziecińczych wsłuchiwał się Marszałek...	52
28.	B. Minister, Prof. Dr. KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECKI: Myślę często...	52
29.	ADAM POMIAN-KRUSZYŃSKI: Najpiękniejsza Wigilia Legionisty Potyrały...	53
30.	Major Dr. MARJAN ALBIŃSKI: Od grobu bezimiennego żołnierza pokłon najniższy	56
31.	JADWIGA MORACZEWSKA: Ze wspomnień reemigrantki	58
32.	Prezydent m. Poznania, Pułkownik WIĘCKOWSKI: Każdy naród...	58
33.	JÓZEF GERMAK: Litanja życzeń z Krakowa	59
34.	Wojewoda Łódzki ALEKSANDER HAUKE-NOWAK: 6 sierpnia 1914	61
35.	Prof. Dr. WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ: Dwa momenty	64
36.	Prezydent st. m. Warszawy, Minister STEFAN STARZYŃSKI: Przekształcanie się Warszawy...	65
37.	JULJUSZ GERMAN: Przed wielką fotografią	65
38.	Zastępca Dowódcy 67 p. p., Podpułkownik JÓZEF PECKA: Wspomnienie	65
39.	Wiceprezydent st. m. Warszawy, JÓZEF OLPIŃSKI: Józef Piłsudski	66
40.	JÓZEF ZASACKI: To był Wódz	67
41.	STANISŁAW OBRZUD: Myśli o Wodzu	68
42.	Redakcja: Notatka	68
43.	ZYGMUNT KISIELEWSKI: Styl Piłsudskiego	69
44.	Inż. Arch. TADEUSZ NOWAKOWSKI: Komendancie!	69
45.	Komendant st. m. Warszawy, Podpułkownik PERESWIET-SOLTAN: „Raport“	70
46.	Prof. Dr. ADOLF CHYBIŃSKI: Rapsodja Litewska	72
47.	Prof. Dr. ZDZISŁAW JACHIMECKI: Do czego dążą narody w historii ludzkości	74
48.	Wojewoda Warszawski, b. Minister BRONISŁAW NAKONIECZNIKOW-KLUKOWSKI: Zrodzony po wybuchu rewolucji	74
49.	Burmistrz Raszyna, kpt. GUSTAW BIRNBAUM: Zjazd Radomski	74
50.	Art. mal. Prof. WINCENTY WODZINOWSKI: Nad Polską	76
51.	B. Minister i Prezydent miast: Kalisza, Radomia i Łowicza, JAN MICHAŁSKI: Dla nas wszystkich	76
52.	Kanclerz Orderu „Odrodzenia Polski“, Prof. honorowy Uniw. Warsz., JAN KOCHANOWSKI: Marszałek Piłsudski na tle dziejów	77

	Str.
53. ST. OSSORYA-BROCHOCKI: 19.III.35	78
54. STANISŁAW JASIŃSKI: „Niech spocznie na Wawelu, ażeby królom był równy“.... słowa, wypowiedziane przez Marszałka Piłsudskiego przy wprowadzeniu prochów Juljusza Słowackiego na Wawel	79
55. JAN BĘLICKOWSKI: Trzy taczki	92
56. Major STEFAN FELSZTYŃSKI: Fragmenty z poematu dramatycznego „Pro- meteusz Polski“	94
57. LUDWIK STASIAK: Obrazek	96
58. Redakcja: Najgłębsza mądrość polityczna...	99
59. JÓZEF MĄCZKA: Ostatni Raport	100
60. Spis autorów i ich rzeczy	105



Dochód ze sprzedaży „KSIĘGI ZBIOROWEJ KU CZCI PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W DNIU JEGO IMIENIN” — jest przeznaczony w całości na sprowadzenie prochów wielkiego bojownika o wolność i niepodległość Polski ALEKSANDRA SULKIEWICZA, z pobojowiska Wołyńskiego do Warszawy.

KOMITET PROPAGANDY CZYNU POLSKIEGO.

ERRATA

Nie Żutów a Zułów

Wydrukowano:

- Str. 9. 10 wiersz od dołu – inne.
„ 40. Pękalski – Fresk na Wawelu.
„ 49. Stary sługa w Zułowie – Pilnin.
„ 78. Kościół w Pomieniówce, w którym był chrzczony Marszałek.
„ 95. Stare wędzarnie w Zułowie.
„ 103. Cmentarz w Zułowie – Na pierwszym planie grób księdza, który chrzczył Marszałka Piłsudskiego.
„ 106. poz. 49. Burmistrz Raszyňa, kpt. Gustaw Birnbaum: Zjazd Radomski.

Powinno być:

- innego.
L. Pękalski – Fresk na Wawelu.
Stary Sługa w Zułowie – Pilwin.
Kościół w Powiewiórcu, w którym był chrzczony Marszałek.
Stara wędzarnia w Zułowie.
Cmentarz w Powiewiórcu – Na pierwszym planie grób księdza, który chrzczył Marszałka Piłsudskiego.
Burmistrz Raszyňa, kpt. Gustaw Bolesław Baumfeld: Zjazd Radomski.



5-
n 9mb

